STANISŁAW

# LEM

## NIEZWYCIĘŻONY

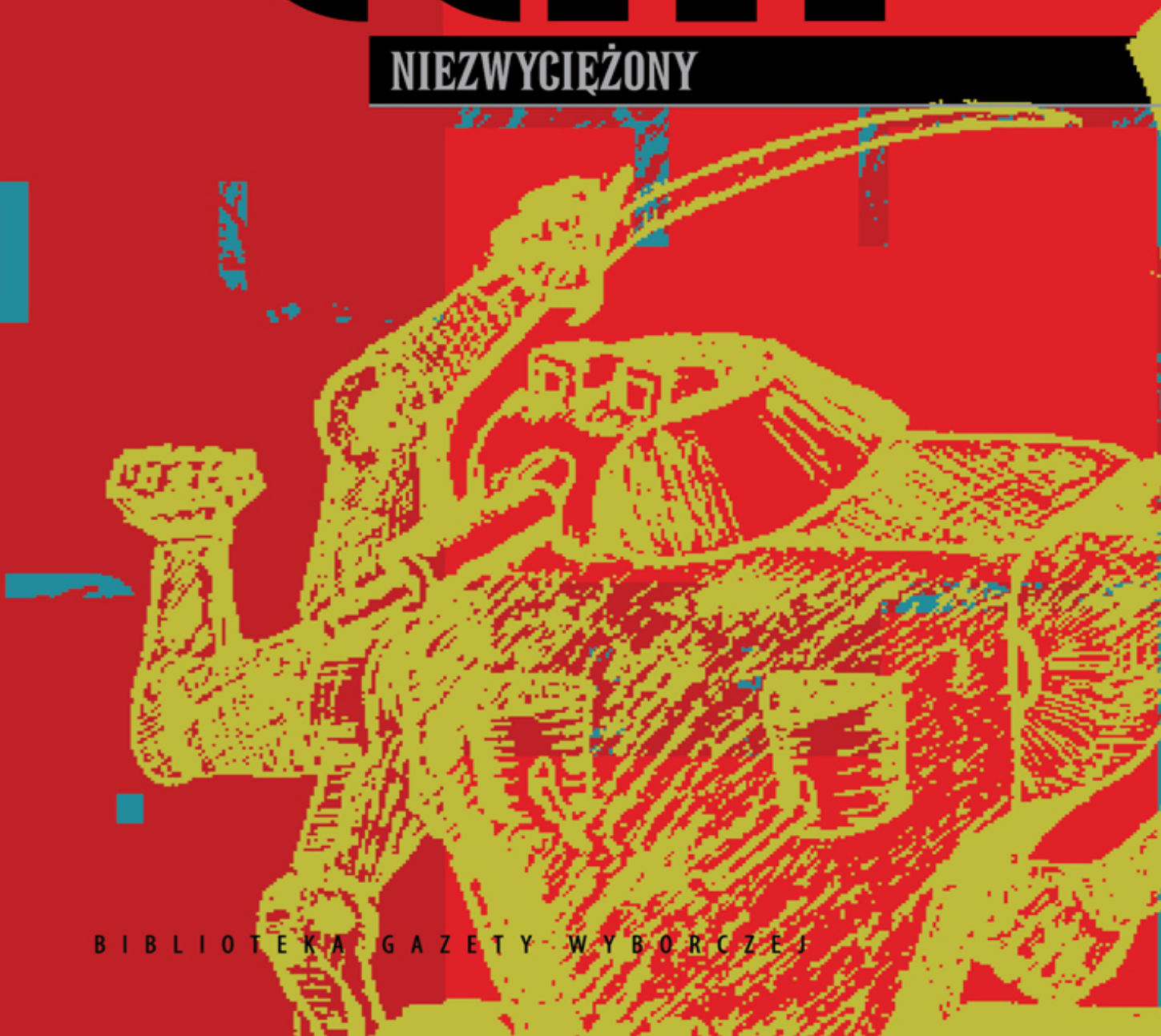

BIBLIOTEKA GAZETY WYBORCZEJ

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

STANISŁAW LEM

# NIEZWYCIĘŻONY

WARSZAWA 2012

# Spis treści

Czarny deszcz
Wśród ruin
„Kondor”
Pierwszy
Chmura
Hipoteza Laudy
Grupa Rohana
Klęska
Długa noc
Rozmowa
„Niezwyciężony”
Metryczka książki

# CZARNY DESZCZ

„Niezwyciężony”, krążownik drugiej klasy, największa jednostka, jaką dysponowała baza w konstelacji Liry, szedł fotonowym ciągiem przez skrajny kwadrant gwiazdozbioru. Osiemdziesięciu trzech ludzi załogi spało w tunelowym hibernatorze centralnego pokładu. Ponieważ rejs był stosunkowo krótki, zamiast pełnej hibernacji zastosowano pogłębiony sen, w którym temperatura ciała nie opada poniżej dziesięciu stopni. W sterowni pracowały tylko automaty. W ich polu widzenia, na krzyżu celowniczym, leżała tarcza słońca, niewiele gorętszego od zwykłego czerwonego karła. Kiedy jej krąg zajął połowę szerokości ekranu, reakcja anihilacyjna została wstrzymana. Przez jakiś czas w całym statku panowała martwa cisza. Bezdźwięcznie działały klimatyzatory i maszyny cyfrowe. Ustała najdelikatniejsza wibracja towarzysząca emisji świetlnego słupa, który przedtem wypadał z rufy i jak nieskończonej długości szpada zanurzona w mroku popychał odrzutem statek. „Niezwyciężony” szedł z tą samą szybkością przyświetlną, bezwładny, głuchy i pozornie pusty.

Potem światełka zaczęły mrugać do siebie z pulpitów oblanych różem dalekiego słońca, które stało w środkowym ekranie. Taśmy ferromagnetyczne ruszyły, programy wpełzały powoli do wnętrza coraz to nowych aparatur, przełączniki krzesały iskry i prąd wpływał w przewody z buczeniem, którego nikt nie słyszał. Motory elektryczne, przezwyciężając opór od dawna zastygłych smarów, ruszały i z basów wchodziły na wysoki jęk. Matowe sztaby kadmu wysuwały się z pomocniczych reaktorów, pompy

magnetyczne tłoczyły płynny sód w wężownice chłodzenia, blachami rufowych pokładów poszło drżenie, a zarazem słaby chrobot we wnętrzu ścian, jak gdyby grasowały tam całe stada zwierzątek i stukały pazurkami o metal, zdradził, że ruchome sprawdziany samonaprawcze ruszyły już w wielokilometrową wędrówkę, aby kontrolować każde spojenie dźwigarów, szczelność kadłuba, całość metalowych złącz. Cały statek wypełniał się szmerami, ruchem, budząc się, i tylko jego załoga jeszcze spała.

Aż kolejny automat, pochłonąwszy swoją taśmę programową, wysłał sygnały do centrali hibernatora. W powiew zimnego powietrza wmieszał się gaz budzący. Pomiędzy rzędami koi z podłogowych krat dmuchnęło ciepłym wiatrem. Ludzie jednak długo nie chcieli jakby się zbudzić. Niektórzy poruszali bezwładnie rękami; pustkę ich lodowatego snu wypełniały majaczenia i koszmary. Któryś otworzył wreszcie pierwszy oczy. Statek był już na to przygotowany. Od kilku minut dotychczasową ciemność długich korytarzy pokładowych, dźwigowych szybów, kajut, sterowni, stanowisk roboczych, ciśnieniowych komór rozpraszał biały blask sztucznego dnia. I podczas kiedy hibernator wypełniał pomruk ludzkich westchnień i półprzytomnych jęków, statek, jakby w niecierpliwości nie mógł doczekać się ocknięcia załogi, zaczął wstępny manewr hamowania. Na centralnym ekranie ukazały się smugi dziobowego ognia. W dotychczasową martwotę przyświetlnego pędu wtargnął wstrząs, potężna siła przyłożona u dziobowych wyrzutni usiłowała zgnieść osiemnaście tysięcy ton masy spoczynkowej „Niezwyciężonego”, pomnożonych teraz przez jego ogromną szybkość. W kajutach kartograficznych upakowane szczelnie mapy zatrzęsły się niespokojnie na rolkach. Tu i ówdzie ruszały się, jakby ożywając, nie dość mocno osadzone przedmioty; zagrzechotało w kambuzach od zderzających się naczyń, zachwiały

się oparcia pustych pianowych foteli, pasy i liny ścienne pokładów zaczęły się kołysać. Stukot, zmieszane dźwięki szkła, blachy, plastyków falą przeszły przez cały pocisk od dziobu po rufę. Tymczasem z hibernatora dochodził już gwar głosów; ludzie z nicości, w której trwali przez siedem miesięcy, poprzez krótki sen, wracali do jawy.

Statek tracił szybkość. Planeta zakryła gwiazdy, cała w rudej wełnie obłoków. Wypukłe lustro oceanu z odbiciem słońca przesuwało się coraz wolniej. W pole widzenia wszedł bury, upstrzony kraterami kontynent. Ludzie na stanowiskach pokładowych nie widzieli nic. Głęboko pod nimi w tytanowych trzewiach pędni narastał stłumiony ryk, olbrzymi ciężar ściągał palce z rękojeści. Chmura, która dostała się w promień odrzutu, rozsrebrzyła się wybuchem rtęci, rozpadła się i znikła. Ryk silników wzmógł się na chwilę. Rudawa tarcza rozpłaszczyła się: tak planeta przekształca się w ląd. Widać już było przeganiane wiatrem sierpowate wydmy, smugi lawy, rozchodzące się jak szprychy koła od najbliższego krateru zagrały odbitym pożarem rakietowych dysz, silniejszym od słonecznego.

– Cała moc na osi. Statyczny ciąg.

Strzałki leniwie przesuwały się w następny sektor skali. Manewr przeszedł bezbłędnie. Statek, jak odwrócony wulkan zionący ogniem, wisiał pół mili nad ospowatą płaszczyzną z utopionymi w piaskach skalnymi grzędami.

– Cała moc na osi. Zmniejszyć statyczny ciąg.

Widać już było miejsce, w którym buchająca pionowo w dół fala odrzutu bije w grunt. Podniosła się tam ruda burza piasku. Z rufy strzelały fioletowe błyskawice, bezdźwięczne z pozoru, bo grzmoty pochłaniały silniejszy od nich ryk gazów. Różnica potencjałów wyrównała się, błyskawice znikły. Jakaś ścianka dziobowa

rozjęczała się, dowódca wskazał ją ruchem głowy inżynierowi: rezonans. Trzeba usunąć. Ale nikt się nie odezwał, pędnie wyły, statek opadał, teraz już bez jednego drgnienia, jak zawieszona na niewidzialnych linach stalowa góra.

– Pół mocy na osi. Mały statyczny ciąg.

Kolistymi pierścieniami jak bałwany prawdziwego morza na wszystkie strony gnały dymiące fale pustynnego piachu. Epicentrum trafione z niewielkiej odległości krzaczastym płomieniem wylotów nie dymiło już. Piasek znikł, przeistoczył się w lustro bąblistej czerwieni, w kipiące jezioro stopionej krzemionki, w słup jazgocących eksplozji, aż wyparował. Obnażony jak kość stary bazalt planety zaczął mięknąć.

– Stosy na jałowy bieg. Zimny ciąg.

Błękit ognia atomowego zgasł. Z dysz trysnęły skośne promienie borowodorów i w jednej chwili pustynię, ściany skalnych kraterów i chmury nad nimi zalała upiorna zieleń. Bazaltowe podłoże, na którym miała osiąść szeroka rufa „Niezwyciężonego", nie zagrażało już stopieniem.

– Stosy zero. Zimnym ciągiem do lądowania.

Wszystkie serca uderzyły żywiej, głowy pochyliły się nad instrumentami, rękojeści spotniały w skurczonych palcach. Sakramentalne słowa oznaczały, że nie będzie już odwrotu, że nogi staną na prawdziwym gruncie, niechby to był piasek pustynnego globu, ale będzie tam wschód i zachód słońca, horyzont i chmury, i wiatr.

– Lądowanie punktowe w nadirze.

Statek pełen był przeciągłego jęku turbin tłoczących materiał pędny w dół. Zielony, stożkowato rozchodzący się słup ognia połączył go z dymiącą skałą. Ze wszystkich stron podniosły się chmury piasku, oślepiły peryskop środkowych pokładów, tylko

w sterowni na ekranach radarów niezmiennie pojawiały się i gasły wzdłuż promieni wodzących zarysy krajobrazu, tonące w tajfunowym chaosie.

– Stop przy styku.

Ogień kotłował się buntowniczo pod rufą przytłaczany milimetr po milimetrze osuwającym się nań cielskiem rakiety, zielone piekło strzelało długimi bryźnięciami w głąb dygocących piaskowych chmur. Rozziew między rufą a opalonym bazaltem skały stał się wąską szczeliną, linią zielonego pałania.

– Zero i zero. Wszystkie silniki stop.

Dzwon. Jedno jedyne uderzenie, jakby olbrzymiego, pękniętego serca. Rakieta stała. Główny inżynier stał z rękami na dwu rękojeściach awaryjnego odrzutu: skała mogła się poddać. Czekali. Strzałki sekundomierzy poruszały się dalej swoim owadzim ruchem. Dowódca patrzał przez chwilę na wskaźnik pionu; jego srebrzyste światełko ani trochę nie odchyliło się na bok od czerwonego zera. Milczeli. Rozgrzane do wiśniowego żaru dysze zaczynały się kurczyć, wydając szereg charakterystycznych odgłosów podobnych do chrapliwego postękiwania. Czerwonawa chmura wzbita na setki metrów opadała. Wyłonił się z niej tępy wierzchołek „Niezwyciężonego", jego boki, osmalone tarciem atmosferycznym i podobne przez to barwą do starej skały, chropawy, podwójny pancerz; rudy kurz wciąż jeszcze kłębił się i wirował u rufy, ale sam statek znieruchomiał już na dobre, jakby stał się częścią planety i teraz krążył razem z jej powierzchnią leniwym ruchem trwającym od wieków pod fioletowym niebem, w którym widniały najsilniejsze gwiazdy, niknące tylko w bezpośrednim pobliżu czerwonego słońca.

– Normalna procedura?

Astrogator wyprostował się znad książki pokładowej, gdzie w połowie karty wpisał umowny znak lądowania, godzinę i dodał obok w rubryce nazwę planety: „Regis III".

– Nie, Rohan. Zaczniemy od trzeciego stopnia.

Rohan starał się nie okazać zdziwienia.

– Tak jest. Chociaż... – dodał z poufałością, na którą Horpach mu nieraz pozwalał – wolałbym nie być tym, który powie to ludziom.

Astrogator, jakby nie słysząc słów swego oficera, wziął go za ramię i podprowadził do ekranu jak do okna. Odgarnięty na boki odrzutem lądowania piasek uformował rodzaj płytkiej kotliny zwieńczonej osypującymi się diunami. Z wysokości osiemnastu pięter patrzyli przez trójbarwną płaszczyznę elektronowych impulsów tworzącą wierny obraz świata zewnętrznego na skalną piłę odległego o trzy mile krateru. Od zachodu pochłaniał ją horyzont. Od wschodu gromadziły się pod jej zerwami czarne, nieprzeniknione cienie. Szerokie rzeki lawy, o grzbietach wyniesionych nad piaski, miały barwę starej krwi. Jedna silna gwiazda płonęła w niebie pod górnym obrzeżem ekranu. Kataklizm wywołany zniebazstąpieniem „Niezwyciężonego" minął i wicher pustyni, gwałtowny prąd powietrza płynącego stale ze stref równikowych ku biegunowi planety, wtłaczał już pierwsze piaszczyste języki pod rufę statku, jakby usiłując cierpliwie zabliźnić ranę utworzoną przez wylotowy ogień. Astrogator włączył sieć zewnętrznych mikrofonów i zjadliwe, dalekie wycie wraz z dźwiękiem piachu szorującego po pancerzach wypełniło na chwilę wysoką przestrzeń sterowni. Potem wyłączył mikrofony i zapadła cisza.

– Tak to wygląda – powiedział powoli. – Ale „Kondor" nie wrócił stąd, Rohan. – Tamten zacisnął szczęki. Nie mógł spierać się z dowódcą. Przeleciał z nim wiele parseków, ale nie doszło między

nimi do przyjaźni. Może różnica wieku była zbyt wielka. Albo przebyte wspólnie niebezpieczeństwa za małe. Bezwzględny był ten człowiek o włosach prawie tak białych jak jego odzienie. Stu bez mała ludzi trwało nieruchomo na stanowiskach po skończonej wytężonej pracy, która poprzedziła zbliżenie, trzysta godzin hamowania nagromadzonej w każdym atomie „Niezwyciężonego" energii kinetycznej, wejście na orbitę, lądowanie. Stu prawie ludzi, którzy od miesięcy nie słyszeli odgłosu, jaki wydaje wiatr, i nauczyli się nienawidzić próżni, jak nienawidzi jej tylko ten, kto ją zna. Ale dowódca o tym na pewno nie myślał. Przeszedł powoli przez sterownię i opierając rękę na oparciu fotela, podniesionym już do nowego poziomu, mruknął:

– Nie wiemy, co to jest, Rohan.

I nagle, ostro:

– Na co pan jeszcze czeka?

Rohan podszedł szybko do pulpitów rozrządowych, włączył wewnętrzną instalację i głosem, w którym drgało jeszcze stłumione oburzenie, ciskał:

– Wszystkie poziomy, uwaga! Lądowanie skończone. Procedura naziemna trzeciego stopnia. Poziom ósmy: gotuj energoboty. Poziom dziewiąty: stosy ekranowania na rozruch. Technicy osłony na stanowiska. Reszta załogi: na wyznaczone miejsca robocze. Koniec.

Zdawało mu się, kiedy to mówił, patrząc w mrugające zgodnie z modulacją głosu zielone oko wzmacniacza, że widzi ich spocone twarze, jak zastygają w nagłym zdumieniu i gniewie uniesione ku głośnikom. Teraz dopiero musieli zrozumieć, dopiero teraz zaczynali kląć...

– Procedura naziemna trzeciego stopnia w toku, panie astrogatorze – powiedział, nie patrząc na starego człowieka. Ten spojrzał na niego

i niespodziewanie, kątem ust, się uśmiechnął:

– To tylko początek, Rohan. Może będą jeszcze długie spacery o zachodzie, kto wie...

Wyjął z płytkiej szafki ściennej wąski, wysoki tom, otworzył go i kładąc na najeżonym rękojeściami białym pulpicie, powiedział:

– Czytał pan to?

– Tak.

– Ostatni ich sygnał zarejestrowany przez siódmy hiperprzekaźnik doszedł do proksymalnej boi na zasięgu bazy przed rokiem.

– Znam jego treść na pamięć. „Lądowanie na Regis III zakończone. Planeta pustynna typu sub-Delta 92. Schodzimy na ląd drugą procedurą w strefie równikowej kontynentu Ewany".

– Tak. Ale to nie był ostatni sygnał.

– Wiem, panie astrogatorze. Czterdzieści godzin później hiperprzekaźnik zarejestrował serię impulsów, jak gdyby nadawanych Morse'em, ale nieposiadających żadnego sensu, a potem – kilkakrotnie powtarzające się, dziwne odgłosy. Haertel nazwał je „miauczeniem kotów ciągniętych za ogon".

– Tak... – powiedział astrogator, ale widoczne było, że nie słucha. Stał znowu przed ekranem. Nad samym skrajem pola widzenia, tuż przy rakiecie, ukazały się nożycowo wysunięte przęsła pochylni, po której sunęły jak na paradzie równo, jeden za drugim, energoboty, trzydziestotonowe maszyny powleczone silikonowym pancerzem przeciwpożarowym. W miarę jak spełzały w dół, ich pokrywy rozchylały się powoli i zarazem szły w górę, dzięki czemu ich prześwit powiększał się; opuszczając pochylnię, głęboko zanurzały się w piachu, ale szły pewnie, orząc wydmę, którą wiatr wzniósł już wokół „Niezwyciężonego". Rozchodziły się na przemian w jedną i drugą stronę, aż po upływie dziesięciu minut cały perymetr statku otoczony był łańcuchem metalowych żółwi.

Znieruchomiawszy, każdy począł zagrzebywać się miarowo w piasku, aż znikł, i tylko połyskliwe plamki regularnie porozmieszczane na rudych zboczach wydm wskazywały miejsca, z których wystawały kopułki emitorów Diraca. Powleczona pianoplastykiem stalowa podłoga sterowni drgnęła pod stopami ludzi. Ciała ich przeszył krótki jak błyskawica, wyraźny, choć ledwie wyczuwalny dreszcz i znikł, tylko przez chwilę jeszcze mrowił mięśnie szczęk, a widziany obraz rozmazał się w oczach. Zjawisko to nie trwało ani pół sekundy. Powróciła cisza, przerywana odległym, płynącym z dolnych kondygnacji mamrotaniem uruchamianych motorów. Pustynia, czarnorude zwały skalne, szeregi leniwie pełznących fal piasku wyostrzyły się w ekranach i wszystko było jak przedtem, ale ponad „Niezwyciężonym" rozwarła się niewidzialna kopuła siłowego pola, zamykając dostęp do statku. Na pochylni pojawiły się, krocząc w dół, metalowe kraby, z młynkami anten poruszających się na przemian w lewo i w prawo. Inforoboty, daleko większe od emitorów pola, miały spłaszczone tułowie i zgięte, rozchodzące się na boki metalowe szczudła. Grzęznąc w piasku i jakby z obrzydzeniem wydobywając zeń głęboko zapadające się kończyny, członkonogi rozeszły się i zajęły miejsca w przerwach łańcucha energobotów. W miarę jak operacja osłony się rozwijała, na centralnym pulpicie sterowni wyskakiwały z matowego tła światełka kontrolne, a tarcze udarowych zegarów wypełniały się zielonkawym blaskiem. Jakby dziesiątek wielkich kocich oczu patrzał teraz nieruchomo na obu ludzi. Strzałki leżały wszędzie na zerze, świadcząc, że nic nie próbuje przedostać się poprzez niewidzialną tamę siłowego pola. Tylko wskaźnik dyspozycji mocy sunął coraz wyżej, mijając czerwone kreski gigawatów.

– Zejdę teraz na dół i zjem coś. Niech pan przeprowadzi stereotyp, Rohan! – powiedział znużonym nagle głosem Horpach, odrywając się od ekranu.

– Czy zdalnie?

– Jeśli panu na tym zależy, może pan wysłać kogoś... albo iść sam.

Z tymi słowy astrogator rozsunął drzwi i wyszedł. Rohan widział jeszcze chwilę jego profil w słabym świetle windy, która bezszelestnie spłynęła w dół. Spojrzał na tablicę zegarów pola. Zero. Właściwie należało rozpocząć od fotogrametrii, pomyślał. Okrążać planetę tak długo, aż będzie się miało kompletny zestaw zdjęć. Może w ten sposób wykryłoby się coś. Bo obserwacje wizualne z orbity niewiele są warte; kontynenty to nie morze, ani majtkami w bocianim gnieździe nie są wszyscy razem obserwatorzy u lunet. Inna rzecz, że komplet zdjęć uzyskałoby się po bez mała miesiącu.

Winda wróciła. Wsiadł do niej i zjechał na szósty poziom. Wielka platforma przed komorą ciśnień pełna była ludzi, którzy właściwie nie mieli tu już nic do roboty, tym bardziej że cztery sygnały zwiastujące porę głównego posiłku powtarzały się już chyba od kwadransa. Rozstępowano się przed nim.

– Jordan i Blank. Pójdziecie ze mną na stereotyp.

– Pełne skafandry, panie nawigatorze?

– Nie. Tylko tlenówki. I jeden robot. Najlepiej z arktanów, żeby nam nie ugrzązł w tym cholernym piachu. A wy wszyscy czego tu stoicie? Straciliście apetyt?

– Chciałoby się zejść, panie nawigatorze... na ląd.

– Chociaż na parę chwil...

Podniósł się gwar głosów.

– Spokój, chłopcy. Przyjdzie czas na wycieczki. Na razie mamy trzeci stopień. – Rozchodzili się niechętnie. Tymczasem z towarowego szybu wynurzył się dźwig z robotem o głowę

przewyższającym najroślejszych ludzi. Jordan i Blank, już z aparatami tlenowymi, wracali elektrycznym wózkiem – widział ich, oparty o poręcz korytarza, który teraz, gdy rakieta stała na rufie, zmienił się w pionową studnię sięgającą aż do pierwszej grodzi maszynowej. Czuł nad sobą i pod sobą rozłożyste piętra metalu, gdzieś na samym dole pracowały cichobieżne przenośniki, słychać było słabe mlaskanie przewodów hydraulicznych, a z głębi czterdziestometrowego szybu płynął miarowo podmuch zimnego, oczyszczonego powietrza z klimatyzatorów maszynowni.

Dwaj ludzie obsługi komorowej otwarli przed nimi drzwi. Rohan sprawdził odruchowo położenie pasów i docisk maski. Jordan i Blank weszli za nim, po czym blacha zazgrzytała ciężko pod stąpnięciami robota. Przeraźliwy, przeciągły syk powietrza wciąganego do wnętrza statku. Otwarła się zewnętrzna klapa. Pochylnia maszyn znajdowała się o cztery piętra niżej. Aby zjechać na dół, ludzie posługiwali się małym dźwigiem, który wysunięto już przedtem z pancerza. Jego kratownica sięgała szczytu wydmy. Klatka dźwigu była otwarta ze wszech stron. Powietrze było niewiele chłodniejsze aniżeli we wnętrzu „Niezwyciężonego". Wsiedli we czterech, odhamowane magnesy puściły i miękko zjechali z jedenastopiętrowej wysokości, mijając kolejne sekcje kadłuba. Rohan odruchowo sprawdzał ich wygląd. Niezbyt często udaje się poza dokiem oglądać statek od zewnątrz. Spracowany, pomyślał, widząc smugi wżerek od meteorytów. Miejscami płyty pancerne utraciły blask, jakby nadgryzione silnym kwasem. Winda skończyła krótki lot, osiadając miękko na fali nawianego piachu. Zeskoczyli i zaraz zapadli się powyżej kolan. Tylko robot przeznaczony do badań na ośnieżonych przestrzeniach kroczył śmiesznym, kaczkowatym, lecz pewnym chodem na swych karykaturalnie rozpłaszczonych stopach. Rohan kazał mu stanąć,

a sam z ludźmi uważnie obejrzał wszystkie wyloty dysz rufowych, o ile były z zewnątrz dostępne.

– Przyda im się mały szlif i przedmuch – powiedział. Dopiero wylazłszy spod rufy, zauważył, jak ogromny cień rzuca statek. Niby szeroka droga ciągnął się przez wydmy oświetlone mocno już przechylonym słońcem. W regularności piaszczystych fal był osobliwy spokój. Ich dna pełne były błękitnego cienia, szczyty różowiały zmierzchem i ten ciepły, delikatny róż przypomniał mu kolory, które widział kiedyś w książce z obrazkami dla dzieci. Taki był nieprawdziwie łagodny. Powoli przenosił wzrok z wydmy na wydmę, odnajdując coraz to inne odcienie brzoskwiniowego pałania, im dalsze, tym bardziej rude, poszatkowane sierpami czarnych cieni, aż tam, gdzie zlewając się w jedną żółtą szarość, okalały groźnie sterczące płyty nagich skał wulkanicznych. Stał tak i patrzał, a jego ludzie, bez pośpiechu, ruchami zautomatyzowanymi przez wieloletni nawyk, robili sakramentalne pomiary, zamykali w małych pojemnikach próbki powietrza i piasku, mierzyli radioaktywność gruntu przenośną sondą, której wiertniczy korpus podtrzymywał arktan. Rohan nie zwracał na ich krzątanie się żadnej uwagi. Maska obejmowała tylko nos i usta, oczy i całą głowę miał wolną, bo zdjął z niej płytki hełm ochronny. Czuł wiatr we włosach, osiadanie delikatnych ziarenek piasku na twarzy, jak łaskocząc, wciskały się między plastykowe obrzeże i policzki. Niespokojne porywy łopotały nogawkami kombinezonu, wielki, jak obrzękły, dysk słońca, w który można było patrzeć chyba sekundę bezkarnie, tkwił teraz za samym czubkiem rakiety. Wiatr świstał przeciągle, pole siłowe nie powstrzymywało ruchu gazów, dlatego nie mógł w ogóle dostrzec, gdzie wstaje z piasków jego niewidzialna ściana. Olbrzymi obszar, który ogarniał spojrzeniem, był martwy, jakby nigdy nie stanęła na nim ludzka stopa, jakby to

nie była planeta, która pochłonęła statek klasy „Niezwyciężonego” z osiemdziesięcioosobową załogą, olbrzymiego, doświadczonego żeglarza próżni, zdolnego w ułamku sekundy rozwinąć moc miliardów kilowatów, przetworzyć ją w pola energetyczne, których nie przebije żadne ciało materialne, skoncentrować ją w niszczących promieniach o temperaturze gwiazd, które mogą obrócić w perzynę łańcuch górski lub wysuszyć morze. A jednak zginął tu ów stalowy organizm zbudowany na Ziemi, płód wielowiekowego rozkwitu technologii, i znikł w niewiadomy sposób, bez śladu, bez sygnału SOS, jakby rozpłynął się w tej rudej i szarej pustce.

I cały ten kontynent wygląda tak samo – pomyślał. Pamiętał go dobrze. Widział z wysokości ospę kraterów i jedyny ruch, jaki wśród nich czuwał – nieustanne, powolne przepływanie obłoków wlokących swe cienie poprzez nieskończone ławice wydm.

– Aktywność? – spytał, nie odwracając się.

– Zero, zero i dwa – odpowiedział Jordan i podniósł się z kolan. Miał zaczerwienioną twarz, oczy mu błyszczały. Maska zniekształcała brzmienie głosu.

To znaczy – mniej niż nic – pomyślał. Zresztą tamci nie zginęliby przez tak grubą nieostrożność, automatyczne czujniki podniosłyby alarm, nawet gdyby nikt się nie zatroszczył o stereotyp badań.

– Atmosfera?

– Azotu siedemdziesiąt osiem procent, argonu dwa procent, dwutlenku węgla zero, metanu cztery procent, reszta to tlen.

– Szesnaście procent tlenu!? Na pewno?

– Na pewno.

– Radioaktywność powietrza?

– Praktycznie zero.

To było dziwne. Tyle tlenu! Ta wiadomość zelektryzowała go. Podszedł do robota, który natychmiast podsunął mu przed oczy

kasetę ze wskaźnikami. – Może próbowali obejść się bez aparatów tlenowych – pomyślał bezsensownie, bo wiedział, że tak nie mogło być. To prawda, zdarzało się czasem, że któryś człowiek bardziej od innych dręczony głodem powrotu wbrew rozkazom zdejmował maskę, bo otaczające powietrze wydawało się przecież tak czyste, tak świeże – i ulegał zatruciu. To jednak mogło zdarzyć się jakiemuś jednemu, dwóm najwyżej.

– Macie już wszystko? – spytał.

– Tak.

– Wracajcie – powiedział do nich.

– A pan?

– Zostanę jeszcze. Wracajcie – powtórzył niecierpliwie. Chciał być już sam. Blank zarzucił na ramię związane paskiem uchwyty pojemników, Jordan podał robotowi sondę i odeszli, brnąc ciężko; arktan człapał za nimi, tak podobny z tyłu do zamaskowanego człowieka.

Rohan podszedł ku skrajnej wydmie. Z bliska zobaczył wystający z piasku, rozszerzony u końca wylot emitora, który wytwarzał ochronne pole siłowe. Nie tyle, by sprawdzić jego obecność, ale po prostu z dziecinnej chętki zaczerpnął garść piachu i cisnął ją przed siebie. Poleciała smużką i jakby natknąwszy się na niewidzialne, pochyłe szkło, osypała się pionowo na ziemię.

Aż go ręce świerzbiały, żeby zdjąć maskę. Znał to dobrze. Wypluć plastykowy ustnik, zerwać paski, wypełnić całą pierś powietrzem, zaciągnąć się nim aż do dna płuc...

Rozklejam się – pomyślał i wolno zawrócił ku statkowi. Klatka dźwigu czekała, pusta, z platformą zagłębioną miękko w wydmie, a wiatr zdążył przez kilka minut jego nieobecności powlec jej blachy cienką warstewką nawianego piasku.

Już w głównym korytarzu piątego poziomu spojrzał na ścienny informator. Dowódca był w kajucie gwiazdowej. Pojechał na górę.

– Jednym słowem – sielanka? – podsumował astrogator jego słowa. – Żadnej radioaktywności, żadnych spor, bakterii, pleśni, wirusów, nic – tylko ten tlen... Próbki trzeba w każdym razie dać na pożywki.

– Już są w laboratorium. Być może życie rozwija się tu na innych kontynentach – zauważył Rohan bez przekonania.

– Wątpię. Insolacja poza strefą równikową jest słaba; nie widział pan grubości czapek biegunowych? Ręczę, że jest tam co najmniej osiem, jeśli nie dziesięć kilometrów lodowej pokrywy. Już raczej ocean, jakieś wodorosty, glony – ale dlaczego życie nie wyszło z wody na ląd?

– Trzeba będzie do tej wody zajrzeć – powiedział Rohan.

– Za wcześnie pytać naszych ludzi, ale planeta wygląda mi na starą. Takie zmurszałe jajo musi mieć ze sześć miliardów lat. Zresztą słońce też kawał czasu temu wyszło z okresu świetności. To prawie czerwony karzeł. Tak, ta nieobecność życia na lądzie jest zastanawiająca. Szczególny rodzaj ewolucji, która nie może znieść suszy. No tak. To by wyjaśniało obecność tlenu, ale nie sprawę „Kondora".

– Jakieś formy życia, jakieś istoty podwodne kryjące się w oceanie, które wytworzyły tam cywilizację na dnie – podsunął myśl Rohan. Obaj patrzyli na wielką mapę planety, w projekcji Merkatora, niedokładną, bo rysowaną w oparciu o dane automatycznych sond z zeszłego wieku. Ukazywała jedynie zarysy głównych kontynentów i mórz, linie zasięgu czap polarnych i kilka największych kraterów. W siatce przecinających się południków i równoleżników widniał obwiedziony czerwonym kółkiem punkt, pod ósmym stopniem północnej szerokości – miejsce, w którym

wylądowali. Astrogator przesunął niecierpliwie papier na stole mapowym.

– Sam pan w to nie wierzy – żachnął się. – Tressor nie mógł być głupszy od nas, nie dałby się żadnym podwodnym, bzdura. A zresztą gdyby nawet istniały rozumne istoty wodne, jedną z pierwszych rzeczy, jaką by zrobiły, stanowiłoby opanowanie lądu. Ot, powiedzmy, choćby w skafandrach wypełnionych wodą... Zupełna bzdura – powtórzył, nie aby unicestwić do reszty koncept Rohana, ale ponieważ myślał już o czymś innym.

– Postoimy tu jakiś czas – zakonkludował wreszcie i dotknął dolnego brzegu mapy, która z lekkim furknięciem zwinęła się i znikła w jednym z poziomych regałów wielkiego mapnika. – Poczekamy i zobaczymy.

– A jeśli nie? – spytał Rohan ostrożnie. – Poszukamy ich...?

– Rohan, bądźże pan rozsądny. Szósty gwiazdowy rok i takie – astrogator szukał właściwego określenia, nie znalazł go i zastąpił je lekceważącym ruchem ręki. – Planeta jest wielkości Marsa. Jak mamy ich szukać? To znaczy „Kondora" – poprawił się.

– No tak, grunt jest żelazisty... – niechętnie przyznał Rohan. W samej rzeczy analizy wykazały sporą domieszkę tlenków żelazowych w piasku. Wskaźniki ferroindukcyjne były więc na nic. Nie wiedząc, co powiedzieć, zamilkł. Przekonany był, że dowódca znajdzie w końcu jakieś wyjście. Nie wrócą przecież z pustymi rękami, bez żadnych rezultatów. Czekał, patrząc na wysunięte spod czoła krzaczaste brwi Horpacha.

– Prawdę mówiąc, nie wierzę, żeby to czekanie przez 48 godzin cokolwiek nam dało, ale regulamin tego wymaga – tonem niespodziewanego zwierzenia odezwał się astrogator. – Niech pan siada, Rohan. Stoi pan nade mną jak wyrzut sumienia. Regis jest najidiotyczniejszym miejscem, jakie sobie można wyobrażać. Szczyt

bez potrzeby. Nie wiadomo, po co wysłano tu „Kondora” – zresztą mniejsza o to, skoro stało się.

Urwał. Był w złym humorze i jak zwykle stawał się wtedy wymowny i wciągał łatwo w dyskusję, nawet poufałą, co było zawsze trochę niebezpieczne, bo w każdej chwili mógł uciąć rozmowę jakąś złośliwością.

– Jednym słowem, tak czy owak musimy coś robić. Wie pan co? Niech mi pan wprowadzi parę małych fotoobserwatorów na orbitę równikową. Ale żeby była uczciwie kołowa i ciasna. Tak z siedemdziesiąt kilometrów.

– To jeszcze w obrębie jonosfery – zaprotestował Rohan. – Spalą się po kilkudziesięciu okrążeniach...

– Niech się spalą. Ale przedtem sfotografują, co się da. Radziłbym panu zaryzykować nawet sześćdziesiąt kilometrów. Spłoną może już w dziesiątym okrążeniu, ale tylko zdjęcia robione z takiej wysokości mogą coś dać. Wie pan, jak wygląda rakieta widziana ze stu kilometrów nawet przez najlepszy teleobiektyw? Główka szpilki jest przy niej całym górskim masywem. Niech pan to zaraz... Rohan!

Na ten okrzyk nawigator odwrócił się, już od drzwi. Dowódca rzucił na stół protokół z wynikami analiz.

– Co to jest!? Co to znowu za idiotyzm? Kto to pisał?

– Automat. O co chodzi? – spytał Rohan, starając się zachować spokój, bo i w nim już podrywał się gniew. Będzie mi tu teraz zrzędził! – pomyślał, zbliżając się umyślnie powoli.

– Niech pan czyta. Tu. O, tu.

– Metanu cztery procent – przeczytał Rohan. I sam nagle osłupiał.

– Metanu cztery procent, co? A tlenu szesnaście? Wie pan, co to jest? Mieszanina piorunująca! Może mi pan wytłumaczy, dlaczego cała atmosfera nie wybuchła, kiedyśmy siadali na borowodorach?

– Rzeczywiście... nie rozumiem – wybełkotał Rohan. Podbiegł szybko do pulpitu kontroli zewnętrznej, wpuścił przez czujniki ssawy trochę zewnętrznej atmosfery i podczas kiedy astrogator przechadzał się w złowieszczym milczeniu po sterowni, patrzał, jak analizatory gorliwie postukują szklanymi naczyniami.

– No i co?!

– To samo. Metanu cztery procent... tlenu szesnaście – powiedział Rohan. Wprawdzie zupełnie nie rozumiał, jak to jest możliwe, ale odczuł jednak zadowolenie: przynajmniej Horpach nie będzie mógł teraz nic mu zarzucić.

– Pokaż no pan! Hm. Metanu cztery, no, niech mię diabli... dobrze. Rohan, sondy na orbitę, a potem proszę przyjść do małego labu. Ostatecznie, od czego mamy uczonych! Niech sobie głowy łamią.

Rohan zjechał na dół, wziął dwóch techników rakietowych i powtórzył im polecenie astrogatora. Wrócił potem na drugi poziom. Mieściły się tu laboratoria i kajuty fachowców. Po kolei mijał wąskie, wprasowane w metal drzwi z tabliczkami dwuliterowymi „G.I.", „G.F.", „G.T.", „G.B." i cały rząd innych. Drzwi małego laboratorium były szeroko otwarte; przez monotonne głosy uczonych od czasu do czasu przebijał się bas astrogatora. Rohan stanął u progu. Byli tu wszyscy „Główni" – Główny Inżynier, Biolog, Fizyk, Lekarz i wszyscy Technologowie z maszynowni. Astrogator siedział, milcząc teraz, w skrajnym fotelu pod elektronowym programistą podręcznej maszyny cyfrowej, a oliwkowy Moderon ze splecionymi rękami, małymi jak u dziewczynki, mówił:

– Nie jestem specjalistą od chemii gazów. W każdym razie to nie jest prawdopodobnie zwykły metan. Energia wiązań jest inna; różnica w setnym miejscu tylko, ale jest. Reaguje z tlenem dopiero w obecności katalizatorów, a i to niechętnie.

– Jakiego pochodzenia jest ten metan? – spytał Horpach. Kręcił młynka palcami.

– Węgiel jest w nim w każdym razie pochodzenia organicznego. Niewiele tego, ale nie ma wątpliwości...

– Są izotopy? Jaki wiek? Jaki stary jest ten metan?

– Od dwóch do piętnastu milionów lat.

– Co za przedział!

– Mieliśmy pół godziny czasu. Nic więcej nie mogę powiedzieć.

– Doktorze Quastler! Skąd bierze się ten metan?

– Nie wiem.

Horpach popatrzył po kolei na swoich specjalistów. Można było sądzić, że wybuchnie, ale nagle się uśmiechnął.

– Panowie, jesteście przecież ludźmi doświadczonymi. Latamy razem nie od wczoraj. Proszę o wasze zdanie. Co mamy teraz zrobić? Od czego zacząć?

Ponieważ nikt nie kwapił się z zabraniem głosu, biolog Joppe, jeden z nielicznych, którzy nie lękali się gniewliwości Horpacha, powiedział, patrząc spokojnie w oczy dowódcy:

– To nie jest zwykła planeta klasy sub-Delta 92. Gdyby była taka, „Kondor" nie zginąłby. Ponieważ miał na pokładzie fachowców, ani gorszych, ani lepszych od nas, jedyną rzeczą, jaką wiemy na pewno, jest to, że ich wiedza okazała się niewystarczająca, aby zapobiec katastrofie. Z tego wniosek, że musimy utrzymać trzeci stopień procedury i zbadać ląd i ocean. Myślę, że trzeba rozpocząć wiercenia geologiczne, a równocześnie zająć się tutejszą wodą. Wszystko inne byłoby hipotezami; nie możemy sobie w tej sytuacji pozwolić na taki luksus.

– Dobrze – Horpach zacisnął szczęki. – Wiercenia w perymetrze pola siłowego nie są problemem. Zajmie się tym doktor Nowik.

Główny Geolog skinął głową.

– Co do oceanu... jak daleko jest linia brzegowa, Rohan?

– Około dwustu kilometrów... – powiedział nawigator, wcale nie zdziwiony tym, że dowódca wie o jego obecności, chociaż go nie widzi: Rohan stał kilka kroków za jego plecami, u drzwi.

– Trochę daleko. Ale nie będziemy już ruszać „Niezwyciężonego". Weźmie pan tylu ludzi, ilu pan uzna za wskazane, Rohan, Fitzpatrika, czy jeszcze jakiegoś oceanologa, i sześć energobotów rezerwy. Pojedzie pan z tym na brzeg. Działać będziecie tylko pod siłową osłoną; żadnych wycieczek po morzu, żadnych nurkowań. Automatami też proszę nie szafować – nie mamy ich zbyt wiele. Jasne? Więc może pan zacząć. Aha, jeszcze jedno. Czy tutejsza atmosfera nadaje się do oddychania?

Lekarze poszeptali między sobą.

– W zasadzie tak – powiedział wreszcie Stormont, ale jak gdyby bez większego przekonania.

– Co to znaczy „w zasadzie"? Można czy nie można oddychać?

– Taka ilość metanu nie jest obojętna. Po pewnym czasie nastąpi wysycenie krwi i może to dać pewne lekkie objawy mózgowe. Oszołomienia... ale dopiero po godzinie, może po kilku godzinach.

– A czy nie wystarczy jakiś pochłaniacz metanu?

– Nie, astrogatorze. To znaczy nie opłaci się produkować pochłaniaczy, bo trzeba by je często zmieniać, a poza tym procent tlenu jest jednak dosyć niski. Osobiście jestem za aparatami tlenowymi.

– Mhm. Inni panowie też?

Witte i Eldjarn skinęli głowami. Horpach wstał.

– A zatem rozpoczynamy. Rohan! Co z sondami?

– Zaraz będziemy je wyrzucać. Czy mogę jeszcze skontrolować orbity, zanim wyruszę?

– Może pan.

Rohan wyszedł, pozostawiając za sobą gwar laboratorium. Kiedy wszedł do sterowni, słońce właśnie zachodziło. Tak ciemny, że fioletową prawie purpurą nabiegły rąbek jego tarczy wycinał na horyzoncie z nadnaturalną wyrazistością zębaty kontur krateru. Niebo, gęste w tej okolicy Galaktyki od gwiazd, zdawało się teraz jakby wyolbrzymione. Coraz niżej rozbłyskiwały wielkie konstelacje, pochłaniając niknącą w mrokach pustynię. Rohan połączył się z dziobową wyrzutnią satelitarną. Właśnie zarządzono wystrzelenie pierwszej pary fotosatelitów. Następne miały pójść w górę po godzinie. Nazajutrz dzienne i nocne fotografie obu półkul planety winny były dać obraz całego pasa równikowego.

– Minuta trzydzieści jeden... azymut siedem. Naprowadzam... – powtarzał w głośniku śpiewny głos. Rohan ściszył go pokrętłem i odwrócił fotel ku tablicy kontrolnej. Nie przyznałby się do tego nikomu, ale bawiła go zawsze gra świateł przy wystrzelaniu sondy na okołoplanetarną orbitę. Najpierw zapłonęły rubinowo, biało i niebiesko kontrolki boostera. Potem zamamrotał automat startowy. Gdy jego tykot urwał się nagle, słabe drgnienie przeszło cały kadłub krążownika. Zarazem pustynia w ekranach pojaśniała od fosforycznego blasku. Z cienkim, napiętym do ostateczności grzmotem, oblewając macierzysty statek potokiem płomieni, miniaturowy pocisk wystrzelił z dziobowej wyrzutni. Blask oddalającego się boostera łopotał po zboczach wydm coraz słabiej, aż zgasł. Teraz już i słychać nie było rakietki, za to ferwor świetlnej gorączki ogarnął całą tablicę. Z hektycznym pośpiechem wyskakiwały z mroku podłużne światełka kontroli balistycznej, potakiwały im upewniająco perłowe lampki zdalnego sterowania, potem ukazały się, na kształt kolorowej choinki, sygnały o kolejnym odrzucaniu wypalonych łusek, i wreszcie nad całym tym tęczującym mrowiskiem zapłonął biały, czysty czworokąt,

znak, że satelita został wprowadzony na orbitę. Pośrodku jego błyszczącej śnieżnie powierzchni zamajaczyła wysepka szarości i drgając, ułożyła się w cyfrę 67. To była wysokość lotu. Rohan sprawdził jeszcze elementy orbity: ale i perigeum, i apogeum mieściły się w zadanych granicach. Nie miał tu już nic do roboty. Spojrzał na zegar pokładowy, który wskazywał osiemnastą, potem na właściwy teraz zegar czasu lokalnego – godzina jedenasta w nocy. Zamknął na chwilę oczy. Był rad temu wypadowi nad ocean. Lubił działać sam. Czuł senność i głód. Rozważał chwilę, czy nie przydałaby się pastylka trzeźwiąca. Ale uznał, że wystarczy sama kolacja. Wstając, poczuł, jaki jest zmęczony, zdziwił się i to zdziwienie już go trochę otrzeźwiło. Zjechał na dół do mesy. Byli tam już jego nowi ludzie – dwaj kierowcy poduszkowych transporterów, między nimi Jarg, którego lubił za nieustający dobry humor, był tam i Fitzpatrik z dwoma kolegami, Brozą i Koechlinem, kończyli kolację, kiedy Rohan dopiero zamawiał gorącą zupę, wyjmował z podajnika ściennego chleb i flaszki bezalkoholowego piwa. Szedł z tym wszystkim na tacy do stołu, kiedy podłoga leciutko drgnęła. „Niezwyciężony" wystrzelił następnego satelitę.

Dowódca nie pozwolił jechać w nocy. Wyruszyli o piątej czasu miejscowego, przed wschodem słońca. Ze względu na koniecznością podyktowany porządek marszu, jak również jego kłopotliwą powolność, taki szyk nazywano konduktem. Otwierały go i zamykały energoboty, które elipsoidalnym polem siłowym osłaniały wszystkie wewnętrzne maszyny – uniwersalne poduszkowce, łaziki z radiostacjami i radarem, kuchnię, transporter z samoustawiającym się hermetycznym barakiem mieszkalnym i mały laser bezpośredniego rażenia na gąsienicach, zwany pospolicie szydłem. Rohan umieścił się wraz z trzema uczonymi w przednim energobocie, co było wprawdzie niewygodne,

bo ledwo siedzieli obok siebie, ale przynajmniej miało się złudzenie jako tako normalnej podróży. Szybkość przychodziło dostosować do najwolniejszych maszyn konduktu, właśnie energobotów. Jazda nie była wyszukaną przyjemnością. Gąsienice warczały i rżały w piasku, turbinowe silniki wyły jak komary wielkości słoni, tuż za siedzącymi wyrywało się z kratowych osłon powietrze chłodzenia, a cały energobot chodził jak ciężka szalupa na falach. Rychło czarna igła „Niezwyciężonego" skryła się za horyzontem. Jakiś czas szli w poziomych promieniach zimnego i czerwonego jak krew słońca przez monotonną pustynię, powoli piasku stawało się coraz mniej, wystawały zeń ukośne płyty skalne, które przychodziło wymijać. Maski tlenowe w połączeniu z wyciem silników nie zachęcały do podjęcia rozmowy. Obserwowali pilnie horyzont, ale widok był wciąż jednaki – nagromadzenia skał, wielkie zwietrzałe głazy, w pewnym miejscu równina poczęła schodzić stokiem w dół i na dnie bardzo łagodnej kotliny ukazał się cienki, na pół wyschnięty strumień o wodzie łyskającej odbiciem czerwonego świtu. Otoczaki ciągnące się ławicami po obu brzegach strumienia wskazywały, że niekiedy niesie on znaczne ilości wód. Zatrzymali się na krótko, aby zbadać wodę. Była zupełnie czysta, dość twarda, z domieszką tlenków żelaza i nikłym śladem siarczków. Ruszyli dalej, teraz już z nieco większą szybkością, bo gąsienice pełzły płynnie po kamienistym podłożu. Od zachodu wznosiły się niewielkie urwiska. Ostatnia maszyna utrzymywała stałą łączność z „Niezwyciężonym", anteny radarów kręciły się, radarzyści, poprawiając na głowach słuchawki, ślęczeli u swoich ekranów, pogryzając kromki koncentratu, czasem spod któregoś poduszkowca wylatywał z impetem kamień, jak wydmuchnięty małą trąbą powietrzną, i skakał, jakby ożywając nagle, w górę żwirowiska. Potem drogę przegrodziły łagodne wzgórza, łyse i nagie. Nie

stopując, wzięli nieco próbek i Fitzpatrik krzyknął Rohanowi, że krzemionka jest organicznego pochodzenia. Nareszcie, kiedy czarnosiną linią ukazało się przed nimi lustro wód, znaleźli i wapienie. Zjeżdżali ku brzegowi, grzechocząc po małych, płaskich kamykach. Gorący oddech maszyny, wizg gąsienic, wycie turbin, wszystko to raptem ucichło, kiedy ocean, z bliska zielonkawy i najzupełniej z pozoru ziemski, znalazł się o sto metrów. Przyszło teraz do skomplikowanego manewrowania, bo aby osłonić grupę roboczą polem, należało wprowadzić czołowy energobot do wody na głębokość dość znaczną. Pierwej uszczelniono maszynę i sterowana z drugiego energobotu weszła w fale, burząc je i pieniąc, aż stała się ledwo widocznym, ciemniejszym miejscem w głębi wody; wtedy dopiero, na sygnał wysłany z centralnego posterunku, zatopiony kolos wysunął nad powierzchnię emitor Diraca i gdy pole ustaliło się, pokrywając swą niewidzialną półkulą część brzegu i przybrzeżnych wód, rozpoczęli właściwe badania.

Ocean był nieco mniej słony niż ziemskie; analizy nie przyniosły jednak żadnych rewelacyjnych wyników. Po dwu godzinach wiedzieli mniej więcej tyle, co na początku. Wysłali więc na pełne morze dwie zdalnie sterowane sondy telewizyjne i z centralnego posterunku śledzili na ekranach ich drogę. Ale dopiero gdy oddaliły się poza horyzont, sygnały przyniosły pierwszą istotną wiadomość. W oceanie żyły jakieś organizmy, kształtem podobne do kostnoszkieletowych ryb. Na widok sondy jednak pierzchały z olbrzymią szybkością, szukając ratunku w głębinie. Echoloty ustaliły głębokość oceanu w owym miejscu pierwszego spotkania żywych istot na sto pięćdziesiąt metrów.

Broza uparł się, że musi mieć przynajmniej jedną taką rybę. Polowali więc, sondy ścigały uwijające się w zielonym mroku cienie, strzelając elektrycznymi wyładowaniami, ale te rzekome

ryby przejawiały nieporównaną zwinność manewrów. Dopiero po którymś z rzędu strzale udało się porazić jedną. Sondę, która ją chwyciła w swoje kleszcze, natychmiast skierowali do brzegu, a Koechlin i Fitzpatrik tymczasem manipulowali drugą, zbierając próbki unoszących się w głębi fal włókienek, które wydały im się jakimś miejscowym rodzajem glonów czy wodorostów. Posłali ją wreszcie na samo dno, na głębokość ćwierć kilometra. Silny prąd przydenny utrudniał poważnie sterowanie sondą, którą wciąż znosiło na wielkie skupiska podwodnych głazów. W końcu jednak udało się kilka z nich obalić i jak przypuszczał Koechlin, pod ową przykrywą mieściła się cała kolonia giętkich, pędzelkowatych stworzonek.

Kiedy obie sondy wróciły w obręb pola i biologowie wzięli się do roboty, w rozstawionym tymczasem baraku, gdzie można już było zdjąć uprzykrzone maski, Rohan, Jarg i pięciu pozostałych ludzi zjedli pierwszy ciepły posiłek tego dnia.

Czas do wieczora upłynął im na zbieraniu próbek minerałów, badaniu przydennej radioaktywności, pomiarach insolacji i stu podobnie żmudnych zajęciach, które trzeba było jednak wykonać sumiennie, pedantycznie nawet, jeśli miały dać uczciwe rezultaty. O zmierzchu wszystko, co było możliwe, zostało dokonane i Rohan mógł ze spokojnym sumieniem podejść do mikrofonu, kiedy wywołał go Horpach z „Niezwyciężonego". Ocean pełen był żywych form, które jednak unikały, co do jednej, strefy przybrzeżnej. Organizm sekcjonowanej ryby nie wykazał niczego szczególnego. Ewolucja, według szacunkowych danych, trwała na planecie od wieluset milionów lat. Wykryto znaczną ilość zielonych glonów, co wyjaśniło obecność tlenu w atmosferze. Podział państwa żywych ustrojów na roślinne i zwierzęce był typowy; typowe również struktury kostne kręgowców. Jedynym

organem, wykształconym u złowionej ryby, którego odpowiednika ziemskiego nie znali biologowie, był szczególny zmysł, wrażliwy na bardzo nikłe zmiany natężenia pola magnetycznego. Horpach nakazał całej ekipie powrót w najszybszym czasie i kończąc już rozmowę, powiedział, że są nowiny: prawdopodobnie udało się ustalić miejsce lądowania zaginionego „Kondora".

Tak więc, chociaż biologowie protestowali, twierdząc, że i kilku tygodni dalszych badań byłoby im mało, zwinięto barak, uruchomiono motory i kolumna ruszyła na północo-zachód. Rohan nie mógł przekazać towarzyszom żadnych szczegółów o „Kondorze", bo sam ich nie znał. Chciał być jak najszybciej na statku, bo przypuszczał, że dowódca przydzieli następne, może bardziej obfitujące w jakieś odkrycia zadanie. Oczywiście teraz przede wszystkim należało zbadać miejsce rzekomego lądowania „Kondora". Rohan wyciskał z maszyn całą moc i wracali w jeszcze bardziej piekielnym jazgocie młócących kamienie gąsienic. Po nastaniu ciemności zapaliły się wielkie reflektory maszyn; był to widok niezwykły i nawet groźny – co chwila ruchome słupy światła wyrywały z mroków niekształtne, pozornie ruszające się sylwety olbrzymów, które okazywały się tylko skałami-świadkami, ostatnią pozostałością po zwietrzałym łańcuchu górskim. Kilka razy przyszło się zatrzymać u głębokich szczelin ziejących w bazalcie. W końcu jednak, dobrze po północy, ujrzeli oświetlony ze wszech stron, niby na paradzie, lśniący z dala jak metalowa wieża korpus „Niezwyciężonego". W całym perymetrze siłowego pola poruszały się na wszystkie strony sznury maszyn; wyładowywano zapasy, paliwo, grupy ludzi stały pod pochylnią w oślepiającym świetle jupiterów. Już z oddali doszły powracających odgłosy mrówczej krzątaniny. Nad chodzącymi słupami świateł wznosił się milczący, oblizywany plamami kadłub krążownika. Błękitne ognie zapaliły

się na znak, którędy otwarta zostanie droga przez siłową osłonę, i pokryte grubą warstwą miałkiego kurzu pojazdy jeden po drugim wjechały do środka kolistej przestrzeni. Rohan nie zdążył jeszcze zeskoczyć na ziemię, a już wołał do jednego ze stojących najbliżej, w którym rozpoznał Blanka, pytając, co z „Kondorem".

Ale bosman nie wiedział nic o rzekomym odkryciu. Rohan usłyszał od niego niewiele. Przed spłonięciem w gęstszych warstwach atmosfery cztery satelity dostarczyły jedenastu tysięcy zdjęć odebranych drogą radiową i nanoszonych, w miarę ich napływania, na specjalnie trawione płyty w kajucie kartograficznej. Aby nie tracić czasu, Rohan wezwał technika kartografów, Eretta, do siebie, i biorąc tusz, wypytywał go równocześnie o wszystko, co zaszło na statku. Erett był jednym z szukających na uzyskanym pasie fotograficznym „Kondora". Tego ziarenka stali w oceanach piasku szukało około trzydziestu ludzi równocześnie, oprócz planetologów zmobilizowano w tym celu kartografów, operatorów radarowych i wszystkich pokładowych pilotów. Okrągłą dobę przeglądali, na zmianę, nadchodzący materiał fotograficzny, notując koordynaty każdego podejrzanego punktu planety. Ale wieść, jaką przekazał Rohanowi dowódca, okazała się omyłką. Za statek wzięto wyjątkowej wysokości maczugę skalną, bo rzucała cień zadziwiająco podobny do regularnego cienia rakiety. Tak zatem dalej nic nie było wiadomo o losach „Kondora". Rohan chciał się zameldować u dowódcy, lecz ten już udał się na spoczynek. Poszedł więc do siebie. Mimo zmęczenia długo nie mógł zasnąć. Kiedy zaś wstał rano, astrogator polecił mu przez Ballmina, kierownika planetologów, przekazać cały zebrany materiał do głównego laboratorium. O dziesiątej rano Rohan poczuł taki głód – nie jadł jeszcze śniadania – że zjechał na drugi poziom do małej mesy

operatorów radaru, i tu, gdy dopijał na stojąco kawę, dopadł go Erett.

– Co, macie ją!? – rzucił na widok podnieconej twarzy kartografa.

– Nie. Ale znaleźliśmy coś większego. Niech pan idzie zaraz – astrogator wzywa pana...

Rohanowi zdawało się, że oszklony cylinder dźwigu pełznie z niewiarygodną powolnością. W przyciemnionej kajucie panowała cisza, słychać było szmer elektrycznych przekaźników, a z podajnika aparatury wypływały coraz to nowe, lśniące wilgocią zdjęcia, ale nikt nie zwracał na nie uwagi. Dwaj technicy wysunęli zza ściennej klapy rodzaj epidiaskopu i zgasili resztę świateł w momencie, gdy Rohan otworzył drzwi. Dostrzegł bielejącą wśród innych głowę astrogatora. W następnej chwili ekran, opuszczony z sufitu, rozsrebrzył się. W ciszy skupionych oddechów Rohan podszedł, na ile mógł, do wielkiej jasnej płaszczyzny. Zdjęcie było nie najlepsze, w dodatku tylko czarno-białe, w okolu drobnych, bezładnie rozrzuconych kraterów odznaczał się nagi płaskowyż, z jednej strony urywający się linią tak prostą, jakby ściął tam skały jakiś olbrzymi nóż; była to linia brzegowa, bo resztę zdjęcia wypełniała jednolita czerń oceanu. W pewnej odległości od owego obrywu rozpościerała się mozaika niezbyt wyraźnych form, w dwóch miejscach przesłonięta smugami obłoków i ich cieniami. Ale i tak nie ulegało wątpliwości, że osobliwa, zamglona w szczegółach formacja nie jest tworem geologicznym.

Miasto... – pomyślał z podnieceniem Rohan, ale nie powiedział tego głośno. Wszyscy nadal zachowywali milczenie. Technik przy epidiaskopie usiłował daremnie wyostrzyć obraz.

– Czy były zakłócenia odbioru? – padł w ogólną ciszę spokojny głos astrogatora.

– Nie – odpowiedział z ciemności Ballmin. – Odbiór był czysty, ale to jest jedno z ostatnich zdjęć trzeciego satelity. Osiem minut po jego wysłaniu przestał odpowiadać na sygnały. Przypuszczalnie zdjęcie zostało zrobione przez obiektywy już uszkodzone podwyższającą się temperaturą.

– Ascenzja kamery nad epicentrum nie była większa niż siedemdziesiąt kilometrów – dorzucił inny głos, należący, jak wydało się Rohanowi, do jednego z najzdolniejszych planetologów, Maltego. – A prawdę mówiąc, oceniłbym ją na pięćdziesiąt pięć do sześćdziesięciu kilometrów... Proszę spojrzeć... – Jego sylwetka przesłoniła częściowo ekran. Przyłożył do obrazu przejrzysty plastykowy szablon z wyciętymi w nim kółkami i przymierzał go kolejno do kilkunastu kraterów w drugiej połowie zdjęcia.

– Są wyraźnie większe niż na zdjęciach poprzednich. Zresztą – dodał – to nie ma większego znaczenia. Tak czy owak...

Nie dokończył, a wszyscy zrozumieli, co chciał powiedzieć: że niebawem skontrolują ścisłość fotografii, gdyż zbadają tę okolicę planety. Jakąś chwilę wpatrywali się jeszcze w obraz na ekranie. Rohan nie był już tak pewny, że ukazuje miasto, czy raczej jego ruiny. O tym, że geometrycznie prawidłowy twór od dawna jest opuszczony, świadczyły cienkie jak kreski, faliste cienie wydm, które ze wszech stron opływały skomplikowane kształty, niektóre zaś z nich tonęły niemal w piaszczystym zalewie pustyni. Nadto geometryczną konstelację tych ruin rozdzielała na dwie nierówne części rozszerzająca się w miarę postępowania w głąb lądu czarna, zygzakowata linia – pęknięcie sejsmiczne, które na dwoje rozszczepiło niektóre z wielkich „budowli". Jedna, najwyraźniej obalona, utworzyła jak gdyby most, zaczepiony końcem o przeciwległy brzeg rozpadliny.

– Proszę światło – rozległ się głos astrogatora. Kiedy rozbłysło, spojrzał na tarczę ściennego zegara.

– Za dwie godziny startujemy.

Rozległy się zmieszane głosy; najenergiczniej protestowali ludzie Głównego Biologa, którzy zeszli już w trakcie próbnych wierceń świdrami na dwieście metrów w głąb gruntu. Horpach dał ręką znak, że żadnej dyskusji nie będzie.

– Wszystkie maszyny wracają na pokład. Uzyskane materiały proszę zabezpieczyć. Przegląd zdjęć i pozostałe analizy mają iść swoim trybem. Gdzie jest Rohan? A, pan tutaj? Dobrze. Słyszał pan, co powiedziałem? Za dwie godziny wszyscy ludzie mają być na stanowiskach startowych.

Operacja okrętowania wyładowanych maszyn szła w pośpiechu, ale systematycznie. Rohan był głuchy na błagania Ballmina, który prosił o piętnaście minut dalszego wiercenia.

– Słyszał pan, co powiedział dowódca – powtarzał na lewo i na prawo, popędzając montażystów, którzy podjeżdżali do wykopanych rowów wielkimi dźwigami. Po kolei aparatury wiertnicze, prowizoryczne pomosty kratowe, zbiorniki z paliwem wędrowały do luków towarowych; gdy już tylko rozryty grunt świadczył o wykonanych pracach, Rohan z Westergardem, zastępcą Głównego Inżyniera, obszedł jeszcze na wszelki wypadek miejsca porzuconych robót. Potem ludzie zniknęli wewnątrz statku. Wtedy dopiero ruszyły się piaski na dalekim perymetrze, wezwane drogą radiową wracały szeregiem energoboty, kryjąc się we wnętrzu statku, który wciągnął do środka, pod płyty pancerne, pochylnię i pionowy szyb dźwigu osobowego, przez mgnienie trwał w nieruchomości, potem jednostajne wycie wichru przygłuszył metaliczny gwizd sprężonego powietrza przedmuchującego dysze. Kłęby kurzawy otoczyły rufę, zapełgał w nich zielony brzask,

mieszając się z czerwonym światłem słońca, i w galopadzie niemilknących gromów, które wstrząsały pustynią i wielokrotnym echem wracały od skalnych ścian, statek powoli uniósł się w powietrze, aby pozostawiając za sobą wypalony krąg skały, zeszklone wydmy i strzępy kondensacji, zniknąć z rosnącą szybkością w fioletowym niebie. Długo potem, kiedy ostatni ślad jego drogi, wyznaczonej białawą linią pary, rozpłynął się w atmosferze, a ruchome piaski pokrywać jęły nagą skałę i wypełniać opustoszałe wykopaliska, od zachodu pojawiła się ciemna chmura. Sunąc nisko, rozwinęła się, wysuniętym, kłębiastym ramieniem otoczyła miejsce lądowania i zawisła nieruchomo. Trwała tak jakiś czas. Kiedy słońce na dobre przechyliło się ku zachodowi, na pustynię zaczął z niej padać czarny deszcz.

# WŚRÓD RUIN

„Niezwyciężony” osiadł na starannie wybranym miejscu, bez mała sześć kilometrów na północ od zewnętrznej granicy tak zwanego miasta. Było je wcale nieźle widać ze sterowni. Wrażenie, że są to konstrukcje wzniesione sztucznie, było większe nawet niż przy oglądaniu zdjęć satelitarnego fotoobserwatora. Kanciaste, przeważnie szersze u podstawy niż u szczytu, niejednakowej wysokości, ciągnęły się na przestrzeni wielu kilometrów, czarniawe, miejscami lśniące metalicznie, ale nawet najsilniejsza luneta nie pozwalała rozróżnić szczegółów; wydawało się, że większość owych budowli jest dziurawa jak rzeszoto.

Tym razem metaliczne podźwiękiwanie stygnących dysz jeszcze nie ustało, kiedy statek wysunął ze swego wnętrza pochylnię i rusztowanie dźwigu, otoczył się kręgiem energobotów, ale na tym nie poprzestał. W jednym miejscu, leżącym na wprost „miasta” (stojąc na poziomie gruntu, nie można było go dostrzec spoza niskich wzgórz), skoncentrowała się wewnątrz osłony energetycznej grupa pięciu pojazdów terenowych, do której dołączył przeszło dwa razy większy od nich, podobny do apokaliptycznego żuka o sinawych pokrywach, ruchomy miotacz antymaterii.

Dowódcą grupy operacyjnej był Rohan. Stał wyprostowany w pierwszym z pojazdów terenowych, w jego otwartej wieżyczce, czekając, kiedy na rozkaz wydany z pokładu „Niezwyciężonego” otwarte zostanie przejście przez pole siłowe. Dwa inforoboty na dwu najbliższych wzgórzach wystrzeliły szereg niegasnących

zielonych flar, znakując drogę, i uformowana w podwójnym szyku mała kolumna z pojazdem Rohana na czele ruszyła przed siebie.

Maszyny grały basami silników, fontanny piasku biły spod balonowych kół olbrzymów, przodem, o dwieście metrów przed czołową terenówką, sunął, unosząc się nad powierzchnią gruntu, robot zwiadowczy, podobny do przypłaszczonego talerza, z szybko drgającymi czułkami, a strumienie powietrza, które wyrzucał spod siebie, burzyły czuby wydm, że wyglądało, jakby mijając je, wzniecał w nich niewidzialny ogień. Podniesiona pochodem kurzawa długo nie opadała w dość spokojnym powietrzu i po przejściu kolumny znaczyła jej ślad czerwonawą, kłębiastą smugą. Cienie rzucane przez maszyny były coraz dłuższe; szło ku zachodowi. Kolumna ominęła leżący na jej drodze prawie całkowicie zasypany krater i po dwudziestu minutach dotarła do skraju ruin. Tutaj szyk pochodu się złamał. Trzy bezludne pojazdy wyszły na zewnątrz i zaświeciły ostrobłękitne światła na znak, że utworzyły lokalne pole siłowe. Dwie maszyny z ludźmi toczyły się wewnątrz ruchomej osłony. Pięćdziesiąt metrów za nimi posuwał się, krocząc na swoich piętrowych, ugiętych nogach, olbrzymi miotacz antymaterii. W pewnej chwili, po przekroczeniu zasypanego kłębowiska jakby poszarpanych lin metalowych czy drutów, trzeba się było zatrzymać, bo jedna kończyna miotacza poprzez piasek zapadła się w głąb niewidzialnej szczeliny. Dwa arktany zeskoczyły z pojazdu dowódcy i wyswobodziły uwięzłego kolosa. Wtedy kolumna ruszyła dalej.

To, co nazwali miastem, w rzeczywistości ani trochę nie było podobne do ziemskich osiedli. Zatopione na niewiadomą głębokość w ruchomych wydmach, stały ciemne masywy o najeżonych, niby szczotkowatych powierzchniach, niepodobne do niczego, co znały ludzkie oczy. Ich niedające się nazwać kształty sięgały kilku pięter.

Nie miały okien, drzwi, nawet ścian, jedne wyglądały jak pofałdowane i przenikające się w ogromnej ilości kierunków, bardzo gęsto posplatane sieci, ze zgrubieniami w miejscach złączeń, inne przypominały skomplikowane arabeski przestrzenne, jakie utworzyłyby przenikające się wzajemnie pszczele plastry lub rzeszota o trójkątnych i pięciokątnych otworach. W każdym większym elemencie i w każdej widomej płaszczyźnie można było wykryć jakiś rodzaj regularności, nie tak jednorodnej jak w krysztale, ale niewątpliwej, powtarzającej się określonym rytmem, chociaż przerywały go w wielu miejscach ślady zniszczeń. Niektóre konstrukcje, utworzone z poodrąbywanych jakby w graniaste kształty, zrośniętych gęsto gałęzi (ale te gałęzie nie miały dowolnego biegu, właściwego drzewom czy krzakom; albo stanowiły część łuku, albo dwie skręcone w przeciwnym kierunku spirale), sterczały z piachu pionowo, spotykali jednak i pochylone, niczym ramię zwodzonego mostu. Wiatry, wiejące najczęściej z północy, nagromadziły na wszystkich poziomych płaszczyznach i co łagodniejszych zwisach lotny piach, tak że z oddali niejedna z owych ruin przypominała krępą piramidę, ściętą u szczytu. Z bliska jednak jej pozornie gładka płaszczyzna ukazywała, czym jest: systemem krzaczastych, ostrokończystych prętów, listew, tak gdzieniegdzie splecionych, że utrzymywały w swym gąszczu nawet piasek. Rohanowi wydało się, że to jakieś sześcienne i piramidowate resztki skał porosłych zmartwiałą i zeschłą roślinnością. Ale i to wrażenie rozsypywało się w odległości kilku kroków: wtedy bowiem regularność, obca żywym formom, ujawniała swą obecność poprzez chaos zniszczenia. Ruiny nie były właściwie lite, bo można było zajrzeć do nich przez szpary metalowej gęstwiny, nie były i puste, gdyż wypełniała je ona na wskroś. Zewsząd wiało martwotą opuszczenia. Rohan pomyślał

o miotaczu, ale bezsensowne było nawet użycie siły, skoro brakło wnętrz, do których pozwoliłaby wtargnąć. Wicher przepędzał między wysokimi bastionami tumany gryzącej kurzawy. Regularne mozaiki czerniejących otworów wypełniał piasek, wciąż osypujący się ciurkiem, który tworzył u ich nasady strome stożki, niby miniaturowych lawin. Nieustający, sypki szelest towarzyszył im w całej wędrówce. Młynkujące anteny, lufy wahadłowe chodzących geigerów, mikrofony ultradźwiękowe i czujniki promieniste milczały. Słychać było tylko poskrzypywanie piasku pod kołami, urywane wycie rozpędzających się silników, kiedy zmieniali szyk, skręcając, kolumna na przemian znikała w głębokim, chłodnym cieniu rzucanym przez omijane kolosy, to znów wynurzała się na oświetlony szkarłatnie piach.

Dotarli wreszcie do tektonicznego pęknięcia. Była to szczelina szeroka na sto metrów, tworząca czeluść pozbawioną pozornie dna, a na pewno niezmiernie głęboką, bo nie wypełniły jej całe wodospady piachu, zmiatane bezustannie z brzegów uderzeniami wiatru. Zatrzymali się i Rohan wysłał na drugą stronę latającego robota zwiadowcę. Obserwował na ekranie to, co ów dostrzegał swymi telewizyjnymi obiektywami, ale obraz był taki sam, jaki już znali. Zwiadowca został po godzinie wezwany z powrotem, a gdy dołączył do grupy, Rohan, naradziwszy się z Ballminem i fizykiem Gralewem, którzy siedzieli w jego maszynie, zdecydował się na dokładniejsze oględziny kilku ruin.

Najpierw spróbował zbadać sondami ultradźwiękowymi, jak gruba warstwa piasku zalega „ulice" martwego „miasta". Było to dosyć żmudne. Wyniki kolejnych sondowań nie zgadzały się ze sobą, prawdopodobnie dlatego, że skała podstawowa uległa wewnętrznej dekrystalizacji podczas wstrząsu, który wywołał jej wielkie pęknięcie. Od siedmiu do dwunastu metrów pokrywy

piaszczystej zdawało się wypełniać to ogromne nieckowate zagłębienie terenu. Skierowali się na wschód, ku oceanowi, i przemierzywszy jedenaście kilometrów krętej drogi między czarniawymi ruinami, które stawały się coraz niższe, coraz niklej wynurzały się z piasków, aż znikły, dotarli do nagich skał. Stanęli tu nad obrywem tak wysokim, że szum fal rozbijających się o jego spód dochodził do nich jako ledwo słyszalny głos. Pas nagiej skały oczyszczonej z piasku, nadnaturalnie gładkiej, znaczył linię obrywu, wznosząc się ku północy szeregiem szczytów górskich, które zastygłymi skokami leciały w oceaniczne lustro.

Za sobą zostawili „miasto" – widoczne teraz pod postacią czarnej linii o regularnym konturze, zatopionej w rudawej mgle. Rohan połączył się z „Niezwyciężonym", przekazał astrogatorowi uzyskane informacje, równe właściwie zeru, i cała kolumna, w dalszym ciągu zachowując wszelkie środki ostrożności, wróciła w głąb ruin.

Po drodze wydarzył się niewielki wypadek. Skrajny lewy energobot, prawdopodobnie na skutek drobnej omyłki kursowej, nadmiernie rozszerzył zasięg siłowego pola, tak że musnęło skraj pochylonej ku nim ostrokończystej, plastrowatej budowli. Połączony ze wskaźnikami poboru mocy pola miotacz antymaterii, którego ktoś nastawił na rażenie automatyczne w wypadku ataku, zinterpretował skok pobieranej mocy jako widomą oznakę, że ktoś usiłuje przebić siłowe pole, i strzelił w bezwinną ruinę. Cała górna sekcja pogiętej „budowli", wielkości ziemskiego drapacza chmur, utraciła swą brudnoczarną barwę, rozżarzyła się i zalśniła oślepiająco, aby w następnym ułamku sekundy rozpaść się w ulewę wrzącego metalu. Ani jeden okruch nie spadł na jadących, bo rozpłomienione szczątki ześliznęły się po powierzchni niewidzialnej kopuły, jaką tworzyła siłowa osłona. Nim dosięgły gruntu, wyparowały od termicznego udaru. Nastąpił jednak,

wywołany anihilacją, skok promieniowania, geigery włączyły automatycznie alarm i Rohan, klnąc i obiecując kości połamać temu, kto tak zaprogramował aparaturę, dobrą chwilę stracił na odwoływaniu alarmu i odpowiedzi „Niezwyciężonemu", który dostrzegł błysk i pytał natychmiast o jego przyczynę.

– Na razie wiemy tylko tyle, że jest to metal. Prawdopodobnie stal z domieszką wolframu i niklu – powiedział Ballmin, który nie przejmując się powstałym rozgardiaszem, skorzystał z okazji i dokonał spektroskopowej analizy płomieni, które ogarnęły ruiny.

– Czy może pan ocenić wiek? – spytał Rohan, wycierając miałki piasek, który osiadł mu na rękach i twarzy. Pozostawili za sobą zwiniętą od żaru ocalałą część ruiny; wisiała teraz nad przebytą przez nich drogą na kształt połamanego skrzydła.

– Nie. Mogę powiedzieć, że to jest diabelnie stare. Diabelnie stare – powtórzył.

– Musimy to zbadać bliżej... I nie będę pytał starego o pozwolenie – dodał Rohan z nagłą determinacją.

Zatrzymali się przy skomplikowanym obiekcie utworzonym z kilku schodzących się centralnie ramion. Otwarła się, wyznaczona dwiema flarami, furtka w polu siłowym. Z bliska przeważało wrażenie chaosu. Fronton budowli utworzony był z trójkątnych płyt pokrytych drucianymi „szczotkami", od wnętrza owe płyty podtrzymywały systemy prętów, grubych jak gałęzie; u powierzchni przedstawiały jaki taki porządek, ale w głębi, gdzie starali się zajrzeć, świecąc silnymi reflektorami, las prętów rozdrzewiał się, rozchodził z grubych węzłów, znowu się skupiał, a wszystko razem podobne było do gigantycznej drucianki, z milionowym mrowiem skłębionych kabli. Szukali w nich śladów prądu elektrycznego, polaryzacji, resztkowego magnetyzmu, wreszcie radioaktywności – bez jakiegokolwiek rezultatu.

Zielone flary oznaczające wejście w głąb pola mrugały niespokojnie. Świszczał wiatr, masy powietrza wdmuchiwane w stalowy gąszcz wydawały niesamowite pienia.

– Co może znaczyć ta cholerna dżungla?!

Rohan wycierał twarz z przylepiającego się do spoconej skóry piasku. Obaj z Ballminem stali na otoczonym niską balustradą grzbiecie latającego zwiadowcy, który wisiał wraz z nimi kilkanaście metrów ponad „ulicą", a raczej pokrytym wydmami trójkątnym placem wśród dwu schodzących się ruin. Daleko w dole stały ich maszyny i mali jak figurki z pudełka zabawek ludzie patrzący na nich z zadartymi głowami.

Zwiadowca szybował. Znajdowali się teraz nad powierzchnią pełną kończastych ostrzy czarniawego metalu, nierówną, poszarpaną, miejscami osłoniętą owymi trójkątnymi płytami, które nie leżały jednak w jednej płaszczyźnie; odchylone w górę lub na boki, pozwalały zajrzeć do pełnego ciemności wnętrza. Gęstwa poplątanych przegród, prętów, plastrowatych zaklęsłości była taka, że nie mogło jej przeniknąć światło słońca, a i promienie reflektorów grzęzły w niej bezsilnie.

– Jak pan myśli, Ballmin, co to może znaczyć? – powtórzył Rohan. Był zły. Wycierane nieustannie czoło sczerwieniało mu, bolała go skóra, piekły oczy, za kilka minut musiał nadać następny meldunek „Niezwyciężonemu", a nie umiał nawet znaleźć słów, by określić to, przed czym się znajdował.

– Nie jestem jasnowidzem – odparł uczony. – Nie jestem nawet archeologiem. Myślę zresztą, że archeolog też by nic panu nie powiedział. Wydaje mi się... – Urwał.

– Niechże pan mówi!

– Nie wygląda mi to na konstrukcję mieszkalną. Na ruiny mieszkań jakichkolwiek istot, rozumie pan? Jeśli można to w ogóle

z czymś porównać, to chyba z maszyną.

– Z maszyną, co? Ale jaką? Informacjozbiorczą? Może to był rodzaj elektronowego mózgu...?

– Chyba pan w to sam nie wierzy... – odparł flegmatycznie planetolog.

Robot przesunął się w bok, wciąż dotykając niemal prętów, które sterczały bezładnie pomiędzy powyginanymi płytami.

– Nie. Tu nie było żadnych obwodów elektrycznych. Gdzież ma pan jakieś przegrody, izolatory, ekranowania?

– Może były palne. Mógł je zniszczyć ogień. To przecież w końcu ruina – odparł bez przekonania Rohan.

– Może – zgodził się niespodziewanie Ballmin.

– Więc co mam powiedzieć astrogatorowi?

– Najlepiej niech mu pan bezpośrednio przekaże ten cały kram telewizją.

– To nie było miasto... – powiedział nagle Rohan, jakby podsumowywał w myśli wszystko, co widział.

– Prawdopodobnie nie – przytaknął planetolog. – W każdym razie nie takie, jakie możemy sobie wyobrazić. Nie mieszkały tu ani istoty człekokształtne, ani nawet trochę do nich podobne. A formy oceaniczne są wcale zbliżone do ziemskich. Więc i na lądzie logiczna byłaby ich obecność.

– Tak. Wciąż o tym myślę. Nikt z biologów nie chce o tym mówić. Co pan sądzi?

– Nie chcą o tym mówić, bo to zakrawa na rzecz nieprawdopodobną: wygląda tak, jakby coś nie dopuściło życia na ląd... Jakby uniemożliwiało mu wynurzenie się z wody...

– Taka przyczyna mogła kiedyś raz jeden zadziałać, na przykład w postaci bardzo bliskiego wybuchu Supernowej. Przecież pan wie, że dzeta Liry była Nową przed kilku milionami lat. Może twarde

promieniowanie wygubiło życie na kontynentach, a w głębi oceanów mogły organizmy ocaleć...

– Gdyby promieniowanie było takie, jak pan mówi, to do dzisiaj dałoby się wykryć ślady. Tymczasem aktywność gruntowa jest, jak na tę okolicę Galaktyki, wyjątkowo niska. A poza tym przez te miliony lat ewolucja posunęłaby się znowu naprzód; oczywiście nie byłoby żadnych kręgowców, ale prymitywne formy przybrzeżne. Zauważył pan, że brzeg jest zupełnie martwy?

– Zauważyłem. Czy to naprawdę ma takie znaczenie?

– Decydujące. Życie powstaje z reguły najpierw w przybrzeżnej niszy, potem dopiero schodzi w głąb oceanu. Tu nie mogło być inaczej. Coś je zepchnęło. I myślę, że nie daje wstępu na ląd do dzisiaj.

– Dlaczego?

– Dlatego, bo ryby boją się sond. Na planetach, które znam, żadne zwierzęta nie bały się aparatów. Nigdy nie boją się tego, czego nie widziały.

– Chce pan powiedzieć, że widziały już sondy?

– Nie wiem, co widziały. Ale na co im magnetyczny zmysł?

– To jakaś cholerna historia! – burknął Rohan. Patrzał na poszarpane festony metalu, przechylił się przez poręcz, zakrzywione czarne końce prętów drżały w powietrznym słupie wydmuchiwanym przez robota. Ballmin długimi cążkami obłamywał po kolei wyrastające z tunelowego otworu druty.

– Powiem panu coś – rzekł. – Tu nie było nawet zbyt wysokiej temperatury, nigdy nie było, boby się metal zglejował. A więc i pańska hipoteza pożaru odpada...

– Tu rozwala się każda hipoteza – mruknął Rohan. – Poza tym nie widzę, w jaki sposób można by połączyć ten wariacki gąszcz ze zgubą „Kondora". Przecież to jest absolutnie martwe.

– Nie musiało takie być zawsze.

– Tysiąc lat temu, zgoda, ale nie przed kilku laty. Nie mamy tu czego dłużej szukać. Wracajmy na dół.

Nie odzywali się już, aż maszyna opuściła się naprzeciw zielonych znaków sygnałowych ekspedycji. Rohan polecił technikom włączyć kamery telewizyjne i przekazać dane o sytuacji „Niezwyciężonemu".

Sam zamknął się w kabinie głównego transportera z uczonymi. Przedmuchawszy miniaturowe pomieszczenie tlenem, zaczęli jeść kanapki, popijając kawą z termosów. Nad ich głowami płonęła okrągła rura świetlna. Rohanowi miłe było jej białe światło. Znielubił już czerwonawy dzień planety. Ballmin pluł, bo piasek, który podstępnie dostał się do ustnika maski, zgrzytał mu teraz w zębach podczas jedzenia.

– To mi przypomina coś... – niespodzianie odezwał się Gralew, zakręcając termos. Jego czarne, gęste włosy błyszczały pod świetlówką.

– Opowiedziałbym wam. Ale pod warunkiem że nie weźmiecie tego zbyt serio.

– Jeżeli to ci cośkolwiek przypomina, to już bardzo wiele – odparł Rohan z pełnymi ustami. – Mów, co ci to przypomina.

– Bezpośrednio nic. Ale słyszałem taką historię... to właściwie rodzaj bajki. O Lyranach...

– To nie jest bajka. Oni naprawdę istnieli. Jest o nich cała monografia Achramiana – zauważył Rohan. Za plecami Gralewa na pulpicie zaczęło pulsować światełko, znak, że mają bezpośrednią łączność z „Niezwyciężonym".

– Tak. Payne przypuszczał, że niektórym udało się uratować. Ale ja prawie jestem pewien, że to nieprawda. Zginęli wszyscy podczas wybuchu Nowej.

– To jest szesnaście lat świetlnych stąd – powiedział Gralew. – Nie znam tej książki Achramiana. Ale słyszałem, nie pamiętam nawet gdzie, historię o tym, jak próbowali się ratować. Podobno wysyłali statki na wszystkie planety innych gwiazd swojego pobliża. Znali już dość dobrze podświetlną astrogację.

– I co dalej?

– To właściwie wszystko. Szesnaście lat świetlnych nie jest zbyt wielką odległością. Może jakiś ich statek wylądował tutaj?

– Przypuszczasz, że oni tu są...? To znaczy ich potomkowie.

– Nie wiem. Po prostu skojarzyłem z nimi te ruiny. Mogli to zbudować...

– Jak oni właściwie wyglądali? – spytał Rohan. – Byli człekokształtni?

– Achramian sądzi, że tak – odparł Ballmin. – Ale to tylko hipoteza. Zostało po nich mniej niż po australopiteku.

– To dziwne...

– Wcale nie dziwne. Ich planeta była przez kilkanaście tysięcy lat pogrążona w chromosferze Nowej. Okresowo temperatura przekraczała na powierzchni dziesięć tysięcy stopni. Nawet skały denne skorupy globu przeszły kompletną metamorfozę. Po oceanach nie zostało ni śladu, cały glob wyżarzył się jak kość w ogniu. Pomyślcie, jakieś sto wieków wewnątrz pożaru Nowej!

– Lyranie tutaj? Ale dlaczego mieliby się ukrywać? I gdzie?

– Może już wyginęli? Zresztą, nie żądajcie ode mnie zbyt wiele. Po prostu powiedziałem to, co przyszło mi na myśl.

Zapadła cisza. Na pulpicie sterów zapalił się alarmowy sygnał. Rohan poderwał się, podniósł słuchawki do uszu.

– Tu Rohan... Co? To pan? Tak! Tak! Słucham... Dobrze, natychmiast wracamy! – Zwrócił ku tamtym pobladłą twarz.

– Druga grupa znalazła „Kondora”... trzysta kilometrów stąd...

# „KONDOR”

Z daleka rakieta wyglądała jak krzywa wieża. Wrażenie to powiększało ukształtowanie otaczających ją piasków: zachodnie obwałowanie było znacznie wyższe od wschodniego ze względu na kierunek stałych wiatrów. Kilka ciągników w pobliżu było zasypanych prawie zupełnie, nawet znieruchomiały miotacz antymaterii z uniesioną pokrywą zaniosło wydmami do połowy kadłuba. Ale sama rufa ukazywała wyloty dysz, bo znajdowała się wewnątrz niezawianej wklęsłości. Dzięki temu wystarczyło odgarnąć cienką warstwę piasku, aby dotrzeć do rozsypanych wokół pochylni przedmiotów.

Ludzie „Niezwyciężonego” zatrzymali się na brzegu obwałowania. Pojazdy, które ich przywiozły, otoczyły już wielkim kręgiem cały teren i wyrzucone z emitorów pęki siłowe połączyły się w osłaniające pole. Transportery i inforoboty pozostawili kilkadziesiąt metrów od miejsca, w którym kolisko piachu opasywało podstawę „Kondora”, i patrzyli ze szczytu wydmy w dół.

Pochylnię statku dzieliła od gruntu pięciometrowa przestrzeń, jakby coś zatrzymało ją znienacka w ruchu, kiedy była opuszczana. Rusztowanie osobowego dźwigu stało jednak pewnie, a pusta klatka windy z otwartym wejściem zdawała się zapraszać do środka. Obok niej wystawało z piasku kilka tlenowych butelek. Aluminiowe ich ścianki lśniły, jakby porzucono je zaledwie kilka minut temu. Nieco dalej wystawał z wydmy błękitny fragment jakiegoś przedmiotu, który okazał się plastykowym pojemnikiem. Zresztą chaotycznie porozrzucanych przedmiotów było

we wklęsłości u podnóża statku mnóstwo: bańki konserwowe, pełne i opróżnione, teodolity, aparaty fotograficzne, lunety, statywy i manierki – jedne całe, inne noszące ślady uszkodzeń.

Zupełnie jakby je ktoś wyrzucał całymi stosami z rakiety! – pomyślał Rohan, zadzierając głowę tam, gdzie w postaci ciemnego otworu widniało wejście osobowe: jego klapa była niedomknięta. Mały zwiad lotny de Vriesa natknął się zupełnie przypadkowo na martwy statek. De Vries nie próbował dostać się do jego wnętrza, lecz od razu zawiadomił bazę. Dopiero grupa Rohana miała zbadać tajemnicę sobowtóra „Niezwyciężonego". Technicy biegli już prosto od swych maszyn, niosąc skrzynki narzędziowe.

Zauważywszy coś wypukłego, co pokrywała cienka warstwa piasku, Rohan odrzucił ją czubkiem buta, sądząc, że to jakiś mały globus, i wciąż jeszcze nie zdając sobie sprawy, co to jest, wydźwignął ową bladożółtawą kulę z ziemi. Prawie krzyknął: wszyscy zwrócili się ku niemu. Trzymał ludzką czaszkę.

Potem znaleźli inne kości i więcej szczątków, a także jeden cały szkielet odziany w kombinezon. Między odpadłą dolną szczęką a zębami górnej spoczywał jeszcze ustnik tlenowego aparatu, a wskaźnik ciśnienia zatrzymał się na 46 atmosferach. Klęcząc, Jarg odkręcił zawór butli i gaz trysnął z przeciągłym sykiem. W doskonale suchym powietrzu pustyni nawet ślad rdzy nie tknął żadnej ze stalowych części reduktora i gwinty obracały się zupełnie lekko.

Mechanizm dźwigu można było uruchomić z klatkowej platformy, ale widocznie sieć była bez prądu, bo naciskanie guzików okazało się daremne. Wspięcie się po czterdziestometrowej konstrukcji windy przedstawiało niemałą trudność i Rohan wahał się, czy nie wysłać raczej w górę kilku ludzi na latającym talerzu, ale tymczasem dwóch techników, związawszy się liną, polazło

po zewnętrznym dźwigarze. Pozostali, milcząc, przyglądali się postępom ich wspinaczki.

„Kondor", statek dokładnie tej samej klasy co „Niezwyciężony", o kilka zaledwie lat wcześniej opuścił stocznię i nie można było odróżnić ich sylwetek. Ludzie milczeli. Chociaż właściwie nie mówiono o tym nigdy, woleliby chyba ujrzeć roztrzaskane wskutek wypadku – bodaj i eksplozji reaktora – szczątki. To, że stał tutaj, wkopany w piasek pustyni, martwo przechylony na jedną stronę, jakby grunt poddał się pod ciśnieniem podpór rufowych, tak otoczony chaosem przedmiotów i kości ludzkich, a równocześnie tak z pozoru nietknięty, ogłuszyło wszystkich. Wspinający się dosięgli osobowej klapy, uchylili ją bez wysiłku i znikli patrzącym z oczu. Nie było ich tak długo, że Rohan zaczął się już niepokoić, lecz niespodziewanie winda drgnęła, uniosła się o metr, a potem na powrót wylądowała na piasku. Równocześnie w otwartym wejściu ukazała się sylwetka jednego z techników; dawał ręką znaki, że można jechać.

Rohan, Ballmin, biolog Hagerup i jeden z techników, Kralik, we czterech pojechali na górę. Ze starego nawyku Rohan patrzał na potężną wypukłość kadłuba sunącą za balustradą dźwigu i pierwszy, ale nie ostatni raz tego dnia osłupiał. Tytanowo-molibdenowe płyty pancerza były raz koło razu nawiercone czy też podziobane jakimś przeraźliwie twardym narzędziem; ślady te były niezbyt głębokie, ale tak gęste, że całą powłokę zewnętrzną statku pokryła jakby ospa. Rohan szarpnął za ramię Ballmina, ale ów zauważył już tę rzecz niezwykłą. Obaj usiłowali przyjrzeć się dokładnie wykutym w pancerzu nierównościom. Wszystkie były drobne, jakby wyżłobione ostrym końcem dłuta, ale Rohan wiedział, że nie ma takiego dłuta, które naruszyłoby cementowaną powierzchnię. Mógł to być wynik tylko jakiegoś trawienia

chemicznego. Niewiele jednak dowiedział się, gdyż winda ukończyła krótką podróż i trzeba było wejść do komory ciśnień.

Wnętrze statku było oświetlone: technicy uruchomili już awaryjny generator poruszany sprężonym powietrzem. Piasek, nadzwyczaj miałki i drobny, zaścielał grubą warstwą tylko pobliże wysokiego progu. Wiatr wdmuchał go tu przez szczelinę uchylonej klapy. W korytarzach nie było go wcale. Wnętrza trzeciego poziomu otwierały się przed idącymi czyste, schludne, jasno oświetlone, tu i ówdzie leżał jakiś porzucony przedmiot – maska tlenowa, plastykowy talerz, książka, część kombinezonu – ale tak było właśnie tylko na trzecim poziomie. Niżej, w kajutach kartograficznych i gwiazdowych, w mesach, w kabinach załogi, w pomieszczeniach radarów, w głównym rozrządzie pędni, w korytarzach pokładowych i łącznikowych panował niewytłumaczalny chaos.

Jeszcze przeraźliwszy obraz ukazał się im w sterowni. Nie było tam bodaj jednej ocalałej szybki w ekranach czy zegarach. Przy tym, ponieważ szkła wszystkich przyrządów były z masy niedającej odłamków, jakieś zdumiewająco potężne ciosy obróciły je w srebrzysty proszek, który pokrywał pulpity, fotele, nawet przewody i kontakty. W przyległej bibliotece jak wysypana z worka kasza leżały mikrofilmy, częściowo rozwinięte i splątane wielkimi, śliskimi kłębami, podarte książki, połamane cyrkle, logarytmiczne suwaki, taśmy spektralne i analityczne, razem ze stertami wielkich gwiazdowych katalogów Camerona, nad którymi ktoś szczególnie się znęcał, z pasją, ale i niepojętą cierpliwością wyrywając plik po pliku ich grube, sztywne karty plastykowe. W pomieszczeniu klubowym i przylegającej doń sali projekcyjnej przejścia barykadowały stosy zmiętej odzieży i kawały skóry pozdzieranej z rozprutego obicia foteli. Wyglądało tam jednym słowem tak,

jakby według słów bosmana Ternera rakietę napadło stado wściekłych pawianów. Ludzie, tracąc wprost mowę na widok tego zniszczenia, przechodzili z jednego pokładu na drugi. W małej kajucie nawigacyjnej spoczywały pod ścianą zwinięte w kłębek, wyschłe zwłoki człowieka odzianego w płócienne spodnie i poplamioną koszulę. Okrywał go teraz brezent narzucony przez któregoś z techników, który wszedł tam jako pierwszy. Była to właściwie mumia o zbrunatniałej skórze, przyschniętej do kości.

Rohan opuścił „Kondora" jako jeden z ostatnich. Kręciło mu się w głowie; doznawał fizycznych mdłości i ponawiające się ich przystępy powściągał całą siłą woli. Miał wrażenie, że przeżył koszmarny, niewiarygodny sen. Twarze otaczających ludzi upewniały go jednak o prawdziwości wszystkiego, co widział. Nadano krótkie radiogramy do „Niezwyciężonego". Część załogi została przy opuszczonym „Kondorze", by zaprowadzić w jego wnętrzu jaki taki ład. Przedtem jednak kazał Rohan sfotografować dokładnie wszystkie pomieszczenia statku i sporządzić dokładne opisy stanu, w jakim je znaleziono.

Wracali z Ballminem i Gaarbem, jednym z biofizyków; kierowcą transportera był Jarg. Jego szeroka, zwykle uśmiechnięta twarz jakby zmniejszyła się i pociemniała. Wielotonowa maszyna, targana zrywami, które tak obce były płynnej zwykle jeździe opanowanego kierowcy, zawijała między wydmami, wyrzucając na boki olbrzymie fontanny piasku. Przed nimi sunął bezludny energobot, dając im osłonę siłową. Milczeli przez cały czas; każdy myślał swoje. Rohan bał się prawie spotkania z astrogatorem, bo nie wiedział, co właściwie mu powie. Jedno z najokropniejszych, przez to, że najbardziej bezsensownych, szalonych odkryć zachował dla siebie. W łazience ósmego poziomu znalazł kawałki mydła noszące wyraźne ślady ludzkich zębów. A przecież nie mogło być tam głodu;

magazyny wypełniały prawie nienaruszone zapasy żywności; nawet mleko w chłodniach doskonale się zachowało. W połowie drogi otrzymali sygnały radiowe od jakiegoś małego pojazdu samobieżnego, który mknął ku nim, zostawiając za sobą ścianę kurzu. Zwolnili, wtedy i tamta maszyna się zatrzymała. Jechało w niej dwu ludzi, niemłody już technik Magdow i neurofizjolog Sax. Rohan wyłączył pole i mogli się porozumieć głosem. Już po jego odjeździe odkryto w hibernatorze „Kondora" zamrożone ciało ludzkie. Człowiek ów mógł jeszcze, być może, zostać ożywiony; Sax wiózł więc całą potrzebną aparaturę z „Niezwyciężonego". Rohan zdecydował się jechać za Saxem, motywując to tym, że pojazd uczonego nie miał osłony siłowej. W rzeczywistości jednak był rad, że odwlecze się rozmowa z Horpachem. Zakręcili więc na miejscu i burząc piaski, pognali z powrotem.

Wokół „Kondora" panował ożywiony ruch. Wciąż wydobywano z wydm najróżniejsze przedmioty. Osobno, pod białymi płachtami, leżały układane rzędem zwłoki, było ich już ponad dwadzieścia. Pochylnia działała, nawet reaktor postojowy „Kondora" dawał już prąd. Zauważono ich z daleka po wznoszącej się kurzawie i otwarto przejście przez pole siłowe. Na miejscu był już lekarz, mały doktor Nygren, ale nie chciał bez asysty nawet zbadać dokładnie znalezionego w hibernatorze. Rohan, korzystając ze swego przywileju – zastępował tu bowiem samego dowódcę – udał się z obu lekarzami na pokład; porozbijane sprzęty, które za jego poprzednią bytnością uniemożliwiły zbliżenie się choćby do drzwi hibernatora, tymczasem usunięto. Wskaźniki stały na siedemnastu stopniach zimna. Obaj lekarze porozumieli się na ten widok oczami, bez słów, ale Rohan tyle wiedział o hibernacji, by zrozumieć, że temperatura jak na pełną śmierć odwracalną jest zbyt wysoka,

a znów na sen hipotermiczny – za niska. Nie wyglądało na to, że człowiek w hibernatorze został specjalnie przygotowany do przetrwania w odpowiednio utworzonych warunkach, ale raczej dostał się tam przypadkowo, w sposób równie niezrozumiały i bezsensowny, jaki cechował wszystko inne na „Kondorze". Istotnie, kiedy odziali się już w termostatyczne skafandry i odkręciwszy koła śrubowe, uchylili ciężką klapę, ujrzeli rozpostarte na podłodze, tylko w bieliznę przyodziane ciało leżącego na twarzy człowieka. Rohan pomógł lekarzom przenieść go na mały, wyścielany stół pod trzema bezcieniowymi lampami. Nie był to właściwie stół operacyjny, ale leżanka do drobnych zabiegów, jakich trzeba czasem dokonać w hibernatorze. Rohan obawiał się twarzy tego człowieka, znał bowiem znaczną liczbę ludzi „Kondora". Ale ten był mu obcy. Gdyby nie lodowate zimno i twardość jego członków, można by sądzić, że odnaleziony śpi. Powieki miał zamknięte, w suchej i hermetycznej kajucie skóra nie utraciła nawet naturalnej barwy, tyle że była blada. Ale tkanki pod nią pełne były mikroskopijnych kryształków lodowych. Obaj lekarze, nic nie mówiąc, po raz drugi porozumieli się oczami. Potem zaczęli przygotowywać swoje narzędzia. Rohan usiadł na jednej z pustych koi. Ich dwa długie szeregi stały porządnie zasłane; w hibernatorze panował doskonały, normalny ład. Kilka razy zadźwięczały instrumenty, lekarze poszeptali, nareszcie Sax powiedział, odchodząc od stołu:

– Nic się nie da zrobić.

– Nie żyje – raczej wyciągając z jego słów jedyną możliwą konkluzję, aniżeli pytając jeszcze, rzucił Rohan. Nygren podszedł tymczasem do tablicy klimatyzatora. Po chwili powietrze poruszył ciepły podmuch. Rohan wstał, aby wyjść, kiedy zobaczył, że Sax wraca do stołu. Podniósł z podłogi niewielką czarną torbę, otworzył ją, i ukazał się ów aparat, o którym Rohan nieraz już słyszał, ale

którego nigdy dotąd przy nim nie używano. Sax, ruchami nadzwyczaj spokojnymi, pedantycznie rozwijał kłębki przewodów zakończonych płaskimi elektrodami. Przyłożywszy ich sześć do czaszki umarłego, umocował je elastyczną taśmą. Przykucnąwszy, wyjął z torby trzy pary słuchawek. Nałożył sobie słuchawki na uszy i, wciąż schylony, poruszał gałkami aparatu znajdującego się wewnątrz pokrowca. Jego twarz o zamkniętych oczach przybrała wyraz doskonałego skupienia. Nagle ściągnął brwi, nachylił się jeszcze niżej, przytrzymał ręką gałkę, po czym gwałtownie zdjął słuchawki.

– Kolego Nygren – powiedział jakimś dziwnym głosem. Mały doktor wziął od niego słuchawki.

– Co?... – prawie bez tchu, drżącymi wargami wyszeptał Rohan. Aparat nazywał się „opukiwaczem grobów", przynajmniej w pokładowym żargonie. U zmarłego, którego śmierć zabrała niedawno, albo gdy nie doszło do rozkładu ciała, jak w tym wypadku, na skutek niskiej temperatury, można było „podsłuchać mózg", a właściwie to, co stanowiło ostatnią treść świadomości.

Aparat wprowadzał impulsy elektryczne w głąb czaszki; płynęły one drogą najmniejszego oporu – to jest po tych włóknach nerwowych, które tworzyły całość funkcjonalną w okresie przedagonalnym. Wyniki nie były nigdy pewne, ale chodziły słuchy, że kilka razy udało się w ten sposób zdobyć informacje niezwykłej wagi. W okolicznościach takich jak ta właśnie, gdy tak wiele zależało od uchylenia rąbka tajemnicy okrywającej tragedię „Kondora", zastosowanie „opukiwacza grobów" było koniecznością. Rohan domyślał się już, że neurolog nie liczył wcale na ożywienie zamarzłego człowieka i właściwie przyjechał tylko po to, aby usłyszeć, co przekaże mu jego mózg. Stał nieruchomo, czując dziwną suchość ust i ciężkie bicie serca, gdy Sax podał mu drugą parę

słuchawek. Gdyby nie prostota i naturalność owego gestu, nie odważyłby się ich nałożyć. Ale uczynił to pod spokojnym, ciemnym wzrokiem Saxa, który klęczał na jednym kolanie przy aparacie, poruszając drobnymi ruchami gałką wzmacniacza.

Początkowo nie słyszał nic prócz szumu prądów i odczuł to właściwie jako ulgę, ponieważ nie chciał nic usłyszeć. Wolałby, nie zdając sobie z tego nawet sprawy, by mózg tego nieznanego mu człowieka był niemy jak kamień. Sax, unosząc się z podłogi, poprawił mu słuchawki na głowie. Wtedy Rohan zobaczył coś poprzez światło oblewające białą ścianę kajuty, obraz szary, jak usypany z popiołu, zamglony i zawieszony w nieokreślonej odległości. Zamknął mimo woli powieki i to, co spostrzegł przed chwilą, stało się prawie wyraźne. Było to jakby przejście jakieś wewnątrz statku, z idącymi stropem rurami; całą jego szerokość tarasowały ludzkie ciała. Pozornie poruszały się, ale to drgał i falował cały obraz. Ludzie byli półnadzy, resztki ubrań wisiały w strzępach, a ich nadnaturalnej białości skóra pokryta była ni to ciemnymi cętkami, ni to jakąś wysypką. Być może i to zjawisko było tylko przypadkowym efektem ubocznym, bo od takich samych czarnych przecinków aż się roiło na podłodze i na ścianach. Cały ów obraz, jak niewyraźna fotografia zrobiona przez grubą warstwę płynącej wody, chwiał się, rozciągał, kurczył i falował. Przejęty zgrozą Rohan otworzył gwałtownie oczy; obraz poszarzał i prawie znikł, cieniem tylko jeszcze przesłaniając mocne światła otaczającej rzeczywistości. Ale Sax znowu dotknął gałki aparatu i Rohan usłyszał – jakby wewnątrz głowy słabe poszeptywanie: ...ala... ama... lala... ala ma... mama...

I nic więcej. Prąd wzmocnienia miauknął nagle, zabuczał i wypełnił słuchawki powtarzającym się jak szalona czkawka pianiem, jakby dzikim śmiechem, szydzącym i okropnym. Ale to był

już tylko prąd, po prostu heterodyna zaczęła generować zbyt mocne drgania...

Sax zwijał przewody, składał je, upychał w torbie, Nygren zaś podniósł skraj prześcieradła i zarzucił na ciało i twarz zmarłego, którego zamknięte dotąd usta, może pod wpływem ciepła (było już prawie gorąco w hibernatorze, przynajmniej Rohanowi pot spływał po grzbiecie), lekko się rozemknęły, przybierając wyraz nadzwyczajnego zdumienia. I takie znikły pod białym całunem...

– Mówcie coś... Dlaczego nic nie mówicie?! – wybuchnął Rohan. Sax zaciągnął paski futerału, wstał i podszedł do niego na krok.

– Proszę się opanować, nawigatorze...

Rohan zmrużył oczy, zacisnął pięści, jego wysiłek był tyleż ogromny, co daremny. Jak zwykle w takich chwilach, budziła się w nim pasja. Tę najtrudniej przychodziło powściągać.

– Przepraszam... – wybełkotał. – Więc co to właściwie znaczy?

Sax rozpinał obszerny skafander, który osunął się na podłogę, i pozorna wielkość opuściła go. Był znowu chudym, przygarbionym człowiekiem o wąskiej piersi, z cienkimi, nerwowymi rękami.

– Wiem nie więcej od pana – powiedział. – A może i mniej.

Rohan nic nie rozumiał, ale uczepił się jego ostatnich słów.

– Jak to...? Dlaczego mniej?

– Bo mnie tu nie było – nie widziałem nic oprócz tego trupa. Pan tu był od rana. Czy ten obraz nic panu nie mówi?

– Nie. Oni – oni się ruszali. Czyli żyli jeszcze wtedy? Co mieli na sobie? Te plamki...

– Nie ruszali się. To złudzenie. Engramy utrwalają się jak fotografia. Czasem jest zbitka złożona z kilku obrazów; w tym wypadku jej nie było.

– A te plamki? To także złudzenie?

– Nie wiem. Wszystko możliwe. Ale wydaje mi się, że nie. Co pan sądzi o tym, Nygren?

Mały lekarz wyswobodził się już ze skafandra.

– Nie wiem – powiedział. – Może to i nie był artefakt. Na stropie ich nie było, prawda?

– Tych plamek? Nie. Tylko na nich... i na podłodze. I kilka na ścianach...

– Gdyby to była druga projekcja, pokrywałyby raczej cały obraz – powiedział Nygren. – Ale to nie jest pewne. Zbyt wiele przypadkowości w takich utrwaleniach...

– A głos? Ten – ten bełkot? – dopytywał się rozpaczliwie Rohan.

– Jedno słowo było wyraźne: „mama". Słyszał je pan?

– Tak. Ale tam było jeszcze coś. „Ala"... „lala"... – to się powtarzało...

– Powtarzało się, bo przeszukałem całą korę ciemieniową – mruknął Sax. – To znaczy całą okolicę pamięci słuchowej – wyjaśnił Rohanowi. – To było najniezwyklejsze...

– Te słowa?

– Nie. Nie te słowa. Konający może myśleć o czymkolwiek; gdyby myślał o matce, byłoby to nawet zupełnie normalne. Ale jego kora słuchowa jest pusta. Zupełnie pusta, rozumie pan?

– Nie. Nic nie rozumiem. Jak to pusta?

– Zazwyczaj skanowanie płatów ciemieniowych nie daje wyników – wyjaśnił Nygren. – Jest tam zbyt wiele engramów, zbyt wiele utrwalonych słów. To jest tak, jakby pan próbował czytać sto książek naraz. Wynika z tego chaos. A on – patrzał na podłużny kształt pod białym płótnem – nie miał tam nic. Żadnych słów oprócz tych kilku sylab.

– Tak, przechodziłem od sensorycznego ośrodka mowy aż po sulcus Rolandi – powiedział Sax. – Dlatego te sylaby powtarzały się, to były ostatnie struktury fonetyczne, które ocalały.

– A reszta? A inne?

– Nie ma ich – Sax, jakby tracąc cierpliwość, podniósł ciężki aparat, aż zaskrzypiała skóra rękojeści. – Po prostu nie ma ich i koniec. Proszę mnie nie pytać, co się z nimi stało. Ten człowiek stracił swoją słuchową pamięć.

– A ten obraz?

– To coś innego. Widział go. Mógł nawet nie rozumieć, co widzi, ale fotoaparat także nic nie rozumie, a jednak utrwala to, na co go skierować. Zresztą nie wiem, czy rozumiał, czy nie.

– Pomoże mi pan, kolego?

Obaj lekarze, niosąc aparaty, wyszli. Drzwi się zamknęły. Rohan został sam. Ogarnęła go wtedy taka rozpacz, że podszedł do stołu, uniósł płótno, odrzucił je i rozpiąwszy koszulę zmarłego, która odtajała i była już całkiem miękka, uważnie zbadał jego pierś. Drgnął od jej dotyku, bo nawet skóra stała się elastyczna; w miarę jak tkanki tajały, przychodziło do wiotczenia mięśni, głowa, dotąd nienaturalnie uniesiona, opadła biernie, jakby ten człowiek naprawdę spał.

Rohan szukał na jego ciele jakichś śladów zagadkowej epidemii, zatrucia, ukąszeń, ale nie znalazł nic. Dwa palce lewej ręki odemknęły się, ukazując drobną rankę. Jej brzegi były lekko rozwarte; ranka zaczęła krwawić. Czerwone krople spadały na białą powłokę pianową stołu. Tego było już za wiele dla Rohana. Nie zasłoniwszy nawet całunem umarłego, wybiegł z kajuty i zmierzał, roztrącając skupionych przed nią ludzi, do głównego wyjścia, jakby go coś goniło.

Jarg zatrzymał go u komory ciśnień, pomógł założyć aparat tlenowy, nawet ustnik wetknął mu między wargi.

– Nic nie wiadomo, nawigatorze?

– Nie, Jarg. Nic. Nic!

Nie wiedział, z kim jedzie na dół windą. Silniki maszyn wyły na obrotach. Wiatr wzmógł się i fale piasku przelatywały, siekąc powierzchnię kadłuba, chropawą i nierówną. Rohan zapomniał zupełnie o tym zjawisku. Podszedł do rufy i wspiąwszy się na palce, dotknął delikatnie grubego metalu. Pancerz był jak skała, właśnie jak bardzo stara, wypróchniała powierzchnia skały najeżona twardymi gruzełkami nierówności. Widział między transporterami wysoką sylwetkę inżyniera Ganonga, ale nawet nie próbował pytać go, co sądzi o tym fenomenie. Inżynier wiedział tyle co on. To znaczy nic. Nic.

Wracał z kilkunastoma ludźmi, siedząc w kącie kabiny największego transportera. Jak z wielkiego oddalenia słyszał ich głosy. Bosman Terner mówił coś o zatruciu, ale zakrzyczano go.

– Zatrucie? Czym? Wszystkie filtry są w doskonałym stanie! Zbiorniki pełne tlenu. Zapasy wody nienaruszone... żywności w bród...

– Widzieliście, jak wyglądał ten, któregośmy znaleźli w małej nawigacyjnej? – spytał Blank. – Znałem go... Nie byłbym go poznał, ale miał taki sygnet...

Nikt mu nie odpowiedział. Powróciwszy do bazy, Rohan udał się prosto do Horpacha. Ten orientował się już w sytuacji dzięki transmisji telewizyjnej i raportom grupy, która wróciła wcześniej, przywożąc także kilkaset zrobionych zdjęć. Rohan poczuł mimo woli ulgę, że nie musi relacjonować dowódcy tego, co widział.

Astrogator przyjrzał mu się uważnie, wstając od stołu, na którym mapę okolicy zalegały odbitki fotograficzne. Byli we dwóch w dużej kajucie nawigacyjnej.

– Niech się pan weźmie w garść, Rohan – powiedział. – Rozumiem, co pan czuje, ale potrzebny jest nam przede wszystkim rozsądek. I opanowanie. Musimy dojść sedna tej obłąkanej historii.

– Mieli wszystkie środki zabezpieczenia: energoboty, lasery, miotacze. Główny antymat stoi tuż przy statku. Mieli to samo co my – bezbarwnym głosem powiedział Rohan. Usiadł nagle. – Przepraszam... – powiedział.

Astrogator wyjął z szafki ściennej butelkę koniaku.

– Stary środek, czasem się przydaje. Niech pan to wypije, Rohan. Używano tego dawniej na polach bitew... Rohan przełknął w milczeniu palący płyn.

– Sprawdzałem liczniki zbiorcze wszystkich agregatów mocy – powiedział takim tonem, jakby się skarżył. – Nie zaatakowało ich nic. Nawet nie dali jednego strzału. Po prostu – po prostu...

– Zwariowali? – poddał spokojnie astrogator.

– Chciałbym chociaż tego być pewnym. Ale jak to możliwe?

– Widział pan księgę pokładową?

– Nie. Gaarb zabrał ją. Pan ją ma?

– Tak. Po dacie lądowania są tylko cztery zapisy. Dotyczą tych ruin, które pan badał – I... „muszek".

– Nie rozumiem. Jakich muszek?

– Tego nie wiem. Dosłownie brzmi to tak...

Podniósł ze stołu otwartą księgę.

– „Żadnych oznak życia na lądzie. Skład atmosfery..." to są dane analiz... o, tutaj... „O 18.40 drugi powracający z ruin patrol gąsienicowy dostał się w lokalną burzę piaskową o znacznej aktywności wyładowań atmosferycznych. Kontakt radiowy nawiązany, mimo zakłóceń. Patrol donosi o odkryciu znacznej ilości muszek zalegających...".

Astrogator urwał i odłożył książkę.

– A dalej? Czemu pan nie kończy?

– To jest właśnie koniec. Na tym urywa się ostatni zapis.

– I więcej nie ma nic?

– Resztę może pan zobaczyć.

Podsunął mu otwartą stronę. Pokryta była nieczytelnymi gryzmołami. Rohan rozszerzonymi oczyma wpatrywał się w chaos przecinających się linii.

– Tu jest jakby litera „b”... – powiedział cicho.

– Tak. A tu „G”. Duże „G”. Zupełnie jakby pisało małe dziecko... Nie uważa pan?

Rohan milczał z pustą szklanką w ręku. Zapomniał ją odstawić. Pomyślał o niedawnych swoich ambicjach: marzył o tym, by samemu poprowadzić „Niezwyciężonego”. Teraz wdzięczny był losowi, że nie on musi rozstrzygać o dalszych losach wyprawy.

– Proszę wezwać kierowników grup specjalistycznych. Rohan! Zbudź się pan!

– Przepraszam. Narada, panie astrogatorze?

– Tak. Niech wszyscy przyjdą do biblioteki.

Po kwadransie wszyscy siedzieli już w wielkiej kwadratowej sali o ścianach powleczonych barwną emalią; kryły w sobie książki i mikrofilmy. Najwstrętniejsze chyba było niesamowite podobieństwo pomieszczeń „Kondora” i „Niezwyciężonego”. Zrozumiałe, były to statki bliźniacze – ale Rohan, patrząc w byle kąt, nie mógł odeprzeć obrazów szaleństwa, które wżarły mu się w pamięć.

Każdy człowiek miał tu ustalone swoje miejsce. Biolog, lekarz, planetolog, inżynierowie elektronicy i łącznościowcy, cybernetycy i fizycy siedzieli w ustawionych półkręgiem fotelach. Tych dziewiętnastu ludzi stanowiło mózg strategiczny statku. Astrogator stał samotny pod opuszczonym do połowy białym ekranem.

– Czy wszyscy obecni zaznajomili się z sytuacją wykrytą na pokładzie „Kondora”?

Odpowiedzią był wielogłosy pomruk przytaknięć.

– Do tej chwili – powiedział Horpach – ekipy pracujące w perymetrze „Kondora” odnalazły dwadzieścia dziewięć ciał. Na samym statku znaleziono ich trzydzieści cztery, w tym jedno zachowane doskonale dzięki zamrożeniu w hibernatorze. Doktor Nygren, który właśnie wrócił stamtąd, zda nam relację ogólną...

– Nie mam wiele do powiedzenia – rzekł, wstając, mały doktor. Powoli podszedł do astrogatora. Był od niego niższy o głowę.

– Znaleźliśmy tylko dziewięć ciał zmumifikowanych. Poza tym, o którym wspomniał dowódca, a które będzie badane osobno. Są to właściwie szkielety lub części szkieletów wydobyte z piasku. Mumifikacja zachodziła wewnątrz statku, gdzie były sprzyjające ku temu warunki: bardzo mała wilgotność powietrza, praktyczny brak bakterii gnilnych i niezbyt wysoka temperatura. Ciała, które znajdowały się na wolnej przestrzeni, uległy rozkładowi, wzmagającemu się w okresach deszczów, bo piasek zawiera tu znaczny procent tlenków i siarczków żelaza reagujących ze słabymi kwasami... Zresztą, myślę, że te szczegóły nie są istotne. Gdyby dokładne przedstawienie zachodzących reakcji było wskazane, sprawę tę można przekazać kolegom chemikom. W każdym razie, w warunkach przestrzeni zewnętrznej mumifikacja tym bardziej nie mogła zachodzić, że dołączało się tu działanie wody i rozpuszczonych w niej substancji, a także działanie piasku trwające przez wiele lat. Tym ostatnim tłumaczy się też wypolerowanie powierzchni kostnych.

– Przepraszam – przerwał mu astrogator. – Najważniejsza jest w tej chwili przyczyna zgonu tych ludzi, doktorze...

– Żadnych oznak gwałtownej śmierci, przynajmniej na ciałach najlepiej zachowanych – wyjaśnił natychmiast lekarz. Nie patrzał na nikogo, wyglądało, jakby obserwował coś niewidzialnego

w uniesionej ku twarzy ręce. – Obraz jest taki, jakby zmarli w sposób naturalny.

– To znaczy?

– Bez zewnętrznych, gwałtownych działań. Niektóre kości długie znalezione oddzielnie są połamane, ale uszkodzenia takie mogły nastąpić później. Ustalenie tego wymaga dłuższych badań. Ci, którzy mieli na sobie ubrania, mają nieuszkodzone zarówno powłoki skórne, jak i szkielety. Żadnych ran, jeśli nie liczyć drobnych zadraśnięć, które na pewno nie mogły być przyczyną śmierci.

– Więc w jaki sposób zginęli?

– Tego nie wiem. Można sądzić, że z głodu lub z pragnienia...

– Zapasy wody i żywności są tam niezużyte – zauważył ze swojego miejsca Gaarb.

– Wiem o tym.

Przez chwilę panowało milczenie.

– Mumifikacja jest przede wszystkim pozbawieniem organizmu wody – wyjaśnił Nygren. Wciąż nie patrzał na nikogo z obecnych. – Tkanki tłuszczowe ulegają przemianom, ale można je wykryć. Otóż... ci ludzie praktycznie byli ich pozbawieni. Właśnie jak po długotrwałym głodowaniu.

– Ale ten zachowany w hibernatorze nie – rzucił stojący za ostatnim rzędem foteli Rohan.

– To prawda. Ale on zmarł prawdopodobnie wskutek zamrożenia. Musiał dostać się w niewiadomy sposób do hibernatora; być może usnął po prostu, podczas gdy temperatura spadała.

– Czy dopuszcza się możliwość zbiorowego zatrucia? – spytał Horpach.

– Nie.

– Ależ, doktorze... nie może pan tak kategorycznie...

– Mogę to powiedzieć – odparł lekarz. – Zatrucie w warunkach planetarnych może nastąpić albo przez płuca, wdychanymi gazami, albo przez przewód pokarmowy, albo przez skórę. Jedne z najlepiej zachowanych zwłok miały nałożony aparat tlenowy. W butli był tlen. Starczyłoby go jeszcze na kilkanaście godzin...

To prawda – pomyślał Rohan. Przypomniał sobie tego człowieka, obciągniętą skórę czaszki z resztkami zbrunatniałych plam na kościach policzkowych, oczodoły, z których wysypywał się piasek.

– Ludzie ci nie mogli zjeść nic zatrutego, bo tu w ogóle nie ma nic do jedzenia. To znaczy na lądzie. A żadnych połowów w oceanie nie podejmowali. Katastrofa nastąpiła krótko po wylądowaniu. Wysłali zaledwie jeden patrol w głąb ruin. To było wszystko. Zresztą widzę właśnie McMinna. Kolego Minn, skończył pan?

– Tak – powiedział od drzwi biochemik. Wszystkie głowy zwróciły się ku niemu. Przeszedł środkiem między siedzącymi i stanął obok Nygrena. Miał jeszcze na sobie długi fartuch laboratoryjny.

– Przeprowadził pan analizy?

– Tak.

– Doktor McMinn badał ciało człowieka, który został znaleziony w hibernatorze – wyjaśnił Nygren. – Może pan od razu powie, co pan znalazł?

– Nic – powiedział McMinn. Miał on włosy tak jasne, że nie wiadomo było, czy nie są po prostu siwe, i oczy tego samego koloru. Nawet jego powieki pokryte były dużymi piegami. Ale teraz ta długa, końska twarz nikogo nie śmieszyła.

– Żadnych trucizn organicznych ani nieorganicznych. Wszystkie enzymatyczne zespoły tkanek w stanie prawidłowym. Krew w normie. W żołądku resztki strawionych sucharów i koncentratu.

– Więc jak on zginął? – spytał Horpach. Był wciąż tak samo spokojny.

– Po prostu zamarzł – odpowiedział McMinn i teraz dopiero zauważył, że ma na sobie fartuch. Odpiął sprzączki i rzucił go na stojący obok pusty fotel. Śliska tkanina osunęła się i spadła na podłogę.

– Więc jakie jest zdanie panów? – podjął nieustępliwy astrogator.

– Nie mam żadnego – powiedział McMinn. – Mogę tylko powiedzieć, że ci ludzie nie ulegli zatruciu.

– Jakaś rozpadająca się szybko substancja radioaktywna? Albo twarde promieniowanie?

– Twarde promieniowanie w dawkach zabójczych pozostawia ślady: wynaczynienia, petechie, zmiany w obrazie krwi. Nie ma takich zmian. Nie ma też radioaktywnej substancji, która zażyta w dawce śmiertelnej przed ośmiu laty znikłaby bez śladu. Tutejszy poziom radioaktywności jest niższy od ziemskiego. Ci ludzie nie zetknęli się z żadną formą aktywności promienistej. Za to mogę ręczyć.

– Ale coś ich przecież zabiło! – podniesionym głosem powiedział planetolog Ballmin.

McMinn milczał. Nygren powiedział coś do niego po cichu. Biochemik skinął głową i wyszedł, mijając rzędy siedzących. Wtedy i Nygren zeszedł z podium i usiadł na swoim miejscu.

– Sprawa nie wygląda dobrze – powiedział astrogator. – W każdym razie od biologów nie możemy spodziewać się pomocy. Czy któryś z panów ma coś do powiedzenia?

– Tak.

Wstał Sarner, fizyk atomista.

– Wytłumaczenie końca „Kondora” tkwi w nim samym – powiedział. Popatrzył na wszystkich po kolei swymi oczami

dalekowzrocznego ptaka. Przy czarnych włosach tęczówki miał prawie białe.

– To znaczy – ono tam jest, tylko nie umiemy go na razie odczytać. Chaos panujący w kajutach, nienaruszone zapasy, układ i rozmieszczenie zwłok, uszkodzenia instalacji – wszystko to coś oznacza.

– Jeśli nie ma pan nic więcej do powiedzenia... – rzucił zniechęcony Gaarb.

– Powoli. Znajdujemy się w ciemności. Musimy szukać jakiejś drogi. Na razie wiemy bardzo niewiele. Mam wrażenie, że pewnych rzeczy, które widzieliśmy na pokładzie „Kondora", nie mamy odwagi przypominać. Dlatego z taką uporczywością wracaliśmy do hipotezy zatrucia i wywołanego nim zbiorowego obłędu. W interesie nas samych – i przez wzgląd na tamtych – musimy jednak być wobec faktów bezwzględni. Proszę, a raczej zgłaszam kategoryczny wniosek, żeby każdy z was powiedział tu, zaraz, co było najbardziej szokujące na „Kondorze". Czego być może nie powiedział nikomu. O czym pomyślał, że trzeba to zapomnieć.

Sarner usiadł. Rohan, po krótkiej walce wewnętrznej, powiedział o tych kawałkach mydła, które zauważył w łazience.

Potem wstał Gralew. Pod warstwą podartych map i książek pełno było na pokładach zeschłych odchodów.

Ktoś inny powiedział o puszce konserw, która nosiła ślady zębów. Jakby usiłowano rozgryźć blachę. Gaarba najbardziej przeraziły bazgroły w książce pokładowej i wzmianka o „muszkach". Nie poprzestał na tym.

– Powiedzmy, że z tego tektonicznego rowu w „mieście" wydostała się fala gazów trujących i wiatr przyniósł ją do rakiety. Jeśli wskutek nieostrożności klapa została niedomknięta...

– Niedomknięta była tylko klapa zewnętrzna, kolego Gaarb. Świadczy o tym piasek w komorze ciśnień. Wewnętrzna była zamknięta...

– Mogli ją zamknąć potem, gdy już zaczęli odczuwać trujące działanie gazu...

– Przecież to niemożliwe, Gaarb. Wewnętrznej klapy nie otworzy pan, kiedy otwarta jest zewnętrzna. Otwierają się na przemian, to wyklucza wszelką nieostrożność czy niedbalstwo...

– Ale jedno nie ulega dla mnie wątpliwości, że to się stało nagle. Zbiorowe szaleństwo – już nie mówię o tym, że w czasie lotu w próżni zdarzają się wypadki psychozy, ale nigdy na planetach, i to jeszcze dosłownie w kilka godzin po lądowaniu. Zbiorowe szaleństwo ogarniające całą załogę mogło być tylko wynikiem zatrucia...

– Albo zdziecinnienia – zauważył Sarner.

– Jak? Co pan mówi? – osłupiał Gaarb. – Czy to ma być... żart?

– Nie żartuję w takiej sytuacji. Powiedziałem o zdziecinnieniu, bo nikt o tym nie powiedział. A jednak – te gryzmoły w książce pokładowej, te porozdzierane almanachy gwiazdowe, te z trudem rysowane litery... widzieliście je, prawda?

– Ale co to znaczy? – spytał Nygren. – Czy to ma być jednostka chorobowa?

– Nie. Chyba nie ma takiej, prawda, doktorze?

– Na pewno nie.

Znowu zapadło milczenie. Astrogator się wahał.

– To może nas popchnąć w fałszywym kierunku. Wyniki nasłuchów nekroptycznych są zawsze niepewne. Ale teraz nie wiem, co mogłoby nam jeszcze zaszkodzić. Doktorze Sax...

Neurofizjolog przedstawił obraz uzyskany z mózgu zamarzniętego w hibernatorze, jak również nie omieszkał powiedzieć o sylabach,

które pozostały w słuchowej pamięci nieboszczyka. Wznieciło to istną burzę pytań; ich ogień krzyżowy dosięgnął także Rohana, bo i on brał udział w eksperymencie. Ale nie doszli niczego.

– Te plamki kojarzą się z „muszkami”... – powiedział Gaarb. – Zaraz. A może przyczyny śmierci były różne? Powiedzmy, że załogę opadły jakieś jadowite owady – w końcu nie da się stwierdzić śladu drobnego ukłucia na zmumifikowanej skórze. A ten znaleziony w hibernatorze po prostu usiłował się ukryć przed tymi owadami, by ujść losu towarzyszy... i zamarzł.

– Ale dlaczego przed śmiercią zapadł na amnezję?

– To jest utrata pamięci, tak? Czy to zostało z całkowitą pewnością stwierdzone?

– O tyle, o ile pewne są wyniki badania nekroptycznego.

– Ale co powiecie o hipotezie tych owadów?

– Niech się wypowie w tej sprawie Lauda.

Był to Główny Paleobiolog statku; wstał, czekając, aż wszyscy się uciszą.

– Nieprzypadkowo nie mówiliśmy w ogóle o tak zwanych muszkach. Każdy, kto choć trochę orientuje się w biologii, wie, że żadne organizmy nie mogą żyć poza określonym biotopem, to jest jednostką nadrzędną, na którą składają się środowisko i wszystkie w nim żyjące gatunki. Tak jest w całym poznanym Kosmosie. Życie albo wytwarza olbrzymią rozmaitość form, albo nie powstaje wcale. Owady nie mogły powstać bez równoczesnego rozwoju roślin naziemnych, innych ustrojów symetrycznych, bezkręgowych i tak dalej. Nie będę wam wykładał ogólnej teorii ewolucji, myślę, że wystarczy, jeżeli zapewnię was, że to niemożliwe. Nie ma tutaj żadnych trujących much ani innych członkonogich, stawonogów, błonkoskrzydłych czy pajęczaków. Nie ma też żadnych form z nimi spokrewnionych.

– Nie może pan być tak pewny swego! – zawołał Ballmin.

– Gdybyście byli moim uczniem, Ballmin, nie dostalibyście się na ten pokład, bo nie zdalibyście u mnie egzaminu – powiedział niewzruszony paleobiolog i obecni mimo woli się uśmiechnęli. – Nie wiem, jak tam z paleontologią, ale z biologii ewolucyjnej niedostatecznie!

– Już się z tego robi typowy spór fachowców... Nie szkoda na to czasu...? – szepnął ktoś do Rohana z tyłu. Rohan odwrócił się i zobaczył szeroką, opaloną twarz Jarga, który mrugnął doń porozumiewawczo.

– Więc to może nie są owady pochodzenia miejscowego – upierał się przy swoim Ballmin – może przywieziono je skądś...

– Skąd?

– Z planety Nowej...

Teraz wszyscy zaczęli mówić naraz. Trwało to dobrą chwilę, nim dało się uspokoić zgromadzonych.

– Koledzy! – powiedział Sarner. – Wiem, skąd wziął swój pomysł Ballmin. Od doktora Gralewa...

– Trudno – nie wypieram się autorstwa – rzucił fizyk.

– Doskonale. Powiedzmy, że na luksus prawdopodobnie brzmiących hipotez już nie możemy sobie pozwolić. Że potrzebujemy hipotez szalonych. Niech będzie i tak. Panowie biolodzy! Powiedzmy, że jakiś statek z planety Nowej przywiózł tu tamtejsze owady... Czy mogły się zaadaptować do miejscowych warunków?!

– Jeśli hipoteza ma być szalona, to mogłyby – zgodził się ze swego miejsca Lauda. – Ale nawet szalona hipoteza musi tłumaczyć wszystko.

– To znaczy?

– To znaczy, że musi wyjaśniać, co pogryzło cały pancerz zewnętrzny „Kondora", i to do tego stopnia, że jak mi mówią inżynierowie, statek w ogóle nie będzie zdolny do lotu, dopóki nie zostanie poddany gruntownemu remontowi. Czy sądzicie może, że jakieś owady przystosowały się do spożywania stopu molibdenowego? Jest to jedna z najtwardszych substancji w całym Kosmosie. Inżynierze Petersen, co może naruszyć ten pancerz?

– Kiedy jest dobrze zacementowany, właściwie nic – powiedział zastępca Głównego Inżyniera. – Można to trochę nawiercić diamentami, ale na to trzeba tony wierteł i tysiąca godzin czasu. Już raczej kwasami. Ale to są kwasy nieorganiczne, muszą działać w temperaturze co najmniej dwu tysięcy stopni i w obecności odpowiednich katalizatorów.

– A co według pana zgryzło pancerz „Kondora"?

– Nie mam pojęcia. Wyglądałby tak, gdyby siedział w kąpieli kwasowej i w odpowiednim żarze. Ale jak to zostało zrobione – bez łuków plazmowych i bez katalizatorów – tego nie umiem sobie wyobrazić.

– Macie wasze „muszki", kolego Ballmin – powiedział Lauda i usiadł.

– Myślę, że nie ma sensu kontynuować dyskusji – odezwał się milczący dotąd astrogator. – Może było na nią jeszcze za wcześnie. Nie pozostaje nam nic innego, jak prowadzić badania. Podzielimy się na trzy grupy. Jedna zajmie się ruinami. Druga „Kondorem", a trzecia dokona kilku wypadów w głąb Pustyni Zachodniej. To jest maksimum naszych możliwości, bo nawet jeśli uruchomi się niektóre maszyny „Kondora", nie mogę zdjąć z perymetru więcej aniżeli czternaście energobotów, a w dalszym ciągu będzie obowiązywać trzeci stopień...

# PIERWSZY

Tląca, śliska czerń otaczała go ze wszystkich stron. Dusił się. Rozpaczliwymi ruchami usiłował odepchnąć niematerialnie jak gdyby okręcające go zwoje, zapadając się coraz głębiej, z krzykiem wtłoczonym w obrzękłe gardło, daremnie szukał broni, był nagi, ostatni raz wytężył wszystkie siły, by krzyczeć. Ogłuszający dźwięk wyrwał go ze snu. Rohan wyskoczył z koi na pół przytomny, wiedząc tylko tyle, że otacza go mrok, w którym nieustannie dzwoni alarmowy sygnał. To już nie był koszmar. Zapalił światło, narzucił kombinezon i pobiegł ku windzie. Tłoczyli się przy niej na wszystkich poziomach ludzie. Słychać było przeciągły dźwięk sygnałów, czerwone napisy ALARM gorzały ze ścian. Wbiegł do sterowni. Astrogator, ubrany jak za dnia, stał przed głównym ekranem.

– Odwołałem już alarm – powiedział spokojnie. – To tylko deszcz, Rohan, ale niech pan patrzy. Bardzo ładne widowisko.

W samej rzeczy ekran, który ukazywał górną część nocnego nieba, jarzył się niezliczonymi iskrami wyładowań. Krople deszczu, padając z wysokości, trafiały w niewidzialną, nakrywającą „Niezwyciężonego" na kształt olbrzymiej czaszy osłonę pola siłowego i obracając się w mgnieniu oka w mikroskopijne płomienne wybuchy, oświetlały cały krajobraz migotliwym światłem podobnym do ustokrotnionej zorzy polarnej.

– Należałoby lepiej zaprogramować automaty... – słabym głosem powiedział Rohan, zupełnie już przytomny. Odechciało mu się snu. – Muszę powiedzieć Ternerowi, żeby nie włączał anihilacji. Inaczej

byle garść piasku przyniesiona wiatrem będzie nas zrywać w środku nocy...

– Dajmy na to, że to był próbny alarm. Rodzaj manewrów – odparł astrogator, który zdawał się być w nadspodziewanie dobrym humorze. – Jest teraz czwarta. Może pan wracać do siebie, Rohan.

– Prawdę mówiąc, nie mam ochoty. Czy pan...?

– Spałem już. Wystarczą mi cztery godziny. Po szesnastu latach próżni rytm snu i czuwania nie ma w człowieku już nic wspólnego ze starym ziemskim nawykiem. Zastanawiałem się nad maksymalnym zabezpieczeniem ekip badawczych, Rohan. To dosyć kłopotliwe – wlec wszędzie energoboty i rozwijać osłony siłowe. Co pan o tym sądzi?

– Można by dać ludziom indywidualne emitory. Ale to też nie rozwiąże wszystkiego. Człowiek w siłowym pęcherzu nie może niczego dotknąć... pan wie, jak to jest. A jeżeli zanadto zmniejszy się promień energetycznego bąbla, można się nawet samemu poparzyć. Widziałem już to.

– Myślałem nawet o tym, żeby nikogo nie puszczać na ląd i pracować za pomocą robotów ze zdalnym sterowaniem – przyznał się astrogator. – No, ale to dobre na kilka godzin, na dzień, a wygląda mi na to, że zostaniemy tu dłużej...

– Więc co zamierza pan robić?

– Każda grupa będzie miała bazę wyjściową otoczoną siłowym polem, ale poszczególni badacze muszą zyskać pewną swobodę ruchów. Inaczej zabezpieczymy się przed wypadkami tak dobrze, że niczego nie dojdziemy. Warunek konieczny jest taki, że każdy pracujący na zewnątrz osłony siłowej ma za plecami człowieka osłoniętego, który czuwa nad jego poruszeniami. Nie znikać z oczu – to pierwsza zasada na Regis III.

– Gdzie mnie pan przydzieli?

– Chciałby pan pracować przy „Kondorze”...? Widzę, że nie. Dobrze. Pozostaje miasto albo pustynia. Może pan wybierać.

– Wybieram miasto, panie astrogatorze. Wciąż mi się zdaje, że tajemnica jest tam ukryta...

– Możliwe, a zatem jutro, a właściwie dzisiaj, bo już świta, weźmie pan swoją wczorajszą ekipę. Dodam panu jeszcze ze dwa arktany. Ręcznych laserów też warto trochę wziąć, bo takie mam wrażenie, że „to” działa z niewielkiego dystansu...

– Co?

– Żebym wiedział. Aha. I kuchnię niech pan weźmie, tak aby być zupełnie od nas niezależnym i w razie potrzeby móc pracować bez stałej łączności materiałowej ze statkiem...

Czerwone, prawie niegrzejące słońce przetoczyło się przez nieboskłon. Cienie groteskowych budowli wydłużały się i łączyły. Ruchome wydmy między metalowymi piramidami wiatr przesuwał wciąż na inne miejsca. Rohan siedział na grzbiecie ciężkiego transportera i przez lunetę wpatrywał się w Gralewa i Chena, którzy poza granicą pola siłowego grzebali się u stóp czarniawego „plastra miodu”. Pas, na którym wisiał ręczny miotacz świetlny, ugniatał mu kark. Odsunął go, jak się dało, do tyłu, nie spuszczając z oka dwóch ludzi. Plazmowy palnik w ręku Chena świecił jak drobny, lecz oślepiający brylant. Z wnętrza pojazdu doszedł go dźwięk rytmicznie powtarzającego się sygnału wywoławczego, ale ani na chwilę nie odwrócił głowy. Słyszał, jak kierowca odpowiada bazie.

– Panie nawigatorze! Rozkaz dowódcy! Mamy natychmiast wracać! – krzyknął podniecony Jarg, wystawiając głowę przez właz wieżyczki.

– Wracać? Dlaczego?

– Nie wiem. Powtarzają wciąż sygnał natychmiastowego powrotu i cztery razy EV.

– EV?! Och, jak mi kości zdrętwiały! To znaczy, że musimy się spieszyć. Daj mi tu mikrofon i wyciągnij flary.

Po dziesięciu minutach wszyscy ludzie zewnętrznej strefy byli już w pojazdach. Rohan poprowadził swą niewielką kolumnę z maksymalną szybkością, na jaką zezwalał pagórkowaty teren. Blank, który pełnił teraz przy nim funkcję łącznościowca, nagle podał mu słuchawki. Rohan spuścił się w dół do metalowego wnętrza pachnącego rozgrzanym plastykiem i w powiewie idącym od wentylatora, który rozwiewał mu włosy, słuchał wymiany sygnałów między grupą Gallaghera pracującą na Pustyni Zachodniej i „Niezwyciężonym". Zbierało się jakby na burzę. Od rana już barometry wskazywały niskie ciśnienie, ale dopiero teraz powyłaziły spoza horyzontu granatowe, płaskie chmury. Niebo nad nimi było czyste. Na brak zakłóceń atmosferycznych nie można było się uskarżać – trzeszczało w słuchawkach tak, że łączność szła tylko Morse'em. Rohan chwytał grupy umownych sygnałów. Włączył się na ten podsłuch zbyt późno, więc nie mógł się zorientować, o co chodzi. Zrozumiał tylko, że grupa Gallaghera też wraca do bazy całą mocą, a na statku ogłoszono pogotowie i wezwano na stanowiska wszystkich lekarzy.

– Pogotowie lekarzy – powiedział do patrzących nań wyczekująco Ballmina i Gralewa. – Jakiś wypadek. Ale pewno nic wielkiego. Może był obwał, mogło kogoś zasypać...

Mówił tak, ponieważ wiadomo było, że ludzie Gallaghera mieli się wziąć do wykopalisk geologicznych w ustalonym przez wstępny zwiad miejscu. Prawdę mówiąc, sam nie wierzył w to, że zdarzył się tylko zwykły wypadek w czasie pracy. Od bazy dzieliło ich zaledwie sześć kilometrów, ale tamtą grupę ściągnięto widać dużo

wcześniej, gdyż w momencie, kiedy zobaczyli ciemny, pionowy kształt „Niezwyciężonego", przecięli zupełnie świeże ślady gąsienic, a przy takim wietrze nie byłyby one widoczne ani przez pół godziny.

Zbliżyli się do granicy zewnętrznego pola i zaczęli wzywać sterownię, żeby otworzono im przejście. Dziwnie długo musieli czekać, zanim odpowiedziano wreszcie na wezwanie. Na koniec zapaliły się umowne, błękitne światła i wjechali w obręb wewnętrznego perymetru. Była tu już grupa z „Kondora". A więc to ją sprowadzono przed nimi, nie geologów Gallaghera. Gąsienicówki stały, jedne obok pochylni, inne zagradzały dojazd, panował bałagan, ludzie biegali, grzęznąc po kolana w piasku, automaty błyskały latarkami.

Zapadał już zmierzch. Przez chwilę Rohan nie mógł się połapać w tym chaosie. Nagle z wysokości buchnął słup oślepiającej bieli. Wielki reflektor upodobnił rakietę do olbrzymiej latarni morskiej. Wymacał daleko na pustyni kolumnę świateł chybocących raz w górę, raz w dół, to na boki, jakby naprawdę zbliżała się jakaś armada statków. Znowu błysnęły światła otwieranego pola siłowego. Maszyny jeszcze nie stanęły, a już siedzący na nich ludzie Gallaghera zeskakiwali w piach, od pochylni nadjeżdżał na kołach drugi reflektor, poprzez szpaler stłoczonych, zepchniętych na boki maszyn szła grupa ludzi, otaczając nosze, na których ktoś leżał.

Rohan roztrącił stojących przed nim w chwili, kiedy nosze mijały go, i osłupiał. W pierwszej chwili pomyślał, że naprawdę zdarzył się nieszczęśliwy wypadek, ale człowiek na noszach miał skrępowane nogi i ręce.

Targając całym ciałem, aż skrzypiały sznury, którymi był unieruchomiony, wydawał szeroko rozwartymi ustami skomlący, okropny głos. Grupa przeszła już, kierując się w ślad

za prowadzącym ją koliskiem reflektorów, a Rohana, stojącego w ciemności, wciąż dobiegało to nieludzkie skomlenie, niepodobne do niczego, co kiedykolwiek słyszał. Biała plama światła z poruszającymi się w niej figurkami zmalała, wznosząc się po pochylni, i znikła w ziejącym szeroko wejściu towarowego luku. Rohan zaczął się dopytywać, co zaszło, ale otaczali go ludzie ekipy „Kondora", którzy wiedzieli tyle samo, co on.

Minęła dobra chwila, nim oprzytomniał dostatecznie, by zaprowadzić jaki taki porządek. Wstrzymany szereg maszyn ruszył, hucząc silnikami, w górę pochylni, zapaliły się światła nad windą, gromada stojących u jej stóp zmniejszała się, na koniec Rohan pojechał na górę jako jeden z ostatnich, z ciężko objuczonymi arktanami, których spokój wydawał mu się szczególnie perfidną drwiną. We wnętrzu rakiety słychać było przeciągłe dzwonki informatorów i wewnętrznych telefonów, na ścianach wciąż jeszcze płonęły alarmowe wezwania lekarzy, ale te zaraz zgasły – robiło się coraz luźniej. Część załogi zjeżdżała w dół, do mesy, słyszał rozmowy w korytarzu wypełnionym krokami, jakiś zapóźniony arktan ciężko stąpał, zmierzając do przedziału robotów, wreszcie wszyscy się rozeszli, a on został jakby porażony bezwładem, jakby utraciwszy nadzieję na zrozumienie tego, co się stało, jakby ogarnięty pewnością, że żadnego wytłumaczenia nie może być i nie będzie.

– Rohan!

Stał przed nim Gaarb. Ten okrzyk otrzeźwił go. Drgnął.

– To pan...? Doktorze... widział pan? Kto to był?

– Kertelen.

– Co?! To niemożliwe.

– Widziałem go prawie do samego końca.

– Do jakiego końca?

– Byłem z nim razem – powiedział nadnaturalnie spokojnym głosem Gaarb. Rohan widział błyskanie świateł korytarza w jego szkłach.

– Grupa eksploracyjna pustyni... – wybełkotał.

– Tak.

– I co się z nim stało?

– Gallagher wyznaczył to miejsce na podstawie sejsmicznych sondowań... trafiliśmy w labirynt małych, krętych wąwozów – mówił powoli Gaarb, jakby nie do niego, jakby sam usiłował sobie dokładnie przypomnieć kolejność wypadków. – Są tam miękkie skałki pochodzenia organicznego poryte wodą, pełno grot, jaskiń, musieliśmy zostawić gąsienicówki na wierzchu... Szliśmy blisko siebie, było nas jedenastu. Ferrometry wykazywały obecność większej ilości żelaza; szukaliśmy go. Kertelen myślał, że gdzieś są ukryte jakieś maszyny...

– Tak, mnie też mówił coś podobnego... i co było potem?

– W jednej z jaskiń, zupełnie płytko, pod mułem tam są nawet stalaktyty i stalagmity – znalazł coś w rodzaju automatu.

– Naprawdę?!

– Nie, nie to, co pan myśli. Kompletne truchło, przeżarte nawet nie rdzą, to jakiś stop nierdzewny, ale skorodowany, na wpół zgorzały, po prostu szczątki.

– Ale może inne...

– Kiedy ten automat liczy sobie co najmniej trzysta tysięcy lat...

– Skąd pan może wiedzieć?

– Bo na górnej powierzchni osadzał się wapień, w miarę tego jak parowała woda, kapiąca ze stalaktytów sklepienia. Gallagher sam robił szacunkowe pomiary, według tempa parowania, wytwarzania się osadu i jego grubości. Trzysta tysięcy lat to szacunek

najskromniejszy... Zresztą, ten automat podobny jest właściwie, wie pan, do czego? Do tych ruin!

– A więc to nie żaden automat...

– Nie, musiał się poruszać, ale nie na dwu nogach. I nie jak krab. Nie mieliśmy czasu zresztą badać, bo zaraz potem...

– Co się stało?

– Co jakiś czas liczyłem ludzi. Byłem w osłonie, miałem ich strzec, rozumie pan... ale przecież wszyscy byli w maskach, pan wie, jak to jest, wszyscy do siebie podobni, a kombinezony też już nie były kolorowe, bo się wybrudziły gliną. W pewnej chwili zabrakło mi jednego człowieka. Zwołałem wszystkich i zaczęliśmy szukać. Kertelen bardzo się cieszył z tego swego znaleziska i myszkował dalej... Myślałem po prostu, że zapędził się w jakąś odnogę wąwozu... Pełno tam zaułków, ale wszystkie krótkie, płytkie, doskonale oświetlone... Nagle wyszedł na nas spoza zakrętu. Już w takim stanie. Nygren był z nami, myślał, że to udar cieplny...

– Więc co z nim właściwie jest?

– Jest nieprzytomny. Chociaż właściwie nie. Może chodzić, poruszać się, tyle że niepodobna nawiązać z nim kontaktu. Poza tym utracił mowę. Słyszał pan jego głos?

– Tak.

– Teraz jakby się trochę zmęczył. Przedtem było jeszcze gorzej. Nie poznawał nikogo z nas. W pierwszej chwili to było najstraszniejsze. „Kertelen, gdzie się podziewasz?", zawołałem, a on minął mnie, zupełnie jakby ogłuchł, przeszedł między nami i poszedł w górę wąwozu, ale takim krokiem, w taki sposób, że wszystkim zrobiło się zimno. Po prostu, no, jak podmieniony. Nie reagował na wołania, więc musieliśmy go gonić. Co się tam działo! Jednym słowem, trzeba go było wiązać, inaczej nie sprowadzilibyśmy go z powrotem.

– Co mówią lekarze?

– Jak zwykle, mówią po łacinie, ale poza tym nie wiedzą nic. Nygren jest z Saxem u dowódcy, możesz tam spytać...

Gaarb odszedł ciężkim krokiem, z przechyloną po swojemu głową. Rohan wsiadł do windy i pojechał na górę do sterowni. Była pusta, ale mijając kajuty kartograficzne, usłyszał przez niedomknięte drzwi głos Saxa. Wszedł do środka.

– Jak gdyby całkowity zanik pamięci. Tak to wygląda – mówił neurofizjolog. Stał tyłem do Rohana, patrząc na trzymane w ręku zdjęcie rentgenowskie. Za biurkiem siedział, nad otwartą księgą pokładową, astrogator, z ręką uniesioną i opartą o regały wypełnione szczelnie zwiniętymi mapami gwiazdowymi. Słuchał w milczeniu Saxa, który powoli chował zdjęcie do koperty.

– Amnezja. Ale wyjątkowa. Utracił nie tylko pamięć tego, kim jest, ale mowę, zdolność pisania, czytania; właściwie to nawet więcej niż amnezja: kompletny rozpad, unicestwienie osobowości. Nie zostało z niej nic oprócz najprymitywniejszych odruchów. Potrafi chodzić i jeść, ale tylko jeżeli jedzenie podaje mu się do ust. Chwyta, ale...

– Słyszy i widzi?

– Tak. Na pewno. Ale nie rozumie tego, co widzi. Nie odróżnia ludzi od sprzętów.

– Odruchy?

– W normie. To sprawa centralna.

– Centralna?

– Tak. Mózgowa. Jakby całkowite zatarcie wszystkich naraz śladów pamięci.

– A więc tamten człowiek z „Kondora”...

– Tak. Jestem tego pewien. To było to samo.

– Widziałem raz coś takiego... – zupełnie cicho, prawie szeptem powiedział astrogator. Patrzał na Rohana, ale nie zwracał nań uwagi. – To było w przestrzeni...

– Ach, wiem! Że to mi do głowy nie przyszło! – podniesionym głosem rzucił neurofizjolog. – Amnezja po udarze magnetycznym, tak?

– Tak.

– Nigdy nie widziałem takiego przypadku. Znam tę jednostkę tylko z teorii. To się zdarzyło dawno temu, podczas przechodzenia z wielką szybkością przez silne pola magnetyczne?

– Tak. To znaczy – w swoistych warunkach. Nie tyle ważne jest samo natężenie pola, ile jego gradient i gwałtowność zachodzącej zmiany. Jeśli są w przestrzeni wielkie gradienty, a zdarzają się skokowe – czujniki wykrywają je na odległość. Dawniej ich nie było...

– Prawda... – powtarzał lekarz. – Prawda... Ammerhatten robił takie doświadczenia na małpach i kotach. Poddawał je działaniu olbrzymich pól magnetycznych, aż traciły pamięć...

– Tak, to ma przecież coś wspólnego z elektrycznymi pobudzeniami mózgu...

– Ale w tym wypadku – głośno zastanawiał się Sax – oprócz raportu Gaarba mamy zeznania wszystkich jego ludzi. Potężne pole magnetyczne... przecież to muszą być chyba setki tysięcy gaussów?

– Setki tysięcy nie wystarczą. Potrzebne są miliony – oschle powiedział astrogator. Teraz dopiero wzrok jego zatrzymał się na Rohanie.

– Niech pan wejdzie i zamknie drzwi.

– Miliony?! A czy aparaty pokładowe nie wykryłyby takiego pola?

– O tyle, o ile – odparł Horpach. – Gdyby było skoncentrowane w bardzo małej przestrzeni – gdyby miało, powiedzmy, objętość jak ten globus – i gdyby było z zewnątrz ekranowane...

– Jednym słowem, gdyby Kertelen włożył głowę między bieguny gigantycznego elektromagnesu...?

– I tego mało. Pole musi oscylować z określoną częstotliwością.

– Ale tam nie było żadnego magnesu ani żadnej maszyny oprócz tych zardzewiałych szczątków – nic, tylko wymyte przez wodę wąwozy, żwir i piasek...

– I jaskinie – rzucił miękko, jakby obojętnie, Horpach.

– I jaskinie... czy pan myśli, że ktoś go wciągnął do takiej jaskini, że tam jest magnes – nie, to przecież...

– A jak pan to tłumaczy? – spytał dowódca, jakby zniechęcony czy znudzony tą rozmową. Lekarz milczał.

O trzeciej czterdzieści w nocy wszystkie pokłady „Niezwyciężonego" wypełnił przeciągły dźwięk sygnałów alarmowych. Ludzie zrywali się z posłań i klnąc w żywy kamień oraz ubierając się w biegu, gnali na stanowiska. Rohan znalazł się w sterowni w pięć minut po pierwszym szczęknięciu dzwonków. Astrogatora jeszcze w niej nie było. Przyskoczył do głównego ekranu. Czarną noc rozwidniało od wschodu mrowie białych rozbłysków. Wyglądało to, jakby wychodzący z jednego radiantu rój meteorów atakował rakietę. Spojrzał na zegary kontrolne pola. Automaty programował sam, nie mogły więc reagować na deszcz ani na burzę piaskową. Z niewidocznej w mrokach pustyni leciało coś i rozpryskiwało się ognistymi paciorkami, wyładowania następowały na powierzchni pola i zagadkowe pociski, odskakując już w płomieniu, smużyły się parabolami coraz bledszej poświaty albo ściekały wzdłuż wypukłości osłony energetycznej. Szczyty wydm wyskakiwały na mgnienie z ciemności i nikły, wskaźniki

drgały leniwie – efektywna moc zużywana przez zespół miotaczy Diraca na unicestwienie zagadkowego bombardowania była stosunkowo niewielka. Słysząc już za plecami kroki dowódcy, Rohan spojrzał na zestaw czujników spektroskopowych.

– Nikiel, żelazo, mangan, beryl, tytan – odczytał z jasno oświetlonej tarczy astrogator, stając obok niego. – Wiele bym dał, żeby zobaczyć, co to właściwie jest.

– Deszcz metalowych cząstek – powiedział powoli Rohan. – Sądząc z wyładowań, wymiary ich muszą być małe...

– Chętnie bym zobaczył je z bliska... – mruknął dowódca. – Jak pan myśli, zaryzykujemy?

– Żeby wyłączyć pole?

– Tak. Na ułamek sekundy. Drobna część dostanie się w głąb perymetru, a resztę odetniemy, włączając pole z powrotem.

Rohan nie odpowiedział przez dobrą chwilę.

– Cóż, można by – odezwał się wreszcie z wahaniem. Ale zanim jeszcze dowódca podszedł do pulpitu sterującego, świetlne mrowie zgasło równie nagle, jak się pojawiło – i zapadła ciemność taka, jaką znają tylko pozbawione księżyców planety krążące z dala od centralnych skupisk gwiezdnych Galaktyki.

– Nie udały się nam łowy – mruknął Horpach. Z ręką na głównym wyłączniku stał dobrą chwilę, potem, skinąwszy lekko głową Rohanowi, wyszedł. Jękliwy dźwięk sygnałów odwołujących alarm wypełniał wszystkie poziomy. Rohan westchnął, raz jeszcze spojrzał w pełne czarnego mroku ekrany i poszedł spać.

# CHMURA

Zaczynali już przywykać do planety – do jej niezmiennego, pustynnego oblicza z nikłymi cieniami chmur zawsze jakby się rozpływających, nienaturalnie jasnych, spomiędzy których i za dnia przeświturywały silne gwiazdy. Do szmeru piasku zapadającego się pod kołami i stopami, do czerwonego, ociężałego słońca, którego dotyk był nieporównanie delikatniejszy od ziemskiego, tak że gdy mu się poddawało plecy, zamiast ciepła czuło się wtedy tylko jakby milczącą obecność. Rano ekipy wyruszały w teren, każda w swoją stronę, energoboty znikały wśród wydm, kołysząc się jak niezgrabne łodzie, opadała kurzawa i pozostali przy „Niezwyciężonym" mówili o tym, co będzie na obiad, co radarowy bosman powiedział dziś do łącznościowego, albo usiłowali sobie przypomnieć, jak się nazywał pilot kursowy, który przed sześciu laty stracił nogę w wypadku na satelicie nawigacyjnym Terra 5. Gadali tak, siedząc na pustych kanistrach pod kadłubem, którego cień, niczym wskazówka gigantycznego zegara słonecznego, krążył, wydłużając się zarazem, aż dotykał linii energobotów. Od tej chwili zaczynali już wstawać i wypatrywać wracających. A ci znów, kiedy się pojawili, głodni i zmęczeni, tracili nagle całe ożywienie, w jakim utrzymywała ich praca w metalowych zgliszczach „miasta", i nawet ekipa „Kondora" po tygodniu przestała już przybywać z sensacyjnymi nowinami sprowadzającymi się do tego, że udało się w znalezionych szczątkach rozpoznać jakiegoś człowieka, i to, co było w pierwszych dniach znakami grozy, przywiezione z „Kondora" zostało starannie zapakowane (bo jak nazwać inaczej

ów proces sumiennego układania wszystkich ocalałych szczątków ludzkich w hermetycznych zbiornikach, które powędrowały na dno statku) i znikło. Wtedy, zamiast ulgi, jakiej należałoby może oczekiwać, ludzie, nadal przesiewający piach wokół rufy „Kondora" i myszkujący w jego pomieszczeniach, jęli doznawać takiego znudzenia, że jakby zapomniawszy, co spotkało jego załogę, zajmowali się kolekcjonowaniem idiotycznych drobiazgów, nie wiadomo do kogo ongiś należących, pozostałych po nieistniejących właścicielach. Tak że przywozili zamiast dokumentów, które by wyjaśniły tajemnicę, wobec ich braku – to jakąś starą harmonijkę, to chińską łamigłówkę, i przedmioty te, już ogołocone z mistycznej niesamowitości swego pochodzenia, szły w obieg, stawały się jakby wspólną własnością załogi. Rohan, który nigdy by nie uwierzył, że coś takiego jest możliwe, już po tygodniu zachowywał się tak właśnie jak wszyscy. I tylko czasem, kiedy był sam, zadawał sobie pytanie, po co tu właściwie jest, i czuł wtedy, że cała ich działalność, cała skwapliwa krzątanina, ten skomplikowany proceder badań, prześwietleń, zbierania próbek, wiercenia pokładów skalnych, uciążliwy przez nieustającą konieczność przestrzegania trzeciego stopnia, z otwieraniem i zamykaniem pól, z lufami laserów, mających dobrze obliczone pola ostrzału, ze stałą kontrolą optyczną, ciągłym liczeniem, łącznością wielokanałową, że to wszystko jest jakimś wielkim samooszukiwaniem się. Że w gruncie rzeczy czekają tylko na jakiś nowy wypadek, nowe nieszczęście, i udają tylko, że tak nie jest. Początkowo rano ludzie gromadzili się przed lazaretem „Niezwyciężonego", aby usłyszeć nowiny o stanie Kertelena. Wydawał im się nie tyle ofiarą zagadkowego ataku, ile istotą nieludzką, stworem odmiennym od nich wszystkich, zupełnie jakby uwierzyli w fantastyczne bajki i sądzili, że możliwe jest

przekształcenie człowieka, jednego z nich, przez wrogie, obce siły planety w monstrum. W rzeczywistości był on tylko kaleką; okazało się zresztą, że jego umysł, nagi jak nowo narodzonego dziecka i tak samo pusty, przyjmuje wiedzę, której udzielali mu lekarze, i stopniowo uczył się mówić, zupełnie właśnie jak małe dziecko; z lazaretu nie dobiegało już niepodobne do ludzkiego głosu skomlenie, okropne przez to, że bezsensowny bełkot niemowlęcia wydawała krtań dojrzałego mężczyzny. Kertelen po tygodniu zaczął wymawiać pierwsze sylaby i poznawał już lekarzy, chociaż nie mógł wymówić ich nazwisk.

Wtedy, z początkiem drugiego tygodnia, zainteresowanie jego osobą zmniejszyło się tym bardziej, gdy lekarze wyjaśnili, że o okolicznościach wypadku nie będzie mógł nic powiedzieć, nawet gdy powróci do stanu normalnego, czy raczej ukończy dziwaczną, choć niezbędną edukację.

Tymczasem prace szły swoim trybem. Gromadziły się plany „miasta", szczegóły konstrukcji jego „krzaczastych piramid", choć przeznaczenie ich dalej pozostawało niejasne. Uznawszy, że dalsze badania „Kondora" nie przyniosą niczego, astrogator wstrzymał je. Sam statek trzeba było porzucić, bo reperacja powłoki przekraczała możliwości inżynierów, zwłaszcza w warunkach prac o tyle pilniejszych. Ściągnięto tylko do „Niezwyciężonego" sporo energobotów, transporterów, łazików i wszelkiej aparatury, sam zaś wrak – bo stał się właściwie wrakiem po tak dokładnym opustoszeniu – zamknięto na głucho, pocieszając się, że oni sami albo jakaś następna ekspedycja doprowadzi jednak krążownik do portu macierzystego. Horpach przerzucił wtedy ekipę „Kondora" na północ; dołączyła ona, jako grupa Regnara, do grupy Gallaghera; sam Rohan był teraz głównym koordynatorem wszystkich badań

i pobliże „Niezwyciężonego” opuszczał tylko na krótko, a i to nie każdego dnia.

Obie te grupy natrafiły w systemie wąwozów, wypłukiwanych przez podziemne źródła, na osobliwe znaleziska.

Warstwy osadowych iłów przedzielone były warstwami czarniaworudej substancji pochodzenia niegeologicznego, nieplanetarnego. Fachowcy niewiele więcej mogli na ten temat powiedzieć. Wyglądało to tak, jakby na powierzchni starej tarczy bazaltowej, dennego pokładu skorupy, przed jakimiś milionami lat złożone zostały ogromne ilości metalowych odłamków – może po prostu szczątków metalicznych (padła hipoteza, że w atmosferze Regis rozbryznął się gigantyczny niklowo-żelazowy meteor i płomiennymi deszczami wtopił się w skały owej prastarej epoki), które ulegając powolnemu utlenieniu, wchodząc w reakcje chemiczne z otoczeniem, przekształciły się wreszcie w pokłady brunatnoczarnych, miejscami rudopurpurowych osadów.

Odkrywki dotychczasowe wgryzły się ledwo w część pokładów terenu, którego struktura geologiczna złożonością swą mogła przyprawić nawet wytrawnego planetologa o zawrót głowy. Gdy wybito studnie aż do bazaltu sprzed miliarda lat, okazało się, że skały na nim ułożone, mimo daleko posuniętej rekrystalizacji, wykazują obecność organicznego węgla. Sądzono zrazu, że było to wtedy dno oceaniczne. Ale w pokładach już autentycznego węgla kamiennego odkryte zostały odciski licznych gatunków roślinnych, które mogły wegetować tylko w suszy. Kolejno katalog żywych form kontynentalnych planety uzupełniał się i powiększał. Było już wiadome, że przed trzystu milionami lat chodziły po jej dżunglach prymitywne gady. Resztki kręgosłupa i rogowych szczęk jednego przywieźli uczeni w triumfie, którego nie podzielała jednak załoga. Ewolucja rozwijała się na lądzie jak gdyby dwa razy; pierwszy

zmierzch żywego świata przypadał na epokę sprzed około stu milionów lat; doszło wtedy do gwałtownego wymierania roślin i zwierząt wywołanego prawdopodobnie bliskim wybuchem gwiazdy Nowej. Życie podźwignęło się jednak potem z upadku i wybujało nowymi formami; co prawda, ani ilość, ani stan znalezionych szczątków nie pozwalały na dokładniejszą klasyfikację. Planeta nigdy nie wytworzyła form podobnych do ssaków. Po dalszych dziewięćdziesięciu milionach lat przyszło, ale już w wielkiej od niej odległości, do drugiej erupcji gwiazdowej; jej ślady, w postaci izotopów pierwiastkowych, dało się wykryć. Według przybliżonych obliczeń ówczesne natężenie twardego promieniowania nie było na powierzchni tak silne, aby mogło pociągnąć za sobą hekatomby ofiar. Tym bardziej było niezrozumiałe, że odtąd szczątki roślinne i zwierzęce stawały się w młodszych pokładach skalnych coraz większą rzadkością. Znajdowano za to rosnące ilości sprasowanego „iłu", siarczków antymonu, tlenków molibdenowych, żelazawych, soli niklu, kobaltu i tytanu.

Te metaliczne, osiem do sześciu milionów lat liczące warstwy, stosunkowo płytkie, zawierały miejscami silne ogniska radioaktywności, ale była to radioaktywność w skali istnienia planety – krótkotrwała. Było zatem tak, jakby coś spowodowało w owej erze szereg gwałtownych, lecz miejscowych tylko reakcji jądrowych, których produkty zalegały w „metalicznych iłach". Poza hipotezą „żelazistoradioaktywnego meteoru" padały inne, całkiem fantastyczne, wiążące owe osobliwe ogniska „gorąca promieniotwórczego" z katastrofą układu planetarnego Liry i zagładą jego cywilizacji.

Przypuszczano więc, że podczas prób kolonizowania Regis III doszło do atomowych starć między wysłanymi z zagrożonego

układu statkami. Ale to znów nie wyjaśniało rozmiarów dziwnych warstw metalicznych, które odkryto w trakcie wierceń próbnych również w innych, odległych okolicach. W każdym razie nieodparcie nasuwał się obraz tyleż zagadkowy, co oczywisty: życie na lądach planety wymarło w tym samym czasie, na przestrzeni kilku milionów lat, w którym powstawać jęły metaliczne pokłady. Przyczyną zagłady form żywych nie mogła być radioaktywność: ogólną ilość promieniowania przeliczono na równoważniki jądrowych wybuchów. Wynosiła ledwo dwadzieścia do trzydziestu megaton; rozłożone na setki tysiącleci, nie mogły naturalnie takie wybuchy (jeśli to w ogóle były wybuchy atomowe, a nie inne jakieś reakcje jądrowe) poważnie zagrozić ewolucji form biologicznych.

Podejrzewając jakąś łączność między pokładami metalicznymi a ruinami „miasta", uczeni nalegali na dalsze prowadzenie badań. Połączone to było z licznymi trudnościami, gdyż prace odkrywkowe wymagały przerzucenia poważnych mas gruntu. Jedynym rozwiązaniem było bicie sztolni, ale pracujący pod ziemią ludzie nie znajdowali się już pod osłoną pól siłowych. O tym, że mimo wszystko roboty kontynuowano, zadecydowało odkrycie (na głębokości dwudziestu kilku metrów, w warstwie obfitującej w tlenki żelaza) rdzawych szczątków, uformowanych wielce osobliwie, które przypominały resztki zżartych korozją, rozpadłych elementów jakichś mikroskopijnych mechanizmów.

W dziewiętnastym dniu od lądowania ściągnęły nad okolicę, w której pracowały ekipy górnicze, zwały chmur tak grubych i ciemnych, jakich dotąd na planecie nie widziano. Około południa rozpętała się burza przewyższająca gwałtownością wyładowań elektrycznych burze ziemskie. Niebo i skały połączyła gmatwanina bezustannie walących piorunów. Wezbrane wody, rwąc krętymi

wąwozami, zaczęły zatapiać wykute chodniki. Ludzie musieli opuścić je i wraz z automatami schronili się pod głównym pęcherzem pola siłowego, w który strzelały kilometrowe błyskawice. Burza przetoczyła się powoli ku zachodowi i czarną, pokreśloną błyskawicami ścianą zajmowała cały horyzont nad oceanem. Wracając do „Niezwyciężonego", górnicze załogi odkryły po drodze sporą ilość leżących na piasku czarnych, drobniutkich kropelek metalowych. Wzięto je za osławione „muszki". Starannie zebrane, zostały przewiezione na statek, gdzie wzbudziły zainteresowanie uczonych, ale i mowy nie było o tym, aby stanowiły szczątki owadów. Odbyła się kolejna narada specjalistów przechodząca kilkakrotnie w gorące spory. Wreszcie zdecydowano wysłać ekspedycję w kierunku północno-wschodnim, poza teren krętych wąwozów i złóż związków żelaza, ponieważ na gąsienicach pojazdów „Kondora" wykryto drobne ilości interesujących minerałów, których nie znaleziono na poprzednio badanych obszarach.

Doskonale wyekwipowana kolumna z energobotami, kroczącym miotaczem „Kondora", transporterami i robotami, wśród których było dwanaście arktanów, zaopatrzona w automatyczne koparki i wiertnice, załadowawszy dwudziestu dwu ludzi, zapasy tlenu, żywności i paliwa jądrowego, wyruszyła następnego dnia w drogę pod dowództwem Regnara. Utrzymywano z nią stałą łączność radiową i telewizyjną do czasu, kiedy wypukłość planety odcięła bieg fal ultrakrótkich w linii prostej. „Niezwyciężony" wprowadził wtedy na orbitę stacjonarną automatyczny przekaźnik telewizyjny, który umożliwił podjęcie odbioru. Kolumna była w marszu przez cały dzień. Nocą otoczyła się, ustawiając się w obronnym szyku kołowym, strefą siłową, a następnego dnia kontynuowała marsz. Około południa Regnar zawiadomił Rohana, że zatrzymuje się

u stóp ruin, prawie całkowicie zasypanych piaskiem, znajdujących się wewnątrz płytkiego, niewielkiego krateru, gdyż pragnie je zbadać bliżej. W godzinę potem jakość odbioru radiowego zaczęła się pogarszać wskutek silnych zakłóceń statycznych. Technicy łączności przeszli więc na pasmo krótszych fal, których odbiór był lepszy. Rychło potem, gdy grzmoty dalekiej burzy przesuwającej się na wschód, to znaczy tam, dokąd udała się ekspedycja, jęły cichnąć, odbiór nagle się urwał. Utratę łączności poprzedziło kilkanaście coraz silniejszych fadingów; najdziwniejsze było jednak jednoczesne pogorszenie się odbioru telewizyjnego, który przecież, jako przekazywany przez pozaatmosferycznego satelitę, nie był zależny od stanu jonosfery. O godzinie pierwszej łączność ustała całkowicie. Nikt z techników ani nawet z fizyków, których wezwano na pomoc, nie rozumiał tego zjawiska. Wyglądało na to, jakby ściana metalu osunęła się gdzieś w pustyni, oddzielając oddaloną o 170 kilometrów grupę od „Niezwyciężonego".

Rohan, który przez cały czas nie opuszczał astrogatora, dostrzegł jego niepokój. Jemu samemu wydał on się początkowo nieuzasadniony. Sądził, iż być może osobliwe własności ekranizujące przejawia chmura burzowa, która szła właśnie tam, dokąd udała się ekspedycja. Fizycy jednak, zapytani o możliwość powstania tak grubej warstwy zjonizowanego powietrza, wyrażali wątpliwości. Gdy burza ucichła, a łączności nie udało się nawiązać, około szóstej, bezustannie ponawiając sygnały, na które nie było odpowiedzi, Horpach wysłał dwa aparaty zwiadowcze typu talerze latające.

Jeden z nich leciał kilkaset metrów nad pustynią, drugi zaś unosił się nad nim na wysokości czterech kilometrów, służąc pierwszemu za przekaźnik telewizyjny. Rohan, astrogator i Gralew z kilkunastu innymi ludźmi, wśród których byli także Ballmin i Sax, stali przed

głównym ekranem sterowni, obserwując bezpośrednio to wszystko, co było w zasięgu widzenia pilota pierwszej maszyny. Poza strefą krętych, głębokim cieniem wypełnionych wąwozów otwierała się pustynia z jej niekończącymi się szeregami wydm, pręgowanymi teraz czernią, gdyż słońce miało się właśnie ku zachodowi. W tym skośnym oświetleniu, nadającym krajobrazowi wygląd szczególnie ponury, z rzadka przepływały pod sunącą nisko maszyną niewielkie kratery, po brzegi wypełnione piaskiem. Niektóre widoczne były tylko dzięki centralnemu stożkowi od wieków wygasłego wulkanu. Teren z wolna się podnosił i stawał coraz bardziej urozmaicony. Spod fal piasku wyłaniały się wysokie grzędy skalne, tworząc system łańcuchów dziwacznie wyszczerbionych. Samotne maczugi skalne przypominały kadłuby zgruchotanych statków lub olbrzymie figury. Zbocza znaczyły ostre linie żlebów wypełnionych stożkami ospowymi. Wreszcie piaski zniknęły na dobre, ustępując miejsca dzikiej krainie stromych skał i rumowisk. Gdzieniegdzie wiły się, z dala podobne do rzek, rowy tektonicznych pęknięć planetarnej skorupy. Krajobraz stawał się księżycowy, zarazem wystąpiło pierwsze pogorszenie odbioru telewizyjnego pod postacią drgań i urywającej się synchronizacji obrazu. Wysłano rozkaz zwiększenia mocy emisyjnej, ale poprawiło to widoczność nie na długo.

Skały, dotąd o barwie białawej, przechodziły w coraz ciemniejsze. Spiętrzone granie, uciekające z pola widzenia, miały odcień brunatny, z jadowitym, metalicznym połyskiem; tu i ówdzie można było dostrzec plamy aksamitnej czerni, jakby tam, na nagim kamieniu, rosły gęste, lecz martwe zarośla. Wtem milcząca dotąd fonia pierwszej maszyny się odezwała. Pilot krzyknął, że słyszy dźwięk automatycznych nadajników pozycyjnych, w które zaopatrzony był czołowy pojazd ekspedycji. Stojący w sterowni

słyszeli jednak tylko jego głos, słaby i jakby zanikający, którym zaczął wywoływać grupę Regnara.

Słońce stało już zupełnie nisko. W jego krwawym świetle ukazała się na kursie maszyny czarna ściana, skłębiona na podobieństwo chmury, sięgająca od powierzchni skał do tysiąca metrów w górę. Wszystko, co znajdowało się za nią, było niewidoczne. Gdyby nie powolny, miarowy ruch kłębiastych wypiętrzeń tej miejscami atramentowej, miejscami świecącej metalicznie fioletowym szkarłatem czerni, można by ją wziąć za niezwykłą formację górską. W poziomych promieniach słońca otwierały się w niej pieczary pełne niezrozumiałego, momentalnego lśnienia, jakby wirowały w nich zaciekle roje rozbłyskujących kryształków czarnego lodu. W pierwszej chwili patrzącym wydało się, że chmura sunie naprzeciw lecącej maszyny, ale było to złudzenie. To tylko latający talerz zbliżał się z jednakową szybkością do osobliwej przeszkody.

– TL 4 do bazy. Czy mam wyjść nad chmurę, odbiór – rozległ się stłumiony głos pilota. Po ułamku sekundy astrogator odpowiedział:

– Pierwszy do TL 4, zatrzymaj się przed chmurą!

– TL 4 do bazy, stopuję – odpowiedział natychmiast pilot i Rohanowi zdawało się, że w jego słowach brzmiała ulga. Już ledwo kilkaset metrów dzieliło maszynę od niezwykłego tworu uchodzącego na boki w obie strony, jak gdyby sięgał horyzontów. Teraz cały niemal ekran zajmowała powierzchnia gigantycznego, jakby z węgla powstałego, niemożliwego, bo pionowego morza. Ruch maszyny względem niej ustał, lecz nagle, nim ktokolwiek zdążył się odezwać, ciężko falująca masa strzeliła długimi, rozwiewającymi się słupami, które zaćmiły obraz. Równocześnie załamał się on, zadrgał i znikł, przeszyty nitkami słabnących wyładowań.

– TL 4, TL 4! – wywoływał telegrafista.

– Tu mówi TL 8 – odezwał się nagle głos pilota drugiej maszyny, która służyła dotąd tylko jako przekaźnik pierwszej. – TL 8 do bazy, czy mam dać wizję, odbiór!

– Baza do TL 8, daj wizję!

Ekran wypełnił się chaosem zaciekle wirujących czarnych prądów. Był to ten sam obraz, ale widziany z wysokości czterech kilometrów. Widać było, że chmura spoczywa długą, jednolitą ławicą wzdłuż wznoszącego się ramienia górskiego, jak gdyby broniła do niego dostępu. Powierzchnia jej poruszała się leniwie, niczym zastygająca, na poły maziowata substancja, ale pierwszej maszyny, którą pochłonęła przed chwilą, nie udało się dostrzec.

– Baza do TL 8, czy słyszysz TL 4, odbiór.

– TL 8 do bazy, nie słyszę, przechodzę na pasma interferencyjne, uwaga, TL 4, tu TL 8, odezwij się, TL 4, TL 4! – słyszeli głos pilota. – TL 4 nie odpowiada, przechodzę na pasma przyczerwieni, uwaga, TL 4, tu TL 8, odezwij się, TL 4 nie odpowiada, spróbuję sondować chmurę radarem...

W przyciemnionej sterowni nie słychać było nawet ludzkich oddechów. Wszyscy zamarli w wyczekiwaniu. Obraz, pozostawiony sobie, nie zmieniał się, skalny grzbiet sterczał nad morzem czerni niby wyspa zanurzona w atramentowym oceanie. Wysoko na niebie dogorywały pierzaste, złotem nasycone obłoki, tarcza słoneczna dotykała już widnokręgu, za kilka minut miał zapaść mrok.

– TL 8 do bazy – odezwał się głos pilota, jakby odmieniony w ciągu kilkunastu sekund, jakie upłynęły od jego zamilknięcia. – Radar wykazuje odbicie pełnometaliczne, odbiór!

– Baza do TL 8, przerzuć obraz radarowy na wizję, odbiór!

Ekran pociemniał, zgasł, przez chwilę jarzył się pustym światłem, potem stał się zielony, drgając od miliardowych roziskrzeń.

– Ta chmura jest z żelaza – powiedział, a raczej westchnął ktoś za plecami Rohana.

– Jazon! – krzyknął astrogator. – Czy jest tu Jazon?!

– Jestem – wysunął się nukleonik spośród stojących.

– Czy mogę to podgrzać...? – spytał spokojnie astrogator, wskazując ekran, i wszyscy zrozumieli go. Jazon ociągał się z odpowiedzią.

– Należałoby ostrzec TL 4, żeby maksymalnie rozszerzył pęcherz pola...

– Bez głupstw, Jazon. Nie mam łączności...

– Do czterech tysięcy stopni... z niewielkim ryzykiem...

– Dziękuję. Blaar, mikrofon! Pierwszy do TL 8, gotuj lasery na chmurę, małą mocą, do bilierga w epicentrum, ogień ciągły wzdłuż azymutu!

– TL 8, ogień ciągły do bilierga – odpowiedział natychmiast głos pilota. Przez jakąś sekundę nie działo się nic. Potem błysło i centralna, wypełniająca dolną część ekranu chmura zmieniła barwę. Najpierw zaczęła się jakby rozmazywać, potem sczerwieniała i zawrzała; powstał tam rodzaj leja o płonących ścianach, w który wpadały, jakby były wsysane, sąsiednie połacie chmury. Ten ruch ustał nagle, chmura rozwarła się ogromnym koliskiem, ukazując przez otwarte okno chaotyczne nagromadzenia skał, tylko w powietrzu unosił się jeszcze drobny, czarny pył, na kształt polatującego kopciu.

– Pierwszy do TL 8, zejdź na dystans maksymalnej skuteczności ognia!

Pilot powtórzył rozkaz. Chmura, okrążając niespokojnym obwałowaniem utworzony rozryw, usiłowała go wypełnić, lecz za każdym razem, kiedy wysuwające się wypustki obejmował rozbłysk żaru, wciągała je z powrotem. Trwało to kilka minut.

Sytuacja nie mogła się przedłużać. Astrogator nie śmiał uderzyć w chmurę całą mocą miotacza, albowiem gdzieś w jej głębi znajdował się drugi pojazd. Rohan domyślał się, na co liczył Horpach: miał nadzieję, że tamta maszyna wydostanie się w obręb oczyszczonej przestrzeni. Ale wciąż nie było jej widać. TL 8 wisiał teraz prawie nieruchomo, rażąc oślepiającymi sztychami laserów skotłowane obrzeża czarnego kręgu. Niebo nad nim było jeszcze dość jasne, lecz skały pod maszyną zaciągał powoli przybór cienia. Słońce zachodziło. Raptem zgęszczający się w dolinie mrok załopotał w niesamowitym blasku. Czerwonawy i brudny, jak gardło wulkanu widzianego przez kłąb eksplozji, okrył drgającym całunem całe pole widzenia. Widać było teraz tylko zlewające się w jedno ciemności, w których głębi wrzał i parskał ogień. To substancja chmury, czymkolwiek była, atakowała pierwszą pochłoniętą maszynę i spalała się straszliwym żarem w otaczającej ją siłowej osłonie.

Rohan spojrzał na astrogatora, który stał jak martwy, z twarzą bez wyrazu, oblaną chwiejnym odblaskiem łuny. Czarne kotłowanie i pałający w jego głębi, tylko chwilami krzaczasto tężejący pożar zajmowały centrum ekranu. W oddali widać było wysoki szczyt skalny oblany szkarłatem, cały w zimnej czerwieni tego ostatniego światła, w tej chwili niewymownie ziemskiego. Tym bardziej niewiarygodne było widowisko dziejące się wewnątrz chmury. Rohan czekał; twarz astrogatora nie wyrażała nic. Ale musiał powziąć decyzję: albo rozkazać górnej maszynie, aby poszła na pomoc tamtej, albo pozostawiając ją swemu losowi, nakazać zwiadowcy dalszy lot na północo-wschód.

Nagle stało się coś niespodziewanego. Czy pilot dolnej, zamkniętej w chmurze maszyny stracił głowę, czy też nastąpiła na jej pokładzie jakaś awaria, dość że czarną kipiel przestrzelił błysk,

którego centrum jarzyło się oślepiająco, i długie smugi rozwianej wybuchem chmury buchnęły na wszystkie strony, a fala udarowa była tak potężna, że cały obraz zakołysał się zgodnie z susami, w jakie podmuch wprawił TL 8. Potem czerń wróciła, skupiła się i oprócz niej nie było już nic.

Astrogator pochylił się i powiedział coś do telegrafisty przy mikrofonach tak cicho, że Rohana nie doszły jego słowa; ale ów powtórzył je natychmiast, prawie krzycząc:

– Gotuj antyprotony! Pełną mocą, na chmurę, ogień ciągły!

Pilot powtórzył rozkaz. Wtem jeden z techników śledzących boczny ekran, który ukazywał wszystko, co działo się za maszyną, zawołał:

– Uwaga! TL 8! W górę! W górę! W górę!!!

Z wolnej dotąd przestrzeni zachodu nadlatywał z chyżością orkanu wirujący czarny obłok. Przez mgnienie stanowił jeszcze boczną część chmury, lecz oderwał się od niej i smużąc za sobą wyciągniętymi gwałtownym pędem odnogami, wzbijał się stromo. Pilot, który dostrzegł to zjawisko na ułamek sekundy przed ostrzeżeniem, poszedł pionową świecą, zdobywając wysokość, ale chmura goniła go, bijąc czarnymi słupami w niebo. Przenosił ogień z jednych słupów na drugie, trafiony czołowo najbliższy czarny kłąb rozdwoił się, ściemniał. Nagle cały obraz zaczął drgać.

W owym momencie, kiedy część chmury wchodziła już w strefę wysłanych fal radiowych, nadszarpując łączność maszyny z bazą, pilot prawdopodobnie po raz pierwszy użył miotacza antymaterii. Cała atmosfera planety, trafiona, obróciła się w jedno morze ognia; purpurowy brzask zachodu znikł jak zdmuchnięty, poprzez zygzaki zakłóceń majaczyła jeszcze chwilę chmura i dymiące nad nią słupy, które bielały, puchnąc, gdy drugi, jeszcze straszniejszy wybuch roztoczył swoje rozżarzone ogniospady nad niknącą w kłębach pary

i gazów gmatwaniną skał. Ale to była ostatnia rzecz, jaką zobaczyli, bo w następnej sekundzie cały obraz rozedrgał się, przeszyły go iskry wyładowań i znikł. Tylko pusty biały ekran jarzył się w przyciemnionej sterowni, oświetlając śmiertelnie blade twarze wpatrzonych weń ludzi.

Horpach kazał radiotelegrafistom wywołać obie maszyny, a sam przeszedł z Rohanem, Jazonem i pozostałymi do sąsiedniej kajuty nawigacyjnej.

– Czym jest, waszym zdaniem, ta chmura? – spytał bez żadnego wstępu.

– Składa się z cząstek metalicznych. Rodzaj zawiesiny sterowanej zdalnie, z jednolitym centrum – powiedział Jazon.

– Gaarb?

– Ja też tak myślę.

– Czy są jakieś propozycje? Nie? Tym lepiej. G1, który superkopter jest w lepszej kondycji, nasz czy wzięty z „Kondora"?

– Oba są sprawne, astrogatorze. Ale osobiście stawiałbym raczej na nasz.

– Dobrze. Rohan, pan chciał, jeśli się nie mylę, wyjść spod siłowego parasola... Będzie pan miał okazję. Dostanie pan osiemnastu ludzi, podwójny komplet automatów, obwodowe lasery i antyprotony... czy mamy coś jeszcze...? (Nikt nie odpowiedział). – No tak, na razie niczego doskonalszego nad antymaterię nie wynaleziono... Wystartuje pan o 4.31, to jest o wschodzie słońca, i spróbuje znaleźć ten krater na Pn-W, o którym mówił Regnar w ostatnim doniesieniu. Tam wyląduje pan w otwartym polu siłowym. Po drodze proszę razić wszystko na maksymalny dystans. Żadnych oczekiwań, obserwacji, eksperymentów. Żadnych oszczędności mocy rażenia. Jeśli pan straci łączność ze mną, proszę robić swoje dalej. Gdy znajdzie pan ten krater, proszę lądować, ale

ostrożnie, żeby nie usiąść na ludziach... przypuszczam, że są gdzieś w tej okolicy...

Wskazał na mapie, która zajmowała całą ścianę, punkt.

– W tym czerwono zakreskowanym obszarze. Jest to tylko szkic, ale nic lepszego nie mam.

– Co mam robić po wylądowaniu, panie astrogatorze? Czy mam ich szukać?

– Pozostawiam to pana uznaniu. Proszę pamiętać tylko o jednym: żadnych celów nie wolno panu razić już w odległości 50 kilometrów od tego miejsca, bo na dole mogą być nasi ludzie.

– Żadnych celów naziemnych?

– W ogóle żadnych. Do tej granicy – jednym ruchem astrogator przedzielił obszar ukazywany przez mapę na dwie części – może pan używać własnych środków niszczących zaczepnie. Od tej linii wolno panu się tylko bronić polem siłowym. Jazon! Ile może wytrzymać pole siłowe superkoptera?

– Nawet milion atmosfer na centymetr kwadratowy.

– Co to znaczy „nawet"? Czy pan mi chce to sprzedać? Pytam ile. Pięć milionów? Dwadzieścia?

Horpach mówił to wszystko z całkowitym spokojem; takiego usposobienia dowódcy właśnie najbardziej się obawiano na pokładzie. Jazon odchrząknął.

– Pole było wypróbowane na dwa i pół...

– To co innego. Słyszy pan, Rohan? Jeżeli chmura ściśnie pana do tej granicy, proszę uciekać. Najlepiej w górę. Zresztą, wszystkiego nie przepowiem panu... – Spojrzał na zegarek.

– Za osiem godzin od chwili startu będę pana wywoływał na wszystkich pasmach. Jeśli to nie da rezultatu, spróbujemy nawiązać łączność albo satelitami trojańskimi, albo optycznie. Będziemy laserować Morse'em. Nie słyszałem jeszcze, by i to nie

dało rezultatu. Ale próbujmy przewidzieć więcej od tego, cośmy słyszeli. Jeśli i lasery nie wypalą, po dalszych trzech godzinach wystartuje pan i wróci. Jeśli mnie nie będzie...

– Pan ma zamiar wystartować?

– Niech mi pan nie przerywa, Rohan. Nie. Nie mam zamiaru startować, ale nie wszystko zależy od nas. Jeżeli mnie tu nie będzie, proszę wejść na okołoplanetarną orbitę. Robił pan to już superkopterem?

– Tak jest, dwa razy, na delcie Liry.

– Dobrze. Wie pan zatem, że to trochę skomplikowane, ale zupełnie możliwe. Orbita musi być stacjonarna; jej dokładne dane poda panu przed startem Stroem. Na tej orbicie będzie pan mnie czekał przez 36godzin. Jeżeli nie dam o sobie znać w tym czasie, powróci pan na planetę. Poleci pan do „Kondora" i spróbuje go uruchomić. Wiem, jak to wygląda. Niemniej jednak nic innego nie będzie pan miał na widoku. Jeśli dokona pan tej sztuki, proszę wrócić do bazy „Kondorem" i przedstawić sprawozdanie z wypadków. Czy ma pan jeszcze jakieś pytania?

– Tak. Czy mogę próbować nawiązania kontaktu z tymi, z tym ośrodkiem, który kieruje chmurą, w wypadku, jeśliby mi się udało go odkryć?

– I to pozostawiam do pańskiego uznania. W każdym razie ryzyko musi pozostać w rozsądnych granicach. Nie wiem naturalnie nic, ale wygląda mi na to, że ten ośrodek dyspozycyjny nie znajduje się na powierzchni planety. Poza tym jego istnienie wydaje mi się w ogóle problematyczne...

– Jak pan to rozumie?

– Mamy przecież stały nasłuch radiowy na całym widmie elektromagnetycznym. Gdyby ktokolwiek sterował tą chmurą za pomocą promieni, zarejestrowalibyśmy odpowiednie sygnały.

– Ten ośrodek mógłby znajdować się w samej chmurze...

– Możliwe. Nie wiem. Jazon, czy możliwe jest, by istniały jakieś sposoby zdalnej łączności niezależnie od elektromagnetycznych?

– Pyta pan o moje zdanie? Nie. Nie ma takich sposobów.

– O pana zdanie? A o co innego mógłbym pytać?

– To, co wiem, nie jest równoznaczne z tym, co istnieje. Co może istnieć. My takich sposobów nie znamy. To wszystko.

– Telepatia... – zauważył ktoś stojący z tyłu.

– Na ten temat nie mam nic do powiedzenia – sucho rzucił Jazon. – W każdym razie w obrębie poznanego Kosmosu niczego podobnego nie odkryto.

– Panowie, nie możemy tracić czasu na jałową dyskusję. Niech pan bierze swoich ludzi, Rohan, i przygotuje superkopter. Dane ekliptyczne orbity wręczy panu za godzinę Stroem. Kolego Stroem, proszę obliczyć trwałą orbitę z pięciotysięcznym apogeum.

– Tak, panie astrogatorze.

Astrogator uchylił drzwi sterowni.

– Terner, jak tam? Nic?

– Nic, panie astrogatorze. To znaczy trzaski. Dużo statycznych, ale nic więcej.

– Żadnych śladów emisyjnego spektrum?

– Żadnych śladów...

To znaczy, że żadna z latających maszyn nie używa już swej broni – że przestały walczyć – pomyślał Rohan. Gdyby prowadziły akcję ogniem laserów, a choćby tylko miotaczami indukcyjnymi, czujniki „Niezwyciężonego" wykryłyby to na odległość kilkuset kilometrów.

Rohan zbyt był zafascynowany dramatyczną sytuacją, aby niepokoić się zadaniem, jakie otrzymał od astrogatora. Nie miałby na to zresztą czasu. Nocy tej Rohan nie zmrużył oka. Trzeba było sprawdzić wszystkie instalacje koptera, obciążyć go dodatkowymi

tonami paliwa, załadować zapasy i broń, tak że ledwo zdążyli na wyznaczoną godzinę. Siedemdziesięciotonowa, dwupiętrowa maszyna wzniosła się w powietrze, wzbijając chmury piasku, i ruszyła prosto na północo-wschód, kiedy rąbek czerwonej tarczy słonecznej wyjrzał zza horyzontu. Zaraz po starcie Rohan wszedł na piętnaście kilometrów; w obrębie stratosfery mógł rozwinąć maksymalną szybkość, poza tym mniej było prawdopodobne spotkanie tam czarnej chmury. Tak przynajmniej sądził. Może miał słuszność, a może był to tylko szczęśliwy przypadek, dość że po niespełna godzinie lądowali w skośnym słońcu wewnątrz zasypanego krateru, którego dno pokrywały jeszcze mroki.

Zanim bijące w dół słupy gorących gazów wyrzuciły w powietrze kurzawę piasku, operatorzy wizji zaalarmowali kabinę nawigacyjną meldunkiem, że w północnej części krateru dostrzegają coś podejrzanego. Ciężka machina latająca zatrzymała się, drżąc lekko, jak na niewidzialnej, naciągającej się sprężynie, i z wysokości pięciuset metrów dokonano szczegółowej obserwacji tego miejsca.

Na popielatorudym tle widniały na ekranie powiększalnika drobniutkie prostokąty rozłożone z geometryczną dokładnością wokół większego, stalowoszarego. Równocześnie z Gaarbem i Ballminem, którzy byli z nim u sterów, Rohan rozpoznał pojazdy ekspedycji Regnara.

Nie zwlekając, wylądowali niezbyt daleko, z zachowaniem wszelkich środków ostrożności. Teleskopowe „nogi” koptera nie przestały jeszcze pracować, uginając się w miarowych przysiadach, gdy wyrzucili trap i wysłali dwie maszyny zwiadowcze, osłaniane ruchomym polem siłowym. Wnętrze krateru przypominało płaską misę o wyszczerbionych brzegach. Centralny stożek wulkaniczny pokrywała czarnobrunatna skorupa lawy.

Przebycie półtora kilometra – tyle mniej więcej wynosiła odległość – zajęło ruchomemu zwiadowi kilka minut. Łączność radiowa była doskonała. Rohan rozmawiał z Gaarbem, który znajdował się w czołowym transporterze.

– Wzniesienie się kończy – zaraz ich zobaczymy – kilka razy powtórzył Gaarb. Po chwili krzyknął:

– Są! Widzę ich!!!

I spokojniej:

– Zdaje się, że wszystko w porządku. Raz, dwa, trzy, cztery – wszystkie maszyny na miejscach – ale dlaczego stoją w słońcu?

– A ludzie? Widzi ich pan? – dopytywał się Rohan, stojąc ze zmrużonymi oczami nad mikrofonem.

– Tak. Coś się tam rusza... to dwóch ludzi... o, jeszcze jeden... i ktoś leży w cieniu... widzę ich, Rohan!

Głos jego oddalił się. Rohan słyszał, jak mówi coś do swego kierowcy. Rozległ się tępy odgłos, świadczący, że wystrzelono flarę dymną. Głos Gaarba powrócił:

– Pozdrawiamy ich... dym zwiało trochę w ich stronę... zaraz się rozpłynie... Jarg... co tam? Co! Jak to... hej! Wy tam!

Krzyk jego wypełnił naraz całą kabinę i się urwał. Rohan rozróżniał milknące odgłosy motorów, które ucichły, słychać było biegnące kroki, jakieś niewyraźne, odległością tłumione nawoływania, jeden i drugi okrzyk, potem zaległa cisza.

– Halo! Gaarb! Gaarb! – powtarzał zdrętwiałymi wargami. Kroki na piasku zbliżały się, w głośniku zaskrzypiało.

– Rohan! – rozległ się zmieniony, zdyszany głos Gaarba. – Rohan! To samo co z Kertelenem! Bezprzytomni, nie poznają nas, nic nie mówią... Rohan, słyszy mnie pan?!

– Słyszę... wszyscy tak samo?

– Zdaje się... nie wiem jeszcze, Jarg i Terner chodzą od jednego do drugiego.

– Jak to, a pole...?

– Pole wyłączone. Nie ma go. Nie wiem. Widocznie wyłączyli.

– Jakieś ślady walki?

– Nie, nic. Maszyny stoją – wszystkie całe, nieuszkodzone – a oni leżą, siedzą, można nimi potrząsać – co? Co tam?!

Rohana dobiegł niewyraźny odgłos przerywany przeciągłym skomleniem. Zacisnął szczęki, ale nie mógł opanować mdlącego uczucia, które kurczyło mu wnętrzności.

– Wielkie nieba, to Gralew! – rozległ się krzyk Gaarba. – Gralew! Człowieku! Nie poznajesz mnie?!

Jego oddech, wzmocniony, wypełnił nagle całą kabinę.

– On też... – wydyszał. Milczał chwilę, jakby zbierał siły.

– Rohan... nie wiem, czy sami damy radę... Trzeba ich wszystkich stąd zabrać. Niech pan przyśle więcej ludzi.

– Natychmiast.

Po godzinie koszmarny pochód zatrzymał się pod metalowym kadłubem superkoptera. Z dwudziestu dwóch ludzi, którzy wyruszyli w drogę, pozostało tylko osiemnastu; los czterech był nieznany. Większość dała się przywieźć dobrowolnie, bez oporu, ale pięciu trzeba było brać przemocą, bo nie chcieli opuścić miejsca, w którym ich znaleziono. Pięć par noszy powędrowało do zaimprowizowanego szpitala na dolnym pokładzie koptera. Pozostałych trzynastu mężczyzn, sprawiających okropne wrażenie maskowatym wyrazem twarzy, wprowadzono do oddzielnego pomieszczenia, gdzie dali się bez sprzeciwu ułożyć na kojach. Trzeba było ich rozbierać, ściągać im buty, byli bowiem bezradni jak niemowlęta. Rohan, niemy świadek tej sceny, stojąc w przejściu między szeregami posłań, zauważył, że podczas gdy większość

odnalezionych zachowuje bierny spokój, nieliczni – ci, których przyszło sprowadzić siłą – zawodzą i płaczą niesamowitymi głosami.

Zostawił wszystkich pod opieką lekarza, a sam wysłał na poszukiwanie zaginionych cały sprzęt, jakim dysponował. Sprzętu miał teraz sporo, ponieważ uruchomił i obsadził własnymi ludźmi porzucone maszyny. Wysłał właśnie ostatni patrol, kiedy informator wezwał go do kabiny; mieli łączność z „Niezwyciężonym".

Nie zdziwił się nawet, że to się udało. Niczemu już jak gdyby nie był zdolny się dziwić. Przekazał zwięźle Horpachowi relację o wszystkim, co zaszło.

– Jakich ludzi brakuje? – chciał wiedzieć astrogator.

– Samego Regnara, Bennigsena, Korotki i Meada. Co z samolotami? – spytał ze swej strony Rohan.

– Nie mam żadnej wiadomości.

– A chmura?

– Wysłałem rano trójkowy patrol. Wrócił przed godziną. Nie ma tam ani śladu chmury.

– Nic? W ogóle nic?

– Nic.

– Ani samolotów?

– Nic.

# HIPOTEZA LAUDY

Doktor Lauda zapukał do kabiny astrogatora. Gdy wszedł, zobaczył go kreślącego coś na mapie fotogrametrycznej.

– Co tam? – nie podnosząc głowy, spytał Horpach.

– Chciałem panu coś powiedzieć.

– Czy to pilne? Za piętnaście minut mamy start.

– Nie wiem. Zdaje się, że zaczynam rozumieć, co tu się dzieje... – powiedział Lauda.

Astrogator odłożył cyrkle. Oczy ich się spotkały. Biolog nie był wcale młodszy od dowódcy. Dziwne było, że pozwalano mu jeszcze latać. Widać szczególnie mu na tym zależało. Wyglądał raczej na starego mechanika aniżeli na uczonego.

– Tak się panu zdaje, doktorze? Słucham.

– W oceanie jest życie – powiedział biolog. – W oceanie jest, a na lądzie nie ma.

– Dlaczego? Na lądzie też było życie, Ballmin znalazł przecież ślady.

– Tak. Ale liczą one ponad pięć milionów lat. Potem wszystko, co żyło na lądzie, zostało wygubione. To, co powiem, zabrzmi fantastycznie, astrogatorze, i nie mam właściwie żadnych dowodów, ale... to jest tak. Proszę przyjąć, że kiedyś, właśnie przed milionami lat, wylądowała tu rakieta z innego systemu. Być może z regionu Nowej.

Mówił teraz szybciej, ale spokojnie.

– Wiemy, że przed wybuchem dzety Liry szóstą planetę układu zamieszkiwały istoty rozumne. Miały wysoko rozwiniętą

cywilizację typu technologicznego. Dajmy na to, że wylądował tu statek zwiadowczy Lyran i że doszło do katastrofy. Albo do innego nieszczęśliwego wypadku, w którym zginęła cała załoga. Powiedzmy, jakiś wybuch reaktora, reakcja łańcuchowa... dość że wrak, który osiadł na Regis, nie miał już na pokładzie ani jednej żywej istoty. Ocalały tylko... automaty. Nie takie jak nasze. Nie człekokształtne. Lyranie prawdopodobnie także nie byli człekokształtni. Więc te automaty ocalały i opuściły statek. Były to wysoko wyspecjalizowane mechanizmy homeostatyczne, zdolne do przetrwania w najcięższych warunkach. Nie miały już nad sobą nikogo, kto wydawałby im rozkazy. Ta ich część, która była pod względem ustroju umysłowego najbardziej podobna do Lyran, usiłowała być może naprawić statek, chociaż w powstałej sytuacji nie miało to sensu. Ale pan wie, jak to jest. Robot naprawczy będzie naprawiał to, co do niego należy, bez względu na to, czy służy komuś, czy nie. Potem jednak wzięły górę inne automaty. Uniezależniły się od tamtych. Być może miejscowa fauna usiłowała je atakować. Istniały tu jaszczuropodobne gady, były więc i drapieżniki, a drapieżnik pewnego typu atakuje wszystko, co się porusza. Automaty zaczęły z nimi walczyć i pokonały je. Do tej walki musiały się przysposobić. Przekształcały się tak, aby dostosować się najlepiej do panujących na planecie warunków. Kluczową sprawą było moim zdaniem to, że owe automaty posiadały zdolność produkowania innych, w zależności od potrzeb. Więc, powiedzmy, dla zwalczania jaszczurów latających potrzebne były mechanizmy latające. Żadnych szczegółów konkretnych oczywiście nie znam. Mówię to tak, jakbym sobie podobną sytuację wyobrażał w warunkach ewolucji naturalnej. Może nie było tu latających jaszczurów; może były gady ryjące, podziemne. Nie wiem. Dosyć że w miarę upływu czasu te mechanizmy, które

istniały na lądzie, przystosowały się do warunków doskonale – i udało im się pokonać wszystkie formy zwierzęcego życia planety. Roślinnego też.

– Roślinnego też? Jak pan to tłumaczy?

– Tego dobrze nie wiem. Mógłbym wysunąć nawet kilka rozmaitych hipotez, ale wolę tego nie robić. Zresztą nie powiedziałem jeszcze najistotniejszego. W trakcie swego bytowania na planecie te potomne mechanizmy, po iluś tam setkach pokoleń, przestały być podobne do tych, które dały im początek, to znaczy – do produktów cywilizacji lyrańskiej. Rozumie pan? To znaczy, że rozpoczęła się martwa ewolucja. Ewolucja urządzeń mechanicznych. Co jest naczelną zasadą homeostatu? Przetrwać w zmieniających się warunkach, nawet w najbardziej wrogich, w najcięższych. Dalszym formom tej ewolucji samoorganizujących się metalowych systemów główne niebezpieczeństwo nie groziło bynajmniej ze strony zwierząt czy roślin miejscowych. Musiały zdobyć źródła energii i materiałów, z których mogłyby produkować części zastępcze i organizmy potomne. Rozwinęły więc coś w rodzaju górnictwa, w poszukiwaniu rud metali. Pierwotnie ich potomkowie, którzy przybyli tu na owym hipotetycznym statku, byli bez wątpienia napędzani energią promienistą. Ale na Regis nie ma w ogóle pierwiastków radioaktywnych. Więc źródło energii było dla nich zamknięte. Musiały szukać innego. Musiało przyjść do ostrego kryzysu energetycznego i myślę, że wtedy doszło do wzajemnej walki owych urządzeń. Po prostu do walki o przetrwanie, o byt. Na niej przecież polega ewolucja. Na selekcji. Urządzenia stojące pod względem intelektualnym wysoko, ale niezdolne do przetrwania, dajmy na to, ze względu na rozmiary, które wymagały z kolei znacznych ilości energii, nie mogły

wytrzymać konkurencji z mniej pod tym względem rozwiniętymi, oszczędniejszymi jednak i bardziej wydajnymi energetycznie...

– Czekajże pan. Mniejsza o fantastyczność, ale przecież w ewolucji, w grze ewolucyjnej wygrywa zawsze istota o bardziej rozwiniętym systemie nerwowym, nieprawdaż? W tym wypadku zamiast nerwowego był, powiedzmy, jakiś elektryczny, ale zasada pozostaje ta sama.

– To jest prawda, astrogatorze, ale tylko w odniesieniu do organizmów jednorodnych, powstałych na planecie w sposób naturalny, nie przybyłych z innych układów.

– Nie rozumiem.

– Po prostu biochemiczne warunki funkcjonowania istot na Ziemi są i były zawsze prawie takie same. Glony, ameby, rośliny, zwierzęta niższe i wyższe zbudowane są z komórek prawie identycznych, mają taką samą niemal przemianę materii – białkową – a wobec tak równego startu czynnikiem różnicującym staje się ten, o którym pan mówił. Nie jest to czynnik jedyny, ale w każdym razie jeden z najważniejszych. Ale tu było inaczej. Najwyżej rozwinięte z mechanizmów, jakie wylądowały na Regis, czerpały energię z własnych zasobów radioaktywnych, ale urządzenia prostsze, jakieś małe systemy remontowe, dajmy na to, mogły posiadać baterie ładujące się energią słoneczną. Byłyby wówczas nadzwyczaj uprzywilejowane w stosunku do tamtych.

– Ale te stojące wyżej mogły je właśnie obrabować ze słonecznych baterii... a zresztą, dokąd prowadzi ten spór? Może nie warto dyskutować nad tym, Lauda.

– Nie, to istotna rzecz, astrogatorze, to bardzo ważny punkt, ponieważ moim zdaniem przyszło tu do ewolucji martwej o bardzo swoistym charakterze, zapoczątkowanej wyjątkowymi warunkami, które utworzył zbieg okoliczności. Krótko mówiąc, widzę to tak:

w owej ewolucji zwyciężyły ustroje, po pierwsze, miniaturyzujące się najskuteczniej, po drugie zaś – osiadłe. Te pierwsze dały początek tak zwanym czarnym chmurom. Osobiście myślę, że to są bardzo małe pseudoowady mogące łączyć się w razie potrzeby, we wspólnym niejako interesie, w duże systemy nadrzędne. Właśnie pod postacią chmur. Tak poszła ewolucja mechanizmów ruchomych. Osiadłe natomiast zapoczątkowały ten dziwaczny gatunek metalowej wegetacji, który przedstawiają ruiny tak zwanych miast...

– A więc według pana to nie miasta?

– Naturalnie. To nie są żadne miasta, ale jedynie wielkie skupiska osiadłych mechanizmów, martwych tworów, zdolnych do rozmnażania się, a czerpiących energię słoneczną za pośrednictwem swoistych organów... są nimi, jak przypuszczam, te trójkątne płytki...

– Więc pan uważa to „miasto" za wegetujące w dalszym ciągu?

– Nie. Mam wrażenie, że z jakiegoś nieznanego nam powodu to „miasto", a właściwie ten „las metalowy" przegrał walkę o byt i teraz stanowi jedynie rdzewiejące szczątki. Ocalała jedna tylko forma: ustrojów ruchomych, które opanowały wszystkie lądy planety.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Imałem się różnych obliczeń. Być może w ciągu ostatnich trzech milionów lat słońce Regis III stygło szybciej niż poprzednio, tak że owe wielkie osiadłe „organizmy" nie mogły już czerpać z niego dostatecznej ilości energii. Ale to tylko mgliste przypuszczenia.

– Powiedzmy, że jest, jak pan mówi. Czy przypuszcza pan, że te „chmury" mają jakiś ośrodek dyspozycyjny na powierzchni albo w podziemiach planety?

– Myślę, że nic takiego nie istnieje. Być może te mikromechanizmy same stają się takim ośrodkiem, jakimś „martwym mózgiem", kiedy łączą się w określony sposób. Rozdzielanie się może być dla nich korzystne. Stanowią luźne roje, mogą dzięki temu przebywać stale pod słońcem albo też podążać w ślad za chmurami burzowymi, bo nie jest wykluczone, że czerpią energię z wyładowań atmosferycznych. Ale w momencie niebezpieczeństwa czy – szerzej – nagłej zmiany, która grozi ich istnieniu, łączą się...

– Coś musi jednak wyzwolić tę reakcję łączenia się, zresztą, gdzie znajduje się podczas „rójki" niesłychanie skomplikowana pamięć o całym układzie? Przecież mózg elektryczny jest „mądrzejszy" od wszystkich swoich elementów, Lauda. Jakże te elementy mogłyby, po rozebraniu go, same powskakiwać na właściwe miejsca? Pierwej musiałby powstać plan całego mózgu...

– Niekoniecznie. Wystarczyłoby, gdyby każdy element zawierał pamięć tego, z jakimi innymi łączył się bezpośrednio. Dajmy na to element numer jeden ma zetknąć się określonymi powierzchniami z szóstką innych; każdy z nich „wie" to samo o sobie. W ten sposób ilość informacji zawartej w poszczególnym elemencie może być bardzo nikła, ale poza nią potrzebny jest tylko pewien wyzwalacz, pewien sygnał typu: „uwaga! niebezpieczeństwo", na który wszystkie wchodzą we właściwe konfiguracje i powstaje momentalnie „mózg". Ale to tylko prymitywny schemat, astrogatorze. Przypuszczam, że sprawa jest bardziej zawiła, choćby dlatego że takie elementy na pewno dość często ulegają zniszczeniu, co jednak nie może się odbić na działaniu całości...

– Dobrze. Nie mamy czasu, aby dłużej rozważać takie szczegóły. Czy widzi pan jakieś konkretne wnioski dla nas w swojej hipotezie?

– W pewnym sensie tak, ale negatywne. Miliony lat ewolucji mechanicznej i to zjawisko, z jakim się człowiek dotąd w Galaktyce nie spotkał. Proszę zwrócić uwagę na fundamentalną kwestię. Wszystkie znane nam maszyny służą nie sobie samym, lecz komuś. Tak więc z ludzkiego punktu widzenia bezsensowne jest istnienie metalowych, pleniących się gąszczy Regis czy jej żelaznych chmur – co prawda, tak samo „bezsensownymi" można nazwać na przykład kaktusy na pustyni ziemskiej. Istota rzeczy tkwi w tym, że one doskonale przysposobiły się do walki z żywymi istotami. Mam wrażenie, że zabijały tylko w samych początkach owej walki, gdy ląd roił się tu od życia; wydatek energii na zabójstwa okazał się nieekonomiczny. Dlatego stosują inne metody, których skutkiem była i katastrofa „Kondora", i wypadek Kertelena, i wreszcie – zagłada grupy Regnara...

– Jakie to metody?

– Nie wiem dokładnie, na czym polegają. Mogę tylko wyrazić osobisty sąd: *casus* Kertelena to zagłada całej niemal informacji, jaką zawiera mózg człowieka. Zwierzęcia zapewne też. Tak okaleczone żywe istoty muszą naturalnie zginąć. Jest to sposób zarazem prostszy, szybszy, oszczędniejszy od zabijania. Mój wniosek z tego jest, niestety, pesymistyczny. Może to jeszcze za słabo powiedziane... Jesteśmy w sytuacji bez porównania gorszej od nich, i to z kilku naraz powodów. Najpierw, żywą istotę można zniszczyć daleko łatwiej niż mechanizm czy urządzenie techniczne. Dalej, one ewoluowały w takich warunkach, że równocześnie walczyły z istotami żywymi – i ze swymi metalowymi „braćmi", z rozumnymi automatami. Prowadziły więc wojnę na dwa fronty równocześnie, zwalczając wszelkie mechanizmy adaptacyjne ustrojów żywych oraz każdy przejaw inteligencji rozumnych maszyn. Wynikiem takich milionoletnich zmagań musi być

niezwykły uniwersalizm i doskonałość działania niszczącego. Obawiam się, że aby je pokonać, musielibyśmy unicestwić właściwie wszystkie, a to jest prawie niemożliwe...

– Tak pan sądzi?

– Tak. To znaczy, oczywiście, przy odpowiedniej koncentracji środków można by zniszczyć całą planetę... ale to nie jest przecież naszym zadaniem, nie mówiąc już o tym, że nie starczy nam sił. Sytuacja jest rzeczywiście jedyna w swoim rodzaju, ponieważ – tak ją widzę – my właściwie jesteśmy intelektualnie górą. Te mechanizmy nie reprezentują bynajmniej jakiejś potęgi umysłowej, po prostu są doskonale przystosowane do warunków planety... do niszczenia wszystkiego, co rozumne, oraz wszystkiego, co żywe. One same natomiast są martwe. Dlatego to, co dla nich jeszcze nieszkodliwe, dla nas może być zabójcze.

– Ale skąd pana pewność, że nie posiadają rozumu?

– Mógłbym tu zrobić unik, zasłonić się niewiedzą, ale powiem panu, że jeśli w ogóle czegokolwiek, to tego właśnie jestem pewny. Dlaczego nie przedstawiają intelektualnej potęgi? Ba! Gdyby ją miały, już by się z nami rozprawiły. Jeśli pan przejdzie myślą przez wszystkie kolejne wydarzenia na Regis od czasu naszego lądowania, zauważy pan, że one działają bez jakiegoś strategicznego planu. Atakują od wypadku do wypadku.

– No... sposób, w jaki pozbawiły Regnara łączności z nami, a potem atak na maszyny zwiadowcze...

– Ależ po prostu robią to, co robiły przed tysiącleciami. Przecież te wyższe automaty, które one wygubiły, na pewno porozumiewały się ze sobą właśnie za pomocą fal radiowych. Udaremnianie takiej wymiany informacji, rozkawałkowywanie łączności, to było jedno z pierwszych ich zadań. Rozwiązanie narzucało się niejako samo, bo chmura metalowa ekranuje tak dobrze jak nic innego na świecie.

A teraz? Co mamy robić dalej? Musimy chronić siebie i nasze automaty, nasze maszyny, bez których bylibyśmy niczym – one natomiast mają pełną swobodę manewru, mają na miejscu praktycznie niewyczerpalne źródła odradzania się, mogą się powielać, jeśli zniszczymy ich część, a przy tym wszystkim nie mogą zaszkodzić im żadne środki zabójcze dla życia. Niezbędne stają się nasze środki najgwałtowniejsze: uderzenie antymaterią... ale porazić wszystkich w ten sposób nie można. Zauważył pan, jak postępują rażone? Po prostu rozsypują się... poza tym stale musimy znajdować się pod osłoną, co ogranicza naszą strategię, a one mogą się dowolnie rozdrabniać, przenosić z miejsca na miejsce... i gdybyśmy je rozbili na tym kontynencie, przeniosą się na inny. Ale to nie jest w końcu nasza rzecz – zniszczyć je wszystkie. Uważam, że powinniśmy odlecieć.

– Ach, tak.

– Tak. Bo skoro za przeciwników mamy twory martwej ewolucji zapewne apsychiczne, nie możemy rozważać problemu w kategoriach zemsty czy odpłaty za „Kondora", za los jego załogi. Byłoby to tym samym, co wymierzyć oceanowi chłostę za to, że zatopił statek i ludzi.

– W tym, co pan mówi, tkwiłoby sporo racji, gdyby rzeczy miały się tak w istocie – rzekł, wstając, Horpach. Oparł się oburącz o pokreśloną mapę. – Ale to w końcu hipoteza, a nie możemy wrócić z hipotezami. Potrzebna jest pewność. Nie zemsta, lecz pewność. Dokładna diagnoza, ustalenie faktów. Jeżeli je ustalimy, jeżeli będę miał zamknięte w zbiornikach „Niezwyciężonego" próbki tej – tej latającej fauny mechanicznej – o ile ona naprawdę istnieje, wówczas oczywiście uznam, że nie mamy tu nic więcej do roboty. Wtedy rzeczą bazy będzie już ustalenie dalszego typu postępowania. Nawiasem mówiąc, nie ma żadnej gwarancji, że te

twory pozostaną na planecie, może będą się rozwijały, aby w końcu zagrozić i żegludze kosmicznej w tym rejonie Galaktyki.

– Gdyby nawet tak miało być, to nie prędzej, jak za setki tysięcy, raczej za miliony lat. Pan, astrogatorze, wciąż, jak się obawiam, rozumuje tak, jakbyśmy stali oko w oko z myślącym przeciwnikiem. To, co kiedyś było narzędziem istot rozumnych, po ich zniknięciu usamodzielniło się i z upływem milionów lat stało się właściwie częścią sił naturalnych planety. Życie pozostało w oceanie, bo tam nie sięga ewolucja mechaniczna, ale nie daje ona wstępu formom tego życia na ląd. Tym tłumaczy się umiarkowany procent tlenu w atmosferze – wydzielają go oceaniczne glony – jak również wygląd powierzchni kontynentów. Jest ona pustynią, bo te ustroje niczego nie budują, nie posiadają żadnej cywilizacji, nie mają w ogóle niczego prócz siebie, nie tworzą żadnych wartości; dlatego winniśmy je traktować jak siłę naturalną. Natura też nie tworzy ani ocen, ani wartości. Te twory po prostu są sobą, trwają i działają tak, aby to trwanie kontynuować...

– Jak pan tłumaczy zagładę samolotów? Chroniło je pole siłowe...

– Siłowe pole można zgnieść innym siłowym polem. Zresztą, astrogatorze, aby w ułamku sekundy unicestwić całą pamięć zawartą w mózgu człowieka, trzeba momentalnie wzbudzić wokół jego głowy pole magnetyczne o takim natężeniu, jakie trudno byłoby zrealizować nawet nam, za pomocą środków, jakie mamy na pokładzie. Potrzebne byłyby do tego jakieś gigantyczne przetwornice, transformatory, elektromagnesy...

– I pan myśli, że one mają to wszystko?

– Ależ nic podobnego! Niczego nie mają. Po prostu są cegiełkami, z których potrzeba chwili buduje to, co niezbędne. Przychodzi sygnał: zagrożenie! Coś się pojawiło, wykrywalne wywoływanymi zmianami, na przykład zmianami pola elektrostatycznego...

natychmiast lotny rój układa się w ten jakiś „chmuromózg" i budzi się jego zbiorowa pamięć: takie istoty już były, postępowało się z nimi tak a tak, po czym uległy zagładzie... i powtarzają ów tryb postępowania...

– Dobrze – powiedział Horpach, który od dłuższej chwili nie słyszał już słów starego biologa. – Odkładam start. Zwołamy teraz naradę; wolałbym tego nie robić, bo zanosi się na wielką dyskusję, namiętności naukowe rozgorzeją, ale innej rady nie widzę. Za pół godziny w głównej bibliotece, doktorze Lauda...

– Niech mnie przekonają, że się mylę, a wtedy na pokładzie przybędzie panu jeden człowiek prawdziwie zadowolony... – powiedział spokojnie doktor i tak cicho, jak wszedł, opuścił kajutę. Horpach wyprostował się, podszedł do ściennego informatora i wcisnąwszy taster wewnętrznej sieci głośników, wezwał po kolei wszystkich uczonych.

Jak się okazało, większość specjalistów żywiła podobne przypuszczenia co Lauda; on był tylko pierwszym, który sformułował je tak kategorycznie. Spory rozgorzały jedynie wokół problemu psychiczności czy apsychiczności „chmury". Cybernetycy skłaniali się raczej ku uznaniu jej za system myślący, obdarzony zdolnością działania strategicznego. Atakowano Laudę ostro; Horpach zdawał sobie sprawę z tego, że namiętność owych ataków spowodowała nie tyle hipoteza Laudy, ile to, że zamiast z kolegami, przedyskutował ją najpierw z nim samym. Mimo wszystkich więzów łączących ich z załogą, uczeni stanowili jednak na pokładzie rodzaj „państwa w państwie" i przestrzegali pewnego niepisanego kodeksu postępowania.

Główny Cybernetyk, Kronotos, pytał, w jaki sposób według Laudy „chmura", choć pozbawiona inteligencji, nauczyła się atakować ludzi.

– Ależ to proste – odparł biolog. – Nie robiła nic innego przez miliony lat. Mam na myśli walkę z pierwotnymi mieszkańcami Regis. Były to zwierzęta posiadające centralny układ nerwowy. Nauczyły się je atakować tak samo, jak ziemski owad atakuje ofiarę. Robią to z analogiczną precyzją, z jaką osa potrafi wstrzyknąć truciznę w zwoje nerwowe pasikonika czy chrząszcza. To nie inteligencja, to instynkt...

– A skąd wiedziały, jak zaatakować samoloty? Z samolotami nie spotykały się dotąd...

– Tego nie możemy wiedzieć, kolego. Walczyły, jak już wam mówiłem, na dwa fronty. Z mieszkańcami Regis żywymi i martwymi, to jest z innymi automatami. Te automaty siłą rzeczy musiały używać rozmaitych rodzajów energii w celach obrony i ataku...

– Ale jeśli nie było wśród nich latających...

– Domyślam się, o co chodzi doktorowi – zauważył zastępca GC, Saurahan.

– Te wielkie automaty, makroautomaty, komunikowały się ze sobą celem kooperacji, i najłatwiej było je zniszczyć przez izolację, rozdzielenie, najlepszym więc sposobem było blokowanie łączności...

– Nie o to chodzi, czy można wyjaśnić poszczególne formy zachowania „chmury" bez uciekania się do hipotezy inteligencji – odparł Kronotos – ponieważ nie obowiązuje nas brzytwa Ockhama. Nie nasze zadanie, teraz przynajmniej, tworzyć hipotezę, która najoszczędniejszymi środkami wyjaśni wszystko, lecz taką hipotezę, która umożliwi najbezpieczniejsze działanie. Dlatego raczej należy uznać, że „chmura" może być obdarzona inteligencją, bo to będzie większa przezorność. Będziemy działać wtedy ostrożniej. Gdybyśmy natomiast przyjęli za Laudą, że chmura nie ma inteligencji,

a w rzeczywistości by ją miała, łatwo możemy za taki błąd zapłacić straszną cenę... Mówię to nie jako teoretyk, ale przede wszystkim jako strateg.

– Nie wiem, kogo chcesz pokonać – chmurę czy mnie – odparł spokojnie Lauda. – Nie jestem za brakiem ostrożności, ale chmura nie ma inteligencji innego typu, aniżeli ją ma owad, a właściwie nie tyle pojedynczy owad, ile, dajmy na to, mrowisko. Przecież gdyby było inaczej, już byśmy nie żyli.

– Udowodnij to.

– Nie byliśmy dla niej pierwszym przeciwnikiem typu *homo*, ponieważ już miała z nim do czynienia: przypominam, że przed nami był tutaj „Kondor". Otóż aby przeniknąć w głąb pola siłowego, wystarczyłoby tym mikroskopijnym „muszkom" zagrzebać się w piasku. Pole sięga tylko do jego powierzchni. One znały pola siłowe „Kondora", więc mogły się nauczyć tego sposobu atakowania. Tymczasem niczego podobnego nie zrobiły. Albo więc jest „chmura" głupcem, albo działa instynktownie...

Kronotos nie chciał się poddać, ale tu wkroczył Horpach, proponując, aby dalszą część dyskusji odłożono. Prosił o konkretne propozycje wynikające z tego, co ustalono z dużym prawdopodobieństwem. Nygren pytał, czy nie można by ekranować ludzi, nakładając im hełmy metalowe, które uniemożliwiają działanie magnetycznego pola. Fizycy doszli jednak do wniosku, że to nie będzie skuteczne, ponieważ bardzo silne pole wytwarza w metalu prądy wirowe, rozgrzewające hełm do wysokiej temperatury. Gdy zacznie parzyć, nie będzie innej rady, jak tylko zerwać go z głowy z wiadomym skutkiem.

Była już noc. Horpach w jednym kącie sali rozmawiał z Laudą i lekarzami; osobno skupili się cybernetycy.

– To jednak niezwykłe, że istoty o wyższej inteligencji, owe makroautomaty, nie odniosły zwycięstwa – powiedział któryś. – Byłby to wyjątek potwierdzający regułę, że ewolucja idzie w kierunku komplikacji, doskonalenia homeostazy... sprawy informacji, jej wykorzystania...

– Te automaty nie miały szans właśnie dlatego, że były już na samym początku tak wysoko rozwinięte i skomplikowane – odparł Saurahan. – Zrozum, były wysoko wyspecjalizowane do celów współpracy z ich konstruktorami, Lyranami, a kiedy zabrakło Lyran, zostały jakby okaleczone, pozbawione dowództwa. Natomiast te formy, z których powstały dzisiejsze „muszki" (nie twierdzę wcale, że one już wtedy istniały, uważam to nawet za wykluczone, musiały powstać daleko później), te formy były względnie prymitywne i przez to miały przed sobą wiele dróg rozwoju.

– Może był czynnik nawet donioślejszy – dorzucił doktor Sax, który do nich podszedł – mamy do czynienia z mechanizmami, a mechanizmy nigdy nie wykazują takich tendencji samonaprawczych jak żywe zwierzę, żywa tkanka, która sama się odtwarza po skaleczeniu. Makroautomat, jeśli nawet mógłby naprawić inny, potrzebuje do tego narzędzi, całego parku maszynowego. Wystarczyło zatem odciąć je od takich narzędzi, aby oślepić. Stały się wtedy prawie bezbronnym łupem lotnych stworów, które były daleko mniej podatne na uszkodzenia...

– To niesłychanie ciekawe – powiedział nagle Saurahan. – Z tego wynika, że automaty trzeba budować zupełnie inaczej, niż to robimy, aby były naprawdę uniwersalne: należy wychodzić z małych cegiełek elementarnych, z pseudokomórek, które mogą się nawzajem zastępować.

– To nie jest takie nowe – uśmiechnął się Sax – bo właśnie ewolucja żywych form postępuje w ten sposób, i nieprzypadkowo... Dlatego i to, że „chmura" składa się z takich elementów wymiennych, na pewno nie jest przypadkiem... To jest sprawa materiału: uszkodzony makroautomat wymaga części, które wytworzyć może tylko wysoko rozwinięty przemysł, natomiast układ złożony z paru kryształków czy termistorów albo innych prostych ogniwek, taki układ może ulec zniszczeniu i to nie przynosi żadnej szkody, bo zastąpi go natychmiast jeden z miliarda podobnych.

Widząc, że niewiele może po nich oczekiwać, Horpach opuścił zebranych, którzy prawie tego nie zauważyli pogrążeni w dyskusji. Udał się do sterowni, by powiadomić ekipę Rohana o hipotezie „martwej ewolucji". Było już ciemno, kiedy „Niezwyciężony" nawiązał łączność z superkopterem znajdującym się w kraterze. Do mikrofonu zgłosił się Gaarb.

– Mam tylko siedmiu ludzi – powiedział – z tego dwu lekarzy przy tych nieszczęśliwcach. Reszta w tej chwili śpi, oprócz telegrafisty, który siedzi tu ze mną. Tak... mamy pełną osłonę siłową. Ale Rohan jeszcze nie wrócił.

– Jeszcze nie wrócił?! A kiedy wyjechał?

– Około szóstej po południu. Zabrał sześć maszyn i całą resztę ludzi... umówiliśmy się, że wróci po zachodzie. Słońce zaszło przed dziesięciu minutami.

– Ma pan z nim łączność radiową?

– Utraciłem ją przed godziną.

– Gaarb? Czemu nie zawiadomił mnie pan natychmiast?!

– Bo Rohan zapewniał, że łączność na jakiś czas ustanie, ponieważ zapuszczają się w jeden z tych głębokich wąwozów, wie pan. Ich

stoki porośnięte są tym metalowym świństwem, które daje takie odbicia, że praktycznie nie ma mowy o złapaniu sygnału...

– Proszę zawiadomić mnie natychmiast, kiedy Rohan wróci... będzie za to odpowiadał... w ten sposób szybko możemy utracić wszystkich...

Astrogator mówił jeszcze, gdy przerwał mu okrzyk Gaarba:

– Nadjeżdżają, astrogatorze! Widzę światła, idą w górę stoku, to Rohan... raz – dwa – nie, to tylko jedna maszyna... zaraz dowiem się wszystkiego...

– Czekam.

Gaarb, widząc światła reflektorów huśtające się nisko nad samą ziemią, które co chwila snopami uderzały w obozowisko i znów znikały w fałdach terenu, chwycił leżącą opodal rakietnicę i strzelił dwa razy w górę. Efekt był znakomity – wszyscy śpiący zerwali się na równe nogi, tymczasem maszyna zatoczyła łuk, telegrafista czuwający w centrali otworzył przejście w ścianie siłowej i przez wyznaczony błękitnymi światłami pas gruntu wtoczyła się zasypana kurzem gąsienicówka, zamierając przed wydmą, na której stał superkopter. Ku swemu przerażeniu Gaarb rozpoznał w przybyłej małą, trójosobową amfibię zwiadowczą, pojazd radiowy. Wraz z innymi, w świetle kierowanych pospiesznie reflektorów, pobiegł naprzeciw jadącej maszynie. Nim zatrzymała się na dobre, wyskoczył z niej człowiek w podartym kombinezonie, z twarzą tak umazaną błotem i krwią, że nie poznał go, dopóki tamten się nie odezwał.

– Gaarb – jęknął, chwytając uczonego za ramiona, i nogi ugięły się pod nim. Przyskoczyli inni, podparli go, wołając:

– Co się stało?! Gdzie tamci...?

– Nie – ma – już – tamtych... nikogo... – wyszeptał Rohan i zwisł im w rękach zemdlony.

Około dwunastej w nocy udało się lekarzom przywrócić mu przytomność. Leżąc pod aluminiową osłoną baraku, w namiocie tlenowym, opowiedział to, co w pół godziny potem Gaarb przetelegrafował „Niezwyciężonemu".

# GRUPA ROHANA

Kolumna, którą poprowadził Rohan, składała się z dwóch wielkich energobotów, czterech gąsienicówek terenowych i małej maszyny ziemno-wodnej. Znajdował się w niej Rohan wraz z kierowcą Jargiem i bosmanem Ternerem. Posuwali się w szyku wyznaczonym regulaminem procedury trzeciego stopnia. Pierwszy toczył się energobot bez ludzi, za nim jechała zwiadowcza amfibia Rohana, dalej – cztery maszyny mieszczące po dwu ludzi, a zamykał kolumnę drugi energobot; oba osłaniały całą grupę pęcherzem pola siłowego.

Rohan zdecydował się na tę wyprawę, ponieważ jeszcze w kraterze udało mu się za pomocą „elektrycznych psów" – czujników olfaktometrycznych – znaleźć tropy czterech zaginionych ludzi grupy Regnara. Było oczywiste, że jeśli się ich nie znajdzie, zginą z głodu lub pragnienia, błądząc po skalnych wertepach bardziej bezradni niż dzieci. Pierwsze kilometry przebyli, zdając się na wskazania czujników. U wejścia do jednego z mijanych szerokich i płytkich w tym miejscu wąwozów odkryli około siódmej wyraźne, odciśnięte w szlamie pozostawionym przez wysychający potok ślady stóp. Odróżnili trzy rodzaje śladów doskonale zachowanych w miękkim szlamie, który tylko nieznacznie zesechł w ciągu dnia; był tam i czwarty, niewyraźny, bo rozmyty już wodą, ciurkającą słabo wśród głazów. Ślady te, o charakterystycznym rysunku, wskazywały na to, że odcisnęły je ciężko obute stopy ludzi z grupy Regnara, które kierowały się w głąb wąwozu. Nieco dalej znikały na skale, lecz to nie zniechęcało naturalnie Rohana,

bo widział, że stoki wąwozu stają się w głębi coraz bardziej strome. Tym samym nieprawdopodobne było, aby porażeni amnezją uciekinierzy zdołali się na nie wspiąć. Rohan liczył na to, że wnet znajdzie ich w głębi wąwozu, nieprzejrzystego wskutek licznych i ostrych zakrętów. Po krótkiej naradzie kolumna ruszyła dalej, aż dotarła do miejsca, w którym na obu stokach rosły dziwaczne, nadzwyczaj zbite metalowe krzaki. Były to twory przysadkowate, pędzlaste, wysokie mniej więcej od jednego do półtora metra. Wyrastały z pełnych czarniawego iłu pęknięć nagiej skały. Zrazu pojawiły się pojedynczo, potem utworzyły jednolity gąszcz, który rdzawą, szczotkowatą warstwą zarastał oba skłony wąwozu do samego niemal dna; sączyła się tam ukryta pod wielkimi głazami nitka wody.

Tu i ówdzie między „krzakami" widniały wyloty jaskiń. Z jednych wypływały cienkie strumyki wody, inne były suche lub pozornie wyschnięte. Do takich, których otwory znajdowały się nisko, ludzie Rohana próbowali zajrzeć, świecąc do środka reflektorami. W jednej z owych grot znaleźli znaczną ilość drobnych, częściowo zatopionych wodą, która kapała ze sklepienia, trójkątnych kryształków. Rohan miał ich całą garść w kieszeni. Jechali jakieś pół kilometra w górę wąwozu po coraz większej pochyłości. Jak dotąd gąsienice maszyn radziły sobie z nachyleniem doskonale, a że w dwu miejscach ponownie odkryli ślady stóp w zaschniętym ile przy biegu strumyka, byli pewni, że jadą dobrym tropem. Za którymś z zakrętów łączność radiowa, utrzymywana dotąd z superkopterem, znacznie się pogorszyła, co Rohan przypisywał ekranującemu działaniu metalowych gąszczy. Po obu stronach wąwozu, szerokiego na dwadzieścia metrów u góry i jakieś dwanaście metrów u dna, wznosiły się miejscami niemal pionowe ściany, okryte, niby sztywnym, czarnym futrem, drucianą masą krzewów. Krzewów tych

było po obu stronach wąwozu tyle, że tworzyły jednolitą gęstwinę sięgającą szczytów wzniesienia.

Kawalkada pojazdów przejechała przez dwie dość szerokie bramy skalne; przejazd ów zajął nieco czasu, ponieważ technicy pola musieli bardzo precyzyjnie zwężać jego zasięg, aby nie zawadzić o skały. Były one silnie pokruszone i spękane od erozji, każde więc uderzenie pola energetycznego o filar skalny mogło obruszyć całą lawinę głazów. Nie o siebie się naturalnie obawiali, lecz o zaginionych, których podobny obwał – gdyby znajdowali się blisko – mógł poranić lub pozabijać.

Minęło około godziny od ustania radiowej łączności, kiedy na ekranach magnetycznych czujników pojawiły się gęste rozbłyski. Pelengatory pozornie się popsuły, gdyż kiedy chcieli odczytać z nich kierunek, z którego płyną te impulsy, pokazywały wszystkie strony świata naraz. Dopiero licznikami natężenia i polaryzatorami udało się stwierdzić, że źródłem wahań pola magnetycznego są gąszcze porastające ściany wąwozu. Wtedy dopiero zauważyli też, że gąszcz ów przedstawia się inaczej niż w przebytej części wąwozu: nie miał rdzawego nalotu, krzaki, z których się składał, były wyższe, większe i jakby bardziej czarne, gdyż druty ich czy też gałązki oblepiały dziwaczne zgrubienia. Rohan nie zdecydował się na ich zbadanie, nie chciał bowiem ryzykować otwarcia osłony siłowej.

Pojechali nieco szybciej, podczas kiedy impulsometry i czujniki magnetyczne wykazywały coraz bardziej różnorodną aktywność. Gdy unosiło się wzrok w górę, można było dostrzec, jak powietrze drga gdzieniegdzie nad całą powierzchnią czerniawej gęstwiny, jakby nagrzane do wysokiej temperatury, a za drugą bramą skalną zauważyli, jak nad krzakami krążą nikłe pasemka podobne do rozwiewającego się dymu. Działo się to jednak tak wysoko na stoku, że w ich naturze nie można się było zorientować nawet

przy użyciu lornety. Co prawda Jarg, który prowadził wóz Rohana, obdarzony bardzo bystrym wzrokiem, twierdził, że te „dymki" wyglądają jak rój małych owadów.

Rohan stawał się już trochę niespokojny, wędrówka bowiem trwała dłużej, niż się tego spodziewał, a wciąż nie było widać końca krętego wąwozu. Można było za to jechać szybciej, bo znikły spotykane poprzednio spiętrzenia głazów na dnie potoku, który przestał już prawie istnieć, ukryty głęboko pod piargami, i tylko kiedy maszyny przystawały, w zaległej ciszy słychać było nikły szmer niewidzialnej wody.

Za kolejnym zakrętem ukazała się brama skalna ciaśniejsza niż tamte. Po dokonaniu namiarów technicy stwierdzili, że nie można przejechać przez nią z włączonym polem siłowym. Jak wiadomo, pole takie nie może przybrać dowolnych rozmiarów, ale zawsze stanowi wariant bryły obrotowej, więc kuli, elipsoidy czy hiperboloidy. Poprzednio udawało im się przebrnąć przez zwężenia wąwozu, zaciskając osłaniające pole na kształt spłaszczonego balonu stratosferycznego, który był oczywiście niewidzialny.

Teraz jednakże nie udałoby się tego dokonać żadnym manewrem. Rohan naradził się z fizykiem Tommanem i oboma technikami pola, po czym zdecydowano wspólnie, że zaryzykują przejazd z momentalnym i ponadto częściowym tylko wyłączeniem osłony. Pierwszy miał przejechać bezludny energobot z wyłączonym emitorem pola; natychmiast za bramą skalną należało go uruchomić, aby dał pełną osłonę przednią na kształt wypukłej tarczy. Podczas przejazdu czterech wielkich maszyn i małej zwiadowczej Rohana przez wąskie przejście ludzie mieli być pozbawieni osłony tylko z góry; ostatni zamykający kolumnę energobot miał połączyć swą „tarczę" z „tarczą" pierwszego zaraz za skalną bramą, odtwarzając w ten sposób pełną osłonę.

Wszystko szło zgodnie z owym projektem i ostatnia z czterech maszyn gąsienicowych przejeżdżała właśnie między skalnymi słupami, gdy powietrzem targnął osobliwy wstrząs – nie dźwięk, ale wstrząs, jakby gdzieś blisko upadła jakaś skała – szczotkowate ściany wąwozu zadymiły, wypełzła z nich czarna chmura i z szaloną szybkością runęła na kolumnę.

Rohan, który postanowił przepuścić przed swą amfibią wielkie transportery, stał w tym momencie, czekając na przejazd ostatniego; zobaczył nagle buchające czernią stoki wąwozu i olbrzymi błysk na przedzie, gdzie znajdujący się już poza bramą skalną pierwszy energobot włączył pole, w którym spalały się kłęby atakującej chmury, ale większą jej część przeniosło nad płomieniami i runęła na wszystkie naraz maszyny. Krzyknął na Jarga, aby włączył natychmiast tylny energobot i połączył emitowane przezeń pole z poprzednim, bo w tej sytuacji niebezpieczeństwo skalnego obrywu nie miało już znaczenia. Jarg usiłował to zrobić, ale pola włączyć się nie dało. Prawdopodobnie – jak zauważył potem Główny Inżynier – klistrony aparatury były przegrzane. Gdyby technik przetrzymał je pod wzbudzającym prądem kilka sekund dłużej, pole niewątpliwie by „zaskoczyło", lecz Jarg stracił głowę i zamiast ponowić próbę, wyskoczył z maszyny. Rohan chwycił go za kombinezon, lecz obłąkany strachem Jarg wyrwał mu się i zaczął uciekać w dół wąwozu. Kiedy Rohan sam dopadł aparatury, było już za późno.

Ludzie zaskoczeni w transporterach wyskakiwali z nich i rozbiegali się na wszystkie strony, prawie niewidzialni w kłębach kotłującej się chmury. Widok ten był tak nieprawdopodobny, że Rohan nie próbował już nic robić. (Było to zresztą niemożliwe – włączając pole, poraziłby ich, bo usiłowali nawet wdrapywać się na zbocze, jakby szukając osłony w metalicznym gąszczu). Stał teraz

biernie w opuszczonej maszynie i czekał, kiedy spotka go ten sam los. Za jego plecami Terner, do połowy wychylony ze swej kopułki strzelniczej, bił ze sprężonych laserów w górę, ale ten ogień nie miał znaczenia, bo większa część chmury znajdowała się już zbyt blisko. Od reszty kolumny dzieliło Rohana nie więcej niż sześćdziesiąt metrów. W owej przestrzeni miotali się i tarzali po ziemi, jak ogarnięci czarnymi płomieniami, nieszczęśliwcy, krzycząc zapewne, ale ich krzyk, jak wszystkie odgłosy, wraz z huczeniem przedniego energobotu, na którego osłonie siłowej wciąż spalały się drgającym pożarem całe miriady napastników, nikł w przeciągłym, basowym brzęczeniu chmury.

Rohan wciąż stał wynurzony do połowy ze swej amfibii, nawet nie próbując się w niej ukryć, nie z rozpaczliwej odwagi, jak sam powtarzał potem, ale po prostu dlatego, że o tym – ani w ogóle o niczym – nie pomyślał.

Ten obraz, którego nie mógł zapomnieć – ludzi pod czarną lawiną – nagle przeistoczył się w zdumiewający sposób. Zaatakowani przestali tarzać się po głazach, uciekać, wczołgiwać w druciasty gąszcz. Powoli stawali lub siadali, a chmura, rozdzieliwszy się na szereg lejów, uformowała nad każdym jakby lokalny wir, jednym muśnięciem okrążała jego tułów czy tylko głowę, po czym oddalała się, wzburzona, hucząc coraz wyżej między ścianami wąwozu, aż zasłoniła światło zmierzchającego nieba, a potem, w przeciągle niknącym poszumie, wpełzła w skały, zapadła w czarną dżunglę i znikła, tak że tylko drobne, czarne punkciki leżące z rzadka między znieruchomiałymi postaciami świadczyły o realności tego, co stało się przed chwilą.

Rohan, wciąż jeszcze nie wierząc we własne ocalenie ani nie rozumiejąc, czemu je przypisać, poszukał oczami Ternera. Ale kopułka strzelecka była pusta; bosman musiał wyskoczyć z niej, nie

wiadomo jak ani kiedy; zobaczył go leżącego opodal z laserami, których kolby wciąż jeszcze przyciskał do piersi, patrząc przed siebie nieruchomymi oczyma.

Rohan wysiadł i począł biegać od jednego człowieka do drugiego. Nie poznawali go. Żaden się do niego nie odezwał. Większość wydawała się spokojna; kładli się na kamieniach lub siadali, a dwu czy trzech wstało i podchodząc do maszyn, zaczęło obmacywać ich boki powolnymi, niezdarnymi ruchami ślepców.

Rohan zobaczył, jak znakomity radarzysta, przyjaciel Jarga, Genlis, na podobieństwo dzikusa, który pierwszy raz w życiu ujrzał maszynę, z półotwartymi ustami próbował poruszać rękojeścią odmykającą klapę transportera.

W następnej chwili Rohan miał zrozumieć, co oznaczała okrągła dziura wypalona w jednej z przegród sterowni „Kondora", bo kiedy przyklęknąwszy, chwycił za barki doktora Ballmina i trząsł nim z całą siłą rozpaczy, jakby w przekonaniu, że w ten sposób uda mu się go otrzeźwić, tuż u jego głowy buchnął z hukiem fioletowy płomień. To jeden z siedzących dalej, wyjąwszy z kabury swój miotacz Weyra, nacisnął niechcący jego spust. Rohan krzyknął doń, ale człowiek nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. Być może błysk spodobał mu się, jak fajerwerk małemu dziecku, bo począł strzelać, wypróżniając atomowy magazynek, aż powietrze zaskwierczało od żaru, i Rohan, padłszy na ziemię, musiał wtoczyć się między głazy. W tym momencie rozległ się gwałtowny tupot i spoza zakrętu wybiegł, zziajany, z twarzą lśniącą od potu, Jarg. Biegł prosto na szaleńca, który zabawiał się strzelaniem z Weyra. „Stój! Padnij! Padnij!!!" – wrzasnął z całej siły Rohan, lecz nim zdezorientowany Jarg się zatrzymał, wyładowanie trafiło go okropnie w lewe ramię, tak że Rohan widział jego twarz, gdy cały odwalony bark leciał przez powietrze, a ze straszliwej rany buchnęła

krew. Strzelający jakby tego wcale nie zauważył, a Jarg, spojrzawszy z bezmiernym zdumieniem najpierw na krwawiący kikut, potem na oderwaną rękę, zakręcił się i upadł.

Człowiek z Weyrem stał. Rohan widział, jak ciągły płomień rozgrzewającego się miotacza krzesał pachnące dymem krzemionki iskry z głazów. Tamten poruszał się chwiejnie; ruchy te były takie właśnie jak niemowlęcia trzymającego grzechotkę. Płomień przeszył powietrze między dwoma siedzącymi obok siebie ludźmi, którzy nawet oczu nie zamknęli przed jego oślepiającym blaskiem; chwila, a jeden z nich dostałby cały ładunek w twarz. Rohan – to znowu nie była decyzja, lecz odruch – wyrwał z kabury własnego Weyra i strzelił, tylko raz. Tamten uderzył się z rozmachem obiema podkurczonymi rękami w pierś, jego broń stuknęła o kamienie, a on sam padł na nią, na twarz.

Rohan zerwał się wtedy. Zapadał zmrok. Należało wszystkich jak najszybciej odwieźć do bazy. Miał tylko własną małą amfibię, a gdy chciał uruchomić któryś z transporterów, okazało się, że dwa z nich zderzyły się w najwęższym miejscu skalnego przejścia i tylko za pomocą dźwigów można by je rozłączyć. Pozostawał tylny energobot, który mógłby zabrać najwyżej pięciu ludzi, a miał ich – żywych, choć bezprzytomnych – dziewięciu. Pomyślał, że najlepiej będzie zebrać wszystkich razem, powiązać, aby nie mogli nigdzie uciec ani zrobić sobie krzywdy, włączyć pola obu energobotów, by ich osłaniały, a samemu jechać po pomoc. Nie chciał zabierać nikogo, bo jego mała terenówka była całkiem bezbronna, więc w razie ataku wolał ryzykować tylko siebie.

Była już ciemna noc, kiedy skończył tę niesamowitą pracę; ludzie dali się powiązać bez żadnego oporu. Odjechał tylnym energobotem, by móc wyjechać na wolną przestrzeń amfibią, ustawił oba emitory, zdalnie włączył osłonę siłową, pozostawił

w jej wnętrzu wszystkich związanych, a sam ruszył w drogę powrotną.

W taki sposób w dwudziestym siódmym dniu po lądowaniu niemal połowa załogi „Niezwyciężonego” była już obezwładniona.

# KLĘSKA

Jak każda historia prawdziwa, opowiadanie Rohana było dziwaczne i nieskładne. Dlaczego chmura nie zaatakowała jego ani Jarga? Dlaczego nie tknęła także Ternera, dopóki nie opuścił amfibii? Dlaczego Jarg najpierw uciekał, a potem wrócił? Odpowiedzieć na ostatnie pytanie było stosunkowo łatwo. Wrócił, jak przypuszczano, kiedy ochłonął z paniki i uzmysłowił sobie, że od bazy dzieli go około pięćdziesięciu kilometrów, których nie mógłby przebyć pieszo z posiadanym zapasem tlenu.

Pozostawały zagadką pytania poprzednie. Odpowiedź na nie mogła mieć dla wszystkich ludzi wagę życia lub śmierci. Ale rozważania i hipotezy musiały ustąpić działaniu.

Horpach dowiedział się o losie grupy Rohana po północy; w pół godziny potem wystartował.

Przerzucenie krążownika kosmicznego z jednego miejsca na drugie, oddalone zaledwie o dwieście kilometrów, jest zadaniem niewdzięcznym. Statek trzeba prowadzić cały czas zawieszony pionowo na ogniu, ze stosunkowo małą szybkością, co powoduje znaczne zużycie paliwa. Pędnie, nieprzystosowane do takiej pracy, wymagały nieustającej interwencji elektrycznych automatów, a i tak stalowy kolos posuwał się w nocy z lekkim chybotaniem, jakby go unosiła powierzchnia łagodnie falującego morza. Byłby to zapewne niezwykły widok dla obserwatora stojącego na powierzchni Regis III – ów słabo widoczny w odblasku wyrzucanych płomieni kształt sunący przez mroki niczym ognista kolumna.

Utrzymanie właściwego kursu także nie było łatwe. Przyszło wznieść się ponad atmosferę, potem wejść w nią na powrót rufą naprzód.

Wszystko razem absorbowało całą uwagę astrogatora, tym bardziej że poszukiwany krater skrywał się pod cienką powłoką chmur. Na koniec, jeszcze przed świtem, „Niezwyciężony" osiadł w kraterze, o dwa kilometry od starej bazy Regnara; superkopter, maszyny i baraki umieszczono wówczas w obrębie perymetru krążownika, a silnie uzbrojona grupa ratunkowa około południa przywiozła wszystkich ocalałych ludzi Rohana, zdrowych, lecz bezprzytomnych. Na szpital przyszło zająć dwa dodatkowe pomieszczenia, bo we właściwym szpitalu okrętowym zabrakło już wolnych miejsc. Dopiero gdy tego dokonano, uczeni zajęli się roztrząsaniem tajemnicy, która uratowała Rohana i – gdyby nie tragiczny wypadek z miotaczem w ręku szalonego – uratowałaby też Jarga.

Było to niepojęte, bo obaj zarówno odzieżą, uzbrojeniem, jak i wyglądem nie różnili się wcale od reszty. Nie mogło mieć chyba znaczenia i to, że znajdowali się we trzech, z Ternerem, w małym pojeździe terenowym.

Horpach stał równocześnie przed dylematem, co robić dalej. Sytuacja była o tyle jasna, że mógłby wrócić do bazy z danymi, które usprawiedliwiały odwrót i wyjaśniały tragiczny koniec „Kondora". To, co najbardziej intrygowało uczonych – metalowe pseudoowady, ich symbioza z mechanicznymi „roślinami" osiadłymi na skałach, na koniec kwestia „psychizmu" chmury – a nie było nawet wiadome, czy istnieje tylko jedna, czy też jest ich więcej, czy wreszcie mniejsze chmury mogą się wszystkie łączyć w jednolitą całość – wszystko to razem nie skłoniłoby go do pozostania na Regis III ani przez godzinę dłużej, gdyby nie to,

że brakowało wciąż czterech ludzi z ekipy Regnara, wraz z nim samym.

Ślady zaginionych wciągnęły grupę Rohana do wąwozu. Nie ulegało wątpliwości, że owi bezbronni zginą tam, nawet jeśli martwi mieszkańcy Regis pozostawią ich w spokoju. Należało zatem przeszukać okoliczne tereny, bo pozbawieni zdolności rozumnego działania nieszczęśliwi mogli liczyć tylko na pomoc „Niezwyciężonego".

Jedyne, co dało się ustalić w rozsądnym przybliżeniu, to promień poszukiwań, gdyż owi zagubieni w krainie grot i wąwozów nie mogli się oddalić od krateru bardziej aniżeli na kilkadziesiąt kilometrów. Tlenu w aparatach mieli już niewiele, lekarze jednak zapewniali, że oddychanie atmosferą planety na pewno nie grozi śmiercią, w stanie zaś, w jakim przebywali owi ludzie, oszołomienie rozpuszczonym we krwi metanem nie miało oczywiście poważniejszego znaczenia.

Teren poszukiwań nie był zbyt rozległy, ale wyjątkowo trudny i nieprzejrzysty. Przeczesanie wszystkich zaułków, szczelin, krypt i jaskiń mogło nawet w sprzyjających warunkach zająć tygodnie. Pod skałami krętych parowów i dolin, komunikując się z nimi tylko gdzieniegdzie, krył się drugi system podziemnych korytarzy i grot wypłukanych przez wody. Było zupełnie możliwe, że zaginieni przebywają gdzieś w jednej z takich kryjówek, poza tym nie można było liczyć nawet na to, że znajdzie się ich w jednym miejscu. Pozbawieni pamięci, byli bardziej bezradni niż dzieci, bo te trzymałyby się przynajmniej razem. Przy tym wszystkim okolica stanowiła siedzibę czarnych chmur. Potężne uzbrojenie „Niezwyciężonego" i jego środki techniczne nie na wiele mogły się przydać w poszukiwaniach. Najpewniejsza obrona, pole siłowe, w ogóle nie dawała się zastosować w korytarzach planetarnego

podziemia. Tak więc pozostawała alternatywa natychmiastowego odwrotu, równoznacznego z wyrokiem zagłady na zaginionych, albo wszczęcia ryzykownych poszukiwań. Realną szansę dawały one tylko w ciągu kilku najbliższych dni, do tygodnia. Horpach wiedział, że dalsze poszukiwania mogłyby wykryć jedynie szczątki owych ludzi, a nie ich samych.

Następnego dnia rankiem astrogator wezwał specjalistów, przedstawił im położenie i oznajmił, że liczy na ich pomoc. Znajdowali się w posiadaniu garstki „metalowych insektów", które przyniósł w kieszeni swej kurtki Rohan. Całą prawie dobę poświęcono ich badaniu. Horpach chciał wiedzieć, czy istnieje szansa radykalnego unieszkodliwienia owych tworów. Powróciło też pytanie, co ocaliło Jarga i Rohana przed atakiem „chmury".

„Jeńcy" zajmowali podczas narady poczesne miejsce, w zamkniętym naczyniu szklanym, pośrodku stołu. Było ich zaledwie kilkanaście sztuk, bo reszta uległa zniszczeniu w trakcie badań. Twory te, o dokładnej troistej symetrii, przypominające kształtem literę Y, o trzech ostrokończastych ramionach łączących się w centralnym zgrubieniu, w padającym świetle czarne jak węgiel, w odbitym zaś opalizujące sino i oliwkowo, podobnie jak odwłoki niektórych ziemskich owadów o ściankach utworzonych z bardzo drobnych płaszczyzn, niby rozetkowy szlif brylantu, mieściły w swoim wnętrzu mikroskopijną, ale zawsze taką samą konstrukcję. Elementy jej, kilkaset razy drobniejsze od ziarenek piasku, stanowiły rodzaj autonomicznego systemu nerwowego, w którym dało się wyróżnić częściowo od siebie niezależne układy.

Część mniejsza, zajmująca wnętrze ramion litery Y, przedstawiała system zawiadujący ruchami „owada", który w mikrokrystalicznej strukturze ramion posiadał coś w rodzaju uniwersalnego akumulatora i zarazem transformatora energii. Zależnie od tego,

w jaki sposób mikrokryształki były ściskane, wytwarzały już to pole elektryczne, już to magnetyczne, już to naprzemienne pola siłowe, które mogły nagrzewać do stosunkowo wysokiej temperatury część centralną; wtedy nagromadzone ciepło promieniowało jednokierunkowo na zewnątrz. Wywołany tym ruch powietrza, coś na kształt odrzutu, umożliwiał unoszenie się w dowolnym kierunku. Pojedynczy kryształek nie tyle latał, ile polatywał, i nie był, przynajmniej podczas eksperymentów laboratoryjnych, zdolny do precyzyjnego kierowania swym lotem. Natomiast łącząc się przez zetknięcie końców ramion z innymi, tworzył agregaty o tym większych umiejętnościach aerodynamicznych, im większa była ich liczebność.

Każdy kryształek łączył się z trzema innymi; ponadto mógł też połączyć się końcem ramienia z centralną częścią innego, co umożliwiało wielowarstwową budowę tak rosnących zespołów. Połączenie nie musiało następować dzięki zetknięciu się, bo wystarczyło zbliżenie końców, aby wytworzone pole magnetyczne utrzymywało cały twór w równowadze. Przy określonej ilości „insektów" agregat zaczynał wykazywać liczne prawidłowości, mógł, zależnie od „drażnienia" bodźcami zewnętrznymi, zmieniać kierunek ruchu, formę, kształt, częstość wewnętrznych impulsów. Przy pewnej ich zmianie znaki pola odwracały się i zamiast się przyciągać, metalowe kryształki, rozłączywszy się, przechodziły w stan „rozsypki indywidualnej".

Oprócz systemu zawiadującego takimi ruchami każdy czarny kryształek mieścił w sobie jeszcze drugi układ połączeń, a raczej jego fragment, bo tamten zdawał się stanowić część jakiejś większej całości. Ta nadrzędna całość, powstająca prawdopodobnie dopiero przy zespoleniu ogromnej ilości elementów, była właściwym motorem napędowym działań chmury. Tu jednak kończyły się

wiadomości uczonych. Nie orientowali się w możliwościach wzrostu systemów nadrzędnych, a już szczególnie ciemny pozostał problem ich „inteligencji". Kronotos przypuszczał, że tym więcej stworów łączy się w jedną całość, im trudniejszy do rozwiązania napotykają problem. Brzmiało to dość przekonywająco, ale ani cybernetycy, ani informatycy nie znali żadnego odpowiednika takiej konstrukcji, to jest „dowolnie rozrastającego się mózgu", który rozmiary swoje przymierza do wielkości zamiarów.

Część przyniesionych przez Rohana tworów była uszkodzona. Inne jednak wykazywały typowe reakcje. Pojedynczy kryształek mógł polatywać, unosić się prawie niezauważalnie, opadać, zbliżać się do źródła bodźców bądź unikać go, poza tym był zupełnie niegroźny, nie wydzielał nawet w obliczu zniszczenia (a niszczyć je próbowali badacze środkami chemicznymi, żarem, polami siłowymi i promieniowaniem) żadnych rodzajów energii i można go było unicestwić jak najsłabszego ziemskiego chrząszczyka – z tą tylko różnicą, że krystaliczno-metalowy pancerz nie tak łatwo przychodziło zmiażdżyć. Natomiast łącząc się już w stosunkowo mały agregat, „owady" zaczynały przy wystawieniu na działanie pola magnetycznego wytwarzać pole, które tamto znosiło; podgrzane, usiłowały wyzbyć się ciepła promieniowaniem podczerwonym. Doświadczenia nie mogły iść dalej, gdyż uczeni dysponowali tylko garścią kryształków.

Na pytanie astrogatora odpowiedział w imieniu „Głównych" Kronotos. Uczeni domagali się czasu dla dalszych badań – przede wszystkim zaś pragnęli zdobyć dużą ilość kryształków. Proponowali zatem, aby wysłano w głąb wąwozu ekspedycję, która szukając zaginionych, mogłaby zarazem dostarczyć co najmniej kilkudziesięciu tysięcy pseudoowadów.

Horpach przystał na to. Uznał jednak, że nie wolno mu już zaryzykować życia ludzi. Do wąwozu postanowił wysłać maszynę, która nie brała dotąd udziału w żadnej akcji. Był to osiemdziesięciotonowy pojazd samobieżny specjalnego przeznaczenia, zazwyczaj stosowany tylko w warunkach wysokiego skażenia promienistego, olbrzymich ciśnień i temperatur. Maszyna ta, zwana pospolicie, choć nieoficjalnie „Cyklopem", znajdowała się na samym dnie krążownika, zamocowana na głucho dźwigarami luku towarowego. Zasadniczo nie używano jej na powierzchni planety, a mówiąc prawdę, „Niezwyciężony" nigdy dotąd nie uruchomił jeszcze swojego „Cyklopa". Sytuacje, które wymagały takiej ostateczności, można było – w odniesieniu do całego tonażu latającej bazy – policzyć na palcach jednej ręki. Posłać po coś „Cyklopa" znaczyło w gwarze pokładowej tyle, co zlecić zadanie samemu diabłu: o porażce jakiegoś „Cyklopa" nikt dotąd nie słyszał. Maszynę, wydobytą za pomocą dźwigów, ustawiono na pochylni, gdzie zajęli się nią technicy i programiści. Posiadała oprócz zwykłego systemu wytwarzających pole siłowe Diraców miotacz kulisty antymaterii, mogła więc wyrzucać antyprotony w dowolnym kierunku lub we wszystkich naraz. Wbudowana w pancerny brzuch wyrzutnia umożliwiała „Cyklopowi", dzięki interferencji pól siłowych, unoszenie się nawet kilka metrów ponad gruntem, nie był więc zależny ani od podłoża, ani od obecności jakichś kół czy gąsienic. Z przodu otwierał się pancerny ryj, a przez powstały otwór wysuwał się inhaustor – rodzaj teleskopowej „ręki", która mogła dokonywać miejscowych wierceń, pobierać z zewnątrz próbki minerałów i wykonywać inne prace. „Cyklop" był wprawdzie zaopatrzony w silną radiostację i przekaźnik telewizyjny, ale przysposobiono go także do działań autonomicznych, dzięki elektronowemu mózgowi, który nim

sterował. Technicy z grupy operacyjnej inżyniera Petersena wprowadzili do owego mózgu odpowiednio przygotowany program: astrogator liczył się bowiem z tym, że wewnątrz wąwozu utraci łączność z maszyną.

Program przewidywał poszukiwania zaginionych, których „Cyklop" miał wprowadzić do swego wnętrza w ten sposób, że najpierw osłoniłby zarówno ich, jak i siebie drugą, zewnętrzną względem własnej zaporą siłową i dopiero pod jej tarczą otworzyłby przejście przez pole siłowe wewnętrzne, chroniące własny jego korpus. Poza tym maszyna miała zabrać sporą ilość kryształków z liczby tych, które ją zaatakują. Miotacz antymaterii miał być użyty jedynie w skrajnej ostateczności, gdyby ochronnemu polu siłowemu zagrażało zgniecenie – gdyż reakcja anihilacyjna musiała, siłą rzeczy, doprowadzić do promienistego skażenia terenu, które mogło stać się groźne dla życia zaginionych znajdujących się być może niedaleko miejsca potyczki.

Od końca do końca „Cyklop" mierzył osiem metrów, był też odpowiednio „barczysty" – średnica kadłuba wynosiła ponad cztery metry. Gdyby jakaś szczelina skalna okazała się dla niego niedostępna, mógł poszerzyć jej wylot, już to działając „stalową ręką", już to rozpychając skały i krusząc je siłowym polem. Ale i wyłączenie pola nie mogło mu zaszkodzić, ponieważ jego własna ceramiczno-wanadowa zbroja miała twardość diamentu.

We wnętrzu „Cyklopa" umieszczono automat, który miał zająć się odnalezionymi, jak również przygotowano tam dla nich posłania. Na koniec, po sprawdzeniu wszystkich urządzeń, pancerny kadłub zsunął się dziwnie lekko po opuszczonej pochylni i jak unoszony niewidzialną siłą – bo nie wzbijał wcale kurzawy, nawet gdy posuwał się najszybciej – minął błękitnymi światłami wyznaczone

przejścia osłony „Niezwyciężonego”, aby rychło zniknąć z oczu skupionym pod rufą.

Około godziny łączność radiotelewizyjna między „Cyklopem” a sterownią pracowała bez zarzutu. Rohan rozpoznał wylot wąwozu, w którym nastąpił atak, po wielkim, podobnym do zwalonej wieży kościelnej obelisku, który zamykał częściowo prześwit skalnych ścian. Na pierwszym osypisku wielkich głazów szybkość nieznacznie się zmniejszyła. Stojący u ekranów słyszeli nawet ciurkanie strumyka ukrytego pod zwałami kamieni – tak bezszelestnie pracował atomowy napęd „Cyklopa”.

Łącznościowcy utrzymywali wizję i fonię do drugiej czterdzieści, kiedy po przebyciu płaskiej i bardziej dostępnej części wąwozu „Cyklop” znalazł się w labiryncie rdzewiejących gąszczy. Dzięki wysiłkom radiotechników udało się potem przekazać w obie strony jeszcze cztery meldunki, ale piąty przybył już tak zniekształcony, że tylko można się było domyślić jego treści: mózg elektronowy „Cyklopa” donosił o pomyślnym posuwaniu się naprzód.

Zgodnie z ustalonym planem Horpach wysłał wtedy z „Niezwyciężonego” sondę latającą, zaopatrzoną w przekaźnik telewizyjny. Sonda, wznosząc się stromo w niebo, znikła w ciągu sekund. Do centrali jęły za to napływać jej sygnały – zarazem ukazał się, widziany z wysokości mili, malowniczy krajobraz, pełen poszarpanych skał pokrytych połaciami rdzawych i czarnych gąszczy. Po minucie bez trudu zauważyli w dole „Cyklopa”, który sunął dnem wielkiego wąwozu, błyszcząc jak stalowa pięść. Horpach, Rohan i kierownicy grup specjalistycznych stali u ekranów w sterowni. Odbiór był dobry, przewidywali jednak możliwość jego pogorszenia się lub przerwania, dlatego gotowe do startu czekały inne sondy, które miały im służyć za przekaźniki. GI sądził,

że w razie ataku łączność z „Cyklopem" ustanie na pewno, ale przynajmniej będzie można obserwować jego posunięcia.

Elektryczne oczy „Cyklopa" nie mogły tego zauważyć, ale stojący u ekranów, dzięki rozległości pola widzenia, jakie roztaczało się przed nimi dzięki wysokiemu szybowaniu telesondy, dostrzegali, że już tylko kilkaset metrów dzieli maszynę od porzuconych w bramie skalnej transporterów, które zagradzały dalszą drogę. „Cyklop" miał po wywiązaniu się ze swych zadań, w drodze powrotnej, wziąć także dwie sczepione ze sobą wskutek zderzenia gąsienicówki na hol.

Puste transportery wyglądały z wysoka jak zielonkawe pudełeczka; przy jednym widniała częściowo zwęglona figurka, trup człowieka, którego poraził miotaczem Rohan.

Tuż przed zakrętem, za którym sterczały iglice skalnej bramy, „Cyklop" zatrzymał się i zbliżył ku sięgającej niemal dna wąwozu grzywie metalicznych zarośli. Z napiętą uwagą śledzili jego poruszenia. Musiał otworzyć z przodu pole siłowe, aby przez wąską jego przerwę wprowadzić inhaustor, który na kształt wydłużonej lufy armatniej, z zębatą garścią u końca, wysunąwszy się ze swej tulei, objął kępę krzaków i pozornie bez wysiłku wyrwał ją ze skalnego podłoża, po czym cofnął się i spełzł tyłem na dno wąwozu.

Cała operacja odbyła się gładko i sprawnie. Dzięki szybującej nad wąwozem telesondzie nawiązano kontakt radiowy z mózgiem „Cyklopa", który powiadomił ich, że „próbka" rojąca się od czarnych „owadów" została zamknięta w zbiorniku.

„Cyklop" dotarł na odległość stu metrów od miejsca katastrofy. Stał tam oparty pancernym zadem o skałę tylny energobot grupy Rohana, w samym przejściu skalnym tkwiły sczepione ze sobą transportery, a dalej przed nimi znajdował się drugi energobot.

Najdelikatniejsze drżenie powietrza świadczyło o tym, że wciąż jeszcze wytwarza pole ochronne, tak jak je pozostawił Rohan po klęsce swego oddziału. „Cyklop" najpierw wyłączył zdalnie Diraki tego energobota, a potem, zwiększywszy moc odrzutu i uniósłszy się w powietrze, przepłynął zręcznie ponad grzbietami pochylonych transporterów i osiadł z powrotem na głazach już powyżej przejścia. W tym właśnie momencie ktoś z patrzących wydał ostrzegawczy okrzyk. Rozległ się on w sterowni „Niezwyciężonego", oddalonej o 60 kilometrów od wąwozu, kiedy tam zadymiła czarna sierść stoków i obruszyła się falami na ziemski pojazd z takim impetem, że w pierwszej chwili znikł zupełnie, zakryty jakby ciśniętym z wierzchu płaszczem smołowatego dymu. Natychmiast jednak całą grubość atakującej chmury przeszył krzaczasty błysk. „Cyklop" nie użył swojej strasznej broni: to tylko wytworzone przez chmurę pola energetyczne zderzyły się z jego siłową osłoną. Teraz jak gdyby zmaterializowała się nagle, oblepiona grubą warstwą mrowiącej się czerni; to puchła niby olbrzymi bąbel lawy, to kurczyła się, i ta osobliwa gra trwała dobrą chwilę. Patrzący odnieśli wrażenie, jakby skryta przed ich wzrokiem maszyna usiłowała rozepchnąć miriady napastników, których było wciąż więcej i więcej, bo coraz nowe chmury lawinami staczały się na dno wąwozu. Już nie było widać lśnienia siłowej sfery, a tylko w głuchej ciszy trwało niesamowite zmaganie dwóch martwych, ale potężnych sił. Nareszcie ktoś ze stojących u ekranu westchnął: drgający czarny pęcherz znikł pod ciemnym lejem; chmura zmieniła się w rodzaj olbrzymiego wiru, który wzniósł się ponad szczyty najwyższych skał i dołem uczepiona niewidzialnego przeciwnika – górą obracała się w szalonych obrotach kilometrowym Malströmem, opalizując błękitnawo. Nikt się nie odezwał, wszyscy

zrozumieli, że chmura usiłuje w ten sposób zgnieść energetyczny pęcherz, w którym, niby pestka w łupinie, tkwiła maszyna.

Rohan zauważył kątem oka, jak astrogator otwierał już usta, aby spytać stojącego przy nim Głównego Inżyniera, czy pole wytrzyma – ale nie odezwał się. Nie zdążył.

Czarny wir, ściany wąwozu, zarośla, wszystko to znikło w ułamku sekundy. Widok był taki, jakby na dnie rozpadliny skalnej otwarł się ziejący ogniem wulkan. Słup dymu i kipiącej lawy, skalnych okruchów, nareszcie – wielki, welonami pary powłóczący obłok wzbijający się coraz wyżej, aż para, pochodząca zapewne z wody wrzącego potoku, dotarła na półtorakilometrową wysokość, gdzie szybował przekaźnik telewizyjny. „Cyklop" uruchomił miotacz antymaterii.

Nikt ze stojących w sterowni nie poruszył się nawet ani nie odezwał, ale też nikt nie mógł powściągnąć uczucia mściwej satysfakcji: to, że było bezrozumne, nie zmniejszało jego intensywności. Można było sądzić, że chmura znalazła wreszcie godnego przeciwnika. Wszelka łączność z „Cyklopem" urwała się w chwili ataku i odtąd ludzie widzieli tylko to, co przez siedemdziesiąt kilometrów dygocącej atmosfery przekazywały ultrakrótkie fale sondy latającej. O bitwie, jaka rozgorzała w zamkniętym wąwozie, dowiedzieli się także ludzie poza sterownią. Ta część załogi, która zajęta była rozbieraniem aluminiowego baraku, rzuciła pracę. Północno-wschodni skraj horyzontu zajaśniał, jakby miało tam wzejść drugie słońce, silniejsze od stojącego u szczytu nieba, po czym blask ów stłumiła kolumna dymu, wzbierającego na kształt ciężkiego grzyba.

Technicy czuwający nad działaniem telesondy musieli wycofać ją z ogniska walki i wznieść na cztery kilometry. Dopiero wówczas wyszła ze strefy gwałtownych prądów powietrznych wywołanych

ciągłą eksplozją. Nie było widać skał zamykających wąwóz, kosmatych zboczy ani nawet czarnej chmury, która z nich wypadła. Ekrany wypełniały kipiące połacie ognia i dymu, kreślone parabolami płonących szczątków; akustyczne czujniki sondy przekazywały nieustający, raz słabszy, raz mocniejszy grzmot, jakby znaczną część kontynentu ogarnęło trzęsienie ziemi.

To, że niesamowita bitwa się nie kończy, było zdumiewające. Po kilkudziesięciu sekundach dno wąwozu i całe pobliże „Cyklopa" musiały osiągnąć temperaturę żarzenia, skały osiadały, waliły się, obracały w lawę i naprawdę już widać było jej szkarłatnie świecący potok, jak zaczynał żłobić drogę ku wyjściu z wąwozu, o kilka kilometrów od ośrodka walki. Chwilę Horpach zastanawiał się nad tym, czy aby nie zacięły się wyłączniki elektronowe miotaczy, bo wydawało się niemożliwe, by chmura kontynuowała jeszcze atak na tak unicestwiającego ją przeciwnika, ale to, co ukazało się na ekranie, kiedy na nowy rozkaz sonda uniosła się jeszcze wyżej, sięgając granic troposfery, dowodziło, że się mylił.

Teraz pole widzenia obejmowało już około 40 kilometrów kwadratowych. Na tym porytym wąwozami terenie wszczął się zadziwiający ruch. W pozornie zwolnionym tempie, co sprawiała jedynie odległość obserwacyjnego punktu, z pokrytych ciemnymi zaciekami skalnych stoków, z zapadlisk i jaskiń wypływały nowe i nowe kłęby czerni, wzbijały się w górę, łączyły i koncentrując się w locie, zmierzały ku ognisku walki. Przez jakieś minuty mogło się wydawać, że ciskane bez ustanku w jej centrum ciemne lawiny przytłoczą ogień atomowy, że zdławią go i stłumią samą masą, lecz Horpach znał energetyczne rezerwy potwora zbudowanego rękami ludzi.

Jeden ogłuszający, ani na chwilę niemilknący już grom idący z głośników wypełnił sterownię; zarazem trzykilometrowej

wysokości płomienie na wylot przestrzeliły cielsko atakującej chmury i jęły się z wolna obracać, tworząc coś na kształt ognistego młyna; powietrze całymi taflami dygotało i gięło się od żaru, którego ośrodek począł się równocześnie przesuwać.

„Cyklop" z niewiadomych przyczyn ruszył tyłem i ani na moment nie zaprzestając walki, wycofywał się z wolna ku wylotowi wąwozu. Być może jego elektronowy mózg liczył się z możliwością podcięcia atomowymi eksplozjami skalnych stoków, które obruszyłyby się na maszynę, a choćby wyszła obronną ręką i z takiej opresji, mogłoby jej to jednak utrudnić swobodę manewru. Dosyć, że walczący „Cyklop" usiłował wydostać się na szerszą przestrzeń i nie widać już było w kipiących odmętach, co jest ogniem jego miotaczy, co dymem pożaru, co szczątkami chmury, a co miazgą walących się skalnych iglic.

Zdawało się, że rozmiary kataklizmu osiągnęły już kulminację. W następnej chwili stało się jednak coś niewiarygodnego. Obraz zapłonął, rozjarzył się do straszliwej, kłującej wzrok białości, pokrył się ospą miliardowych wybuchów i w nowym przypływie antymaterii unicestwione zostało całe przyziemie „Cyklopa" – powietrze, szczątki, para, gazy i dymy – wszystko to obrócone w najtwardsze promieniowanie, rozszczepiwszy na dwoje wąwóz, zamknęło na przestrzeni kilometra chmurę w objęciach anihilacji i wyleciało w powietrze, jak wystrzelone katastrofą samego wnętrza planety.

„Niezwyciężony", którego od epicentrum tego potwornego uderzenia dzieliło 70 kilometrów, zakołysał się, sejsmiczne fale przeszły przez pustynię, transportery i energoboty ekspedycji stojące pod pochylnią przesunęły się, a po kilku minutach nadleciał od gór ryczący twardy wicher, osmalił momentalnym żarem twarze

ludzi szukających schronienia za maszynami, i podniósłszy ścianę wirujących piasków, pognał dalej, w wielką pustynię.

Jakiś ułamek musiał trafić w sondę telewizyjną, mimo że znajdowała się wówczas trzynaście kilometrów od centrum kataklizmu. Łączność nie urwała się, lecz pogorszył się znacznie odbierany obraz, znaczony gęsto zakłóceniami. Minęła minuta i gdy dymy spłynęły nieco na boki, Rohan, wytężając wzrok, zobaczył następny etap walki.

Nie zakończyła się, jak gotów był sądzić przed chwilą. Gdyby atakującymi były żywe istoty, masakra, jaka je spotkała, zmusiłaby chyba następne szeregi do odwrotu, a przynajmniej do zatrzymania się u wrót wznieconego piekła, lecz martwe walczyło z martwym, atomowy ogień nie wygasł, zmienił tylko kształt i kierunek głównego uderzenia – i wtedy Rohan po raz pierwszy zrozumiał, czy raczej domyślił się bez słów, jak musiały wyglądać te niegdyś toczące się na pustynnej powierzchni Regis III zmagania, w których jedne roboty miażdżyły i rozbijały inne, jakimi formami selekcji posługiwała się martwa ewolucja i co oznaczały słowa Laudy, że pseudoowady zwyciężyły jako najlepiej przystosowane. Zarazem przemknęło mu przez myśl, że coś takiego musiało się tutaj już kiedyś dziać, że martwa, niezniszczalna w kryształkach, energią słońca utrwalona pamięć bilionowej chmury musiała zawierać wiedzę o podobnych starciach, że właśnie z podobnymi samotnikami-pojedynkami, ciężko opancerzonymi olbrzymami, z atomowymi mamutami rodu robotów musiały się przed setkami wieków uporać te martwe kruszyny, które pozornie były niczym wobec płomieni wszystko niszczących, skały na wylot przepalających wyładowań. To, co umożliwiło im przetrwanie i co spowodowało, że blachy tych poczwar ogromnych zostały rozprute jak rdzawe wiechcie, porozwłóczone po wielkiej pustyni,

z zasypanymi piaskiem szkieletami elektronowych, ongiś precyzyjnych mechanizmów – że to jest jakaś niewiarygodna, nie do nazwania odwaga, jeśli można użyć takiego słowa wobec kryształków tytanicznej chmury. Ale jakie miał na to inne słowo...? I mimo woli nie mógł się oprzeć podziwowi na widok jej dalszego działania, w obliczu dotychczasowej hekatomby...

Bo chmura kontynuowała natarcie. Teraz ponad jej powierzchnią, na całym, z wysoka widocznym obszarze, sterczały ledwo pojedyncze, najwyższe szczyty. Wszystko inne, cała kraina wąwozów znikła pod zalewem czarnych fal pędzących koncentrycznie ze wszystkich stron widnokręgu, aby runąć w głąb ogniowego leja, którego centrum stanowił niewidzialny poza tarczą dygocącego żaru „Cyklop". Ten opłacany pozornie bezsensownymi, olbrzymimi stratami napór nie był jednak pozbawiony szansy.

Rohan i wszyscy ludzie stojący teraz już bezsilnie przed widowiskiem, które ukazywał im ekran sterowni, zdawali sobie z tego sprawę. Zapasy energetyczne „Cyklopa" były praktycznie niewyczerpalne, ale w miarę jak trwał ciągły ogień anihilacji, mimo potężnych zabezpieczeń, mimo antyradiacyjnych luster odbijających, drobna cząstka gwiazdowych temperatur udzielała się jednak miotaczom, powracała do swego źródła i wewnątrz maszyny musiało się stawać coraz goręcej. Dlatego atak kontynuowany był z taką zaciekłością, dlatego był przypuszczany zewsząd naraz, im bliżej pancernych powłok następowało kolejne starcie antymaterii z gradem lecących w zgubę kryształków, tym silniej zagrzewały się wszystkie aparatury. Żaden człowiek dawno by już nie wytrzymał wewnątrz „Cyklopa", być może jego ceramitowa zbroja świeciła już wiśniowo – ale widzieli tylko, pod kopułą dymów, błękitny bąbel pulsującego ognia, który wolno, krok za krokiem spełzał do wyjścia wąwozu, tak że miejsce pierwszego ataku chmury wyłoniło się

w odległości trzech kilometrów na północy, ukazując swą przerażającą, spieczoną, warstwami żużla i lawy pokrytą powierzchnię, ze zwisającymi z pokruszonych skał resztkami spopielonych gąszczy i uwięzłych w nich postapianych w metaliczne grudy trafionych termicznym udarem kryształków.

Horpach kazał wyłączyć głośniki, wypełniające dotąd sterownię ogłuszającym gromem, i spytał Jazona, co się stanie, kiedy temperatura wewnątrz „Cyklopa" przekroczy granicę wytrzymałości elektromózgu.

Uczony nie wahał się ani chwili.

– Miotacz zostanie wyłączony.

– A pole siłowe?

– Pole nie.

Ogniowa bitwa przeniosła się już na równinę przed wylot wąwozu. Atramentowy ocean wrzał, wzdymał się, wirował i piekielnymi skokami wpadał w ognisty ziew.

– To już chyba zaraz... – powiedział Kronotos w ciszy oniemiałego, burzliwie skotłowanego obrazu na ekranach. Minęła jeszcze jedna minuta. Nagle blask ognistego leja gwałtownie osłabł. Chmura zakryła go.

– Sześćdziesiąt kilometrów od nas – odpowiedział technik łączności na pytanie Horpacha. Astrogator zarządził alarm. Wszyscy ludzie wezwani zostali na stanowiska. „Niezwyciężony" wciągnął pochylnię, dźwig osobowy i zamknął klapy. W ekranie pojawił się nowy błysk. Ogniowy lej powrócił. Tym razem chmura nie atakowała go; ledwo jej strzępy, chwycone ogniem, zajaśniały, cała jej reszta poczęła wycofywać się w kierunku krainy wąwozów, wnikając w ich pełną cienia gmatwaninę, i oczom patrzących ukazał się „Cyklop", pozornie cały. Toczył się wciąż tyłem, bardzo powoli, rażąc dalej ciągłym ogniem całe otoczenie – głazy, piasek i wydmy.

– Dlaczego nie wyłączy miotacza!? – zawołał ktoś. Jak gdyby usłyszawszy te słowa, maszyna zgasiła płomień ciskanych wyładowań, zawróciła i z rosnącą chyżością potoczyła się w pustynię. Latająca sonda towarzyszyła jej na wysokości. W pewnej chwili zobaczyli coś jakby nitkę ognia lecącą z niewiarygodną szybkością w ich twarze – i zanim zrozumieli, że miotacz „Cyklopa" strzelił w sondę, a to, co widzą, jest smugą cząstek powietrza anihilowanych na drodze strzału – cofnęli się odruchowo, drgnąwszy jakby w obawie, że wyładowanie wyrwie się z ekranu i wybuchnie wewnątrz sterowni. Natychmiast potem obraz znikł i ekran wypełnił się pustym światłem.

– Rozwalił sondę! – krzyknął technik przy pulpicie sterującym. – Panie astrogatorze!

Horpach kazał wystrzelić drugą sondę; „Cyklop" był już tak blisko „Niezwyciężonego", że zobaczyli go natychmiast, ledwo sonda nabrała wysokości. Nowy nitkowaty wybłysk, i ona też uległa zagładzie. Zanim obraz znikł, zdążyli w polu widzenia sondy dojrzeć własny statek; „Cyklop" był od niego nie dalej niż dziesięć kilometrów.

– Zwariował czy co – powiedział podnieconym głosem drugi technik przy aparaturze. Te słowa jakby coś odemknęły w umyśle Rohana. Spojrzał na dowódcę i zrozumiał, że ów myśli to samo co on. Miał takie wrażenie, jakby członki, głowę, całe jego ciało zalewał ołowiem bezsensowny, grząski sen. Ale rozkazy zostały wydane: dowódca kazał wystrzelić najpierw trzecią, potem czwartą sondę. „Cyklop" niszczył je kolejno, jak strzelec wyborowy zabawiający się strącaniem rzutków.

– Potrzebuję całej mocy – powiedział Horpach, nie odrywając głowy od ekranu.

Główny Inżynier, jak pianista biorący akord, uderzył obiema rękami w klawisze rozrządu.

– Moc startowa za sześć minut – powiedział.

– Potrzebuję całej mocy – powtórzył Horpach, wciąż tym samym tonem, a w sterowni zapadła taka cisza, że słychać było bzykanie przekaźników za emaliowanymi przegrodami, jakby się tam budził rój pszczół.

– Obudowa stosu jest zbyt zimna – zaczął GI, a wtedy Horpach odwrócił się do niego twarzą i po raz trzeci, tak samo nie podnosząc głosu, powiedział:

– Potrzebuję CAŁEJ mocy.

Inżynier bez słowa wyciągnął rękę ku głównemu wyłącznikowi. W głębi statku rozległo się krótkie beknięcie syren alarmowych i niby odległy werbel zawtórowały mu kroki biegnących na stanowiska bojowe. Horpach znowu patrzał na ekran. Nikt nic nie mówił, ale teraz wszyscy pojęli, że niemożliwe stało się: astrogator gotował się do walki z własnym „Cyklopem".

Wskaźniki, błyskając, ustawiały się jak żołnierze w szeregu. Indykator mocy dyspozycyjnej ukazywał w okienkach liczby pięcio-, potem sześciocyfrowe. Gdzieś iskrzył jakiś przewód – czuć było zapach ozonu. W tylnej części sterowni technicy porozumiewali się umownymi znakami, pokazując sobie na palcach, który system kontroli uruchomić.

Kolejna sonda ukazała przed zestrzeleniem podługowaty łeb „Cyklopa" przeczołgującego się przez grzędy skalne; ekran znowu opustoszał, rażąc srebrną bielą. Lada chwila maszyna miała się pojawić na wizji bezpośredniej; bosman radarzystów czekał już przy aparacie, który wysuwał zewnętrzną dziobową telekamerę ponad wierzchołek statku, dzięki czemu pole widzenia można było powiększyć. Technik łączności wystrzelił następną sondę. „Cyklop"

nie kierował się jakby prosto na „Niezwyciężonego”, który trwał, głucho zamknięty, w pełnej gotowości bojowej, pod puklerzem siłowego pola. Z jego dziobu w równych odstępach czasu tryskały telesondy. Rohan wiedział, że „Niezwyciężony” może powstrzymać ładunek antymaterii, ale energię udarową trzeba było pochłonąć, z uszczerbkiem dla rezerw energetycznych. Najrozsądniejszy wydawał mu się w tej sytuacji odwrót, to znaczy start na orbitę stacjonarną. Oczekiwał z chwili na chwilę takiego rozkazu, ale Horpach milczał, jakby licząc w niepojęty sposób na ocknięcie się elektronowego mózgu maszyny. W samej rzeczy, obserwując spod ciężkich powiek ruchy tego ciemnego kształtu, który bezszelestnie sunął wśród wydm, spytał:

– Wzywacie go?

– Tak jest. Nie ma łączności.

– Dajcie mu duże stop.

Technicy krzątali się przy pulpitach. Dwa, trzy, cztery razy zbiegały strużki świateł pod ich rękami.

– Nie odpowiada, astrogatorze.

Dlaczego on nie startuje? – nie mógł zrozumieć Rohan. – Czy nie chce się przyznać do porażki? Horpach! Co za nonsens! Poruszył się... Teraz – teraz wyda rozkaz.

Lecz astrogator cofnął się tylko o krok.

– Kronotos?

Cybernetyk się zbliżył.

– Co oni mogli mu zrobić?

Rohana od razu uderzyła ta forma: „oni”, powiedział Horpach, jakby naprawdę miał do czynienia z myślącym przeciwnikiem.

– Obwody autonomiczne są na kriotronach – powiedział Kronotos i czuło się, że to, co powie, będzie tylko przypuszczeniem. – Temperatura wzrosła, stracił nadprzewodliwość...

– Pan wie, doktorze, czy pan zgaduje? – spytał astrogator.

Była to dziwna rozmowa, bo wszyscy patrzyli przed siebie, w ekran, na którym widziany już bez pośrednictwa sondy „Cyklop" sunął ruchem płynnym, a jednak nie całkiem pewnym, bo zbaczał chwilami z kursu, jakby niezdecydowany, dokąd właściwie zmierza. Kilka razy z rzędu strzelił do niepotrzebnej już telesondy, zanim ją trafił. Widzieli, jak spada, niby jaskrawa flara.

– Jedyne, co mogę sobie wyobrazić, to rezonans – powiedział po krótkim wahaniu cybernetyk. – Jeżeli ich pole pokryło się z tendencją samowzbudną mózgu...

– A pole siłowe?

– Pole siłowe nie ekranizuje magnetycznego.

– Szkoda – zauważył astrogator.

Napięcie powoli słabło, gdyż „Cyklop" teraz już wyraźnie nie kierował się w stronę macierzystego statku. Odległość między nimi, przed minutą najmniejsza, zaczęła rosnąć. Wyrwana spod ludzkiej kontroli maszyna wyszła na przestwór północnej pustyni.

– GI zastępuje mnie – powiedział Horpach – a panów proszę na dół.

# DŁUGA NOC

Rohana zbudziło zimno. Półprzytomny, kurczył się pod kocem, wciskając twarz w pościel. Próbował okryć twarz rękami, ale mróz ogarniał go coraz większy. Wiedział, że musi się ocknąć, ale odwlekał jeszcze tę chwilę, nie zdając sobie sprawy dlaczego. Nagle usiadł na koi w zupełnym mroku. Dostał lodowatym podmuchem prosto w twarz. Zerwał się po omacku i cicho klnąc, szukał klimatyzatora. Było mu tak duszno, kiedy się kładł, że przesunął gałkę na pełne chłodzenie.

Powietrze małej kajuty ocieplało się powoli, ale on, półsiedząc pod kocem, nie mógł już zasnąć. Spojrzał na świecącą tarczę ręcznego zegarka – była trzecia czasu pokładowego. Znowu tylko trzy godziny snu, pomyślał gniewnie. Wciąż jeszcze było mu zimno. Narada trwała długo, rozeszli się koło północy. Tyle gadania na nic, pomyślał. Teraz, w tej ciemności, nie wiedzieć co dałby, aby na powrót znaleźć się w bazie, aby nie wiedzieć nic o tej przeklętej Regis III, o jej martwym i po martwemu przemyślnym koszmarze. Większość strategów radziła wejść na orbitę, tylko Główny Inżynier i Główny Fizyk od początku przychylali się do stanowiska Horpacha, że należy zostać, jak długo się da. Szansa odnalezienia czterech zaginionych Regnara wynosiła może jeden na sto tysięcy, może jeszcze mniej. Jeśli nie zginęli już przedtem, tylko znaczne oddalenie od miejsca walki mogło uratować ich przed jej atomowym piekłem. Rohan dałby wiele, by się dowiedzieć, że astrogator nie wystartował jedynie przez nich – czy nie grały w tym roli aby inne względy? Inaczej wszystko wyglądało tu,

a zupełnie inaczej przedstawiałoby się ujęte w suche słowa raportu, w spokojnym świetle bazy, gdzie trzeba byłoby powiedzieć, że straciło się połowę maszyn wypadowych, główną broń – „Cyklopa" z miotaczem antymaterii, który stanowić miał odtąd dodatkowe niebezpieczeństwo dla każdego statku lądującego na planecie, że straty w zabitych wynoszą sześciu ludzi, a nadto połowę przywiozło się hospitalizowanych, niezdolnych na lata, a może i na zawsze do lotów. A straciwszy ludzi i maszyny, i najlepszy sprzęt, uciekło się – bo czymże innym byłby teraz odwrót, jeśli nie zwykłą ucieczką – przed mikroskopijnymi kryształkami, tworem małej pustynnej planety, martwą pozostałością po cywilizacji lyrańskiej, którą ziemska prześcignęła tak dawno! Ale czy Horpach był człowiekiem, który liczyłby się z takimi względami? Być może sam nie wiedział dobrze, dlaczego nie startuje. Może liczył na coś? Ale na co?

Owszem – biologowie przedstawili szansę pokonania martwych owadów ich własną bronią. Skoro ten gatunek ewoluował, rozumowali, można by ująć w ręce dalszą jego ewolucję. Należy najpierw wprowadzić w znaczną ilość schwytanych egzemplarzy mutacje, zmiany dziedziczne określonego typu, które w trakcie rozmnażania się przejdą w następne pokolenia i unieszkodliwią całą tę krystaliczną rasę. Musiałaby to być zmiana bardzo szczególna, taka, która dałaby jakąś korzyść, a równocześnie sprawiłaby, że ten nowy gatunek, ta odmiana miałaby jakąś piętę achillesową, słaby punkt, w który by się uderzyło. Ale to właśnie była typowa gadanina teoretyków: nie mieli pojęcia o tym, jaka miałaby to być mutacja, jaka zmiana, jak ją przeprowadzić, jak schwytać wielką ilość tych przeklętych kryształków, nie wdając się w następną bitwę, w której mogli przecież ponieść klęskę gorszą od wczorajszej. A gdyby nawet wszystko się udało, jak długo przyszłoby czekać

na efekty tej dalszej ewolucji? Przecież nie dzień i nie tydzień. Więc jakże, mieli się kręcić wokół Regis jak na karuzeli przez rok, dwa, może dziesięć lat!? Wszystko to razem nie miało sensu. Rohan czuł, że przeholował z klimatyzatorem: było już znowu za gorąco. Wstał, odrzucił koc, umył się, szybko ubrał i wyszedł.

Windy nie było. Wezwał ją i czekając w półmroku rozświetlonym skaczącymi światełkami indykatora, czując w głowie cały ciężar niedospanych nocy i pełnych napięcia dni, poprzez szum krwi w skroniach wsłuchiwał się w nocną ciszę statku. Czasem zabełkotało coś w niewidzialnych przewodach, z niższych pokładów niósł się stłumiony pomruk pracujących jałowo pędni, bo byli wciąż w pełnym pogotowiu startowym. Suchy powiew o metalowym posmaku ciągnął z pionowych studni z jednej i drugiej strony platformy, na której się znajdował. Drzwi odsunęły się, wszedł do windy. Na ósmej kondygnacji wysiadł. Tu korytarz skręcał, biegnąc wzdłuż głównego pancerza, oświetlony linią niebieskich lampek. Szedł tak, nie wiedząc dokąd, odruchowo podnosił nogi we właściwych miejscach, przekraczając wysokie progi hermetycznych grodzi, aż dostrzegł cienie osób z obsługi głównego reaktora. Pomieszczenie było ciemne, jarzyło się tylko kilkadziesiąt wskaźników na tablicach. Ludzie siedzieli pod nimi na rozłożonych fotelach.

– Nie żyją – powiedział ktoś. Rohan nie poznał mówiącego. – Chcesz się założyć? W promieniu pięciu mil było tysiąc rentgenów. Już ich nie ma. Możesz być spokojny.

– To po co tutaj siedzimy? – mruknął drugi człowiek. Nie po głosie, ale po miejscu, które zajmował – przy kontroli grawimetrycznej – Rohan zorientował się, że to bosman Blank.

– Bo stary nie chce wracać.

– A ty byś wrócił?

– Co można zrobić innego?

Było tu ciepło i w powietrzu unosił się ów szczególny zapach, sztuczna woń igliwia, którą klimatyzatory usiłowały stłumić zapach wydzielany przez rozgrzewające się w czasie pracy stosy plastyków i blachy obudowy pancernej. W efekcie powstawała z tego mieszanina niepodobna do niczego poza okolicą ósmego poziomu. Rohan stał, niewidzialny dla siedzących, oparty plecami o piankową wyściółkę przegrody. Nie żeby się ukrywał: po prostu nie chciało mu się mieszać do tej rozmowy.

– On może podejść teraz... – odezwał się ktoś po krótkim milczeniu. Twarz mówiącego ukazała się na chwilę, gdy pochylił się do przodu, w połowie różowa, w połowie żółta od blasku kontrolnych światełek, którymi ściana reaktora zdawała się patrzeć na skulonych pod nią ludzi. Rohan, jak wszyscy tamci, natychmiast domyślił się, o kim mowa.

– Mamy pole i radar – odburknął niechętnie bosman.

– Dużo da ci pole, jak podejdzie na bilierg rażenia.

– Radar go nie dopuści.

– Mnie to mówisz? Przecież ja go znam jak własny nóż.

– I co z tego?

– To, że ma antyrad. Układy zakłócające...

– Ale on jest przecież rozstrojony. Elektryczny wariat...

– Ładny wariat. Byłeś w sterowni?

– Nie. Tu byłem.

– No. A ja byłem. Szkoda, że nie widziałeś, jak rozwalał nasze sondy.

– To znaczy, że jak? Że oni go przestroili? Że jest już pod ich kontrolą?

Wszyscy mówią „oni" – pomyślał Rohan. Jakby to naprawdę były żywe, rozumne istoty...

– A proton go wie. Podobno tylko się rozstroiła łączność.

– To dlaczego miałby w nas walić?

Znowu zaległa cisza.

– Nie wiadomo, gdzie on jest? – spytał ten, który nie był w sterowni.

– Nie. Ostatni meldunek był o jedenastej. Kralik mi mówił. Widzieli go, jak się kręcił po pustyni.

– Daleko?

– A co, masz pietra? Jakieś dziewięćdziesiąt mil stąd. Dla niego to niecała godzina. Albo mniej.

– Może już dosyć tego przelewania z pustego w próżne? – wtrącił się gniewnie bosman Blank, ukazując swój ostry profil na tle kolorowo mżących światełek.

Wszyscy zamilkli. Rohan powoli odwrócił się i oddalił tak samo cicho, jak przyszedł. Po drodze minął dwa laboratoria; w dużym światła były wygaszone, w małym się świeciło. Widział światło padające na korytarz przez podsufitowe iluminatory. Zajrzał do środka. U okrągłego stołu siedzieli sami cybernetycy i fizycy – Jazon, Kronotos, Sarner, Liwin, Saurahan i jeszcze ktoś, kto odwrócony do reszty plecami w cieniu skośnej przegrody programował wielki mózg elektronowy.

– ...są dwa rozwiązania eskalacyjne, jedno anihilujące, jedno z unicestwieniem, a reszta jest układowa – mówił Saurahan. Rohan nie przekroczył progu. Znów stał i podsłuchiwał.

– Eskalacyjne pierwsze polega na uruchomieniu procesu lawinowego. Potrzebny jest miotacz materii, który wejdzie do wąwozu i zostanie tam.

– Jeden tam już był... – powiedział ktoś.

– Jeżeli nie będzie miał elektromózgu, może działać nawet wtedy, kiedy temperatura przekroczy milion stopni. Potrzebny jest miotacz

plazmowy; plazma nie boi się skali gwiazdowej. Chmura będzie postępowała jak przedtem – będzie usiłowała zdusić go, wejść w rezonans z obwodami sterującymi, ale nie będzie żadnych obwodów, nic oprócz reakcji podjądrowej. Im więcej materii wejdzie w reakcję, tym stanie się gwałtowniejsza. W ten sposób można ściągnąć w jedno miejsce i anihilować całą nekrosferę planety...

Nekrosfera... – pomyślał Rohan – aha, bo te kryształki są martwe: nie ma jak uczeni. Zawsze wymyślą jakąś ładną, nową nazwę...

– Najbardziej podoba mi się wariant z samounicestwieniem – powiedział Jazon. – Ale jak to sobie wyobrażacie?

– No, polega na tym, aby najpierw doprowadzić do oddzielnych konsolidacji dwu wielkich „chmuromózgów", a potem zderzyć je z sobą – postępowanie zmierza do tego, żeby każda chmura uznała drugą za konkurenta w walce o byt...

– Rozumiem, ale jak chcecie to zrobić?

– Niełatwa rzecz, ale możliwa, jeśli chmura jest tylko pseudomózgiem, a więc nie posiada zdolności rozumowania...

– Ale pewniejszy jest jednak wariant układowy, z obniżeniem przeciętnej promieniowania... – powiedział Sarner. – Wystarczą cztery ładunki wodorowe po pięćdziesiąt do stu megaton na każdą półkulę – razem niecałych osiemset... Wody oceaniczne, parując, zwiększą powłokę chmur, wzrośnie albedo i osiadłe symbionty nie będą mogły im dostarczyć potrzebnego do rozmnażania minimum energii...

– Rachunek jest oparty na niepewnych danych – zaprotestował Jazon. Widząc, że rozpoczyna się spór fachowców, Rohan cofnął się od drzwi i poszedł swoją drogą.

Zamiast windą wracał do siebie krętymi, stalowymi schodkami, których normalnie nigdy nie używano. Po kolei mijał przęsła coraz

wyższych pokładów. Widział, jak w hali remontowej ekipy de Vriesa błyskały spawarkami wokół czerniejących nieruchomo wielkich arktanów. Dostrzegł z dala okrągłe iluminatory okien szpitala okrętowego, w których płonęły fiołkowe, przyćmione światła. Jakiś lekarz w białym fartuchu przeszedł bezszelestnie przez korytarz, za nim podręczny automat niósł komplet lśniących narzędzi. Minął puste i ciemne mesy, pomieszczenia klubowe, bibliotekę, nareszcie znalazł się na swoim poziomie; przeszedł obok kabiny astrogatora i zatrzymał się w pół kroku, jakby pragnąc i jego podsłuchać, ale zza gładkiej tafli drzwi nie dobiegał ani dźwięk żaden, ani promyk światła, a okrągłe iluminatory były szczelnie zamknięte dokręcanymi śrubami o miedzianych głowicach.

Dopiero w kabinie poczuł na nowo zmęczenie. Ramiona obwisły mu, usiadł ciężko na koi, strącił z nóg buty i oparł kark na skrzyżowanych przegubach rąk. Siedząc tak, patrzył w słabo oświetlony nocną lampką niski sufit z biegnącym pośrodku, dzielącym na dwoje jego niebieską powierzchnię pęknięciem lakieru.

Nie z poczucia obowiązku krążył po statku, nie z ciekawości rozmów i życia innych ludzi. Bał się po prostu takich godzin nocnych, bo wtedy nachodziły go obrazy, których nie chciał pamiętać. Ze wszystkich wspomnień najgorsze było wspomnienie o człowieku, którego zabił, strzelając z bliska, po to, aby tamten nie zabił innych. Musiał tak postąpić, ale nie było mu od tego lżej. Wiedział, że jeśli zgasi teraz lampkę, zobaczy znowu tę samą scenę, zobaczy, jak tamten ze słabym, bezmyślnym uśmiechem stąpa w ślad za chwiejącą mu się w dłoni lufą Weyra, jak przestępuje leżące na kamieniach ciało bez ręki.

Tym martwym był Jarg, który wrócił, aby tak głupio zginąć po cudownym ocaleniu, a po sekundzie tamten miał się zwalić

na trupa, z rozszarpanym i dymiącym na piersiach kombinezonem. Daremnie usiłowałby powstrzymać ów obraz, rozwijający mu się przed oczami samochcąc, czuł ostrą woń ozonu, gorący odrzut rękojeści, którą ściskał wtedy spotniałymi palcami, i słyszał skomlenia ludzi, których ciągnął później zdyszany, ziając, aby ich wiązać jak snopy, i za każdym razem bliska, znajoma, oślepła jakby nagle twarz porażonego uderzała go swym wyrazem rozpaczliwej bezradności.

Coś stuknęło; spadła książka, którą zaczął czytać jeszcze w bazie. Założył stronę białą kartą, ale nie przeczytał ani jednego wiersza, bo i kiedy. Poprawił się na koi. Wspomniał o strategach, którzy obmyślali teraz plany zniszczenia chmur, i usta wykrzywił mu wzgardliwy uśmiech. To nie ma sensu, wszystko razem... – myślał. – Chcą zniszczyć... a właściwie my też, my wszyscy chcemy to zniszczyć, ale nikogo przez to nie uratujemy. Regis jest bezludna, człowiek nie ma na niej czego szukać. Skąd więc ta zaciekłość? Przecież to jest tak, jakby tamtych zabiła burza albo trzęsienie ziemi. Niczyj świadomy zamiar, żadna wroga myśl nie stanęła na naszej drodze. Martwy proces samoorganizacji... czy warto marnować wszystkie siły i energię po to, aby go unicestwić, tylko dlatego że zrazu braliśmy go za czyhającego wroga, który najpierw z ukrycia zaatakował „Kondora", a potem nas? Ile takich niesamowitych, obcych ludzkiemu pojmowaniu zjawisk może taić w sobie Kosmos? Czy mamy wszędzie przybywać z niszczącą potęgą na pokładach statków, aby strzaskać to wszystko, co jest sprzeczne z naszym rozumieniem? Jak oni ją nazwali – nekrosfera, a więc i nekroewolucja, ewolucja martwej materii, być może Lyranie mieliby coś do powiedzenia, Regis III była w ich zasięgu, może chcieli ją kolonizować, kiedy ich astrofizycy przepowiedzieli przemianę Słońca w Nową... to była może dla nich ostatnia

nadzieja. Gdybyśmy byli w takiej sytuacji, oczywiście walczylibyśmy, rozbijalibyśmy ten czarny krystaliczny pomiot, ale tak...? W odległości parseka od bazy, z kolei oddalonej od Ziemi o tyle lat świetlnych, w imię czego my tu właściwie stoimy, tracąc ludzi, dlaczego nocami stratedzy szukają najlepszej metody anihilacyjnej, przecież o zemście nie może być nawet mowy...

Gdyby Horpach stał przed nim, powiedziałby mu w tej chwili wszystko. Jaki śmieszny i szaleńczy zarazem jest ten „podbój za największą cenę", to „heroiczne trwanie człowieka", ta chęć odpłaty za śmierć towarzyszy, którzy zginęli, bo wysłano ich na tę śmierć... Byliśmy po prostu nieostrożni, zbyt wiele zaufania pokładaliśmy w naszych miotaczach i czujnikach, popełniliśmy błędy i ponosimy konsekwencje. My, tylko my jesteśmy winni. Myślał tak z zamkniętymi w słabym świetle oczami, które paliły go, jakby pod powiekami miał pełno piasku. Człowiek, pojmował to w tej chwili bez słów, jeszcze nie wzniósł się na właściwą wysokość, jeszcze nie zasłużył na tak pięknie nazwaną postawę galaktocentryczną, która, wysławiana od dawna, nie na tym polega, aby szukać tylko podobnych sobie i takich tylko rozumieć, ale na tym, żeby nie wtrącać się do nie swoich, nie ludzkich spraw. Zagarniać pustkę, owszem, dlaczegóż by nie, ale nie atakować tego, co istnieje, co w ciągu milionoleci wytworzyło swoją własną, niepodległą nikomu ani niczemu oprócz sił promienistych i sił materialnych równowagę trwania, czynnego, aktywnego trwania, które jest ani lepsze, ani gorsze od trwania białkowych związków, zwanych zwierzętami czy ludźmi.

Takiego właśnie Rohana, pełnego owej wzniosłości galaktocentrycznego wszechrozumienia każdej istniejącej formy, jak igła przekłuwająca nerwy trafił powtarzający się, wysoki krzyk syren alarmowych.

Całe jego myślenie sprzed sekundy znikło zmiecione natrętnym dźwiękiem wypełniającym wszystkie pokłady. W następnej chwili wypadł na korytarz i biegł z innymi w ciężkim rytmie zmęczonych kroków, w ciepłych oddechach ludzkich, a zanim jeszcze dopadł windy, poczuł nie którymś zmysłem ani nawet sobą całym, ale jak gdyby korpusem statku, którego stał się molekułą, uderzenie wprawdzie z pozoru niezmiernie odległe i słabe, ale przenikające kadłub krążownika od rufowych rozpór aż po dziób, cios z niczym nieporównywalnej siły, który – i to czuł – przyjęło i elastycznie odparowało coś jeszcze większego niż „Niezwyciężony".

– To on! To on! – dały się słyszeć krzyki wśród biegnących. Znikali kolejno w windach, drzwi zasuwały się z sykiem, załogi łomotały po krętych schodkach, nie mogąc doczekać się swojej kolei, ale przez zmieszane głosy, nawoływania, gwizdki bosmanów, powtarzający się dźwięk syren alarmowych i tupot z górnego pokładu przebił się drugi, bezgłosy, lecz tym potężniejszy jakby wstrząs następnego trafienia. Światła korytarzowe mrugnęły i zajaśniały na nowo. Rohan nigdy nie przypuszczał, że winda może jechać tak długo. Stał, nie wiedząc nawet, że wciąż jeszcze naciska z całej siły guzik, a obok niego był już tylko jeden człowiek, cybernetyk Liwin. Winda stanęła i wyskakując z niej, Rohan usłyszał najcieńszy, jaki można sobie wyobrazić, świst, którego wyższe rejestry, wiedział o tym, nie były już słyszalne dla ludzkiego ucha. Było to jakby jęknięcie wszystkich naraz tytanowych wiązań krążownika. Dopadł drzwi sterowni, pojmując, że „Niezwyciężony" odpowiedział ogniem na ogień.

Ale też to był właściwie koniec potyczki. Przed ekranem, na jego pałającym tle, stał czarny i wielki astrogator; górne światła były wygaszone, może umyślnie – a poprzez pręgi biegnące z góry na dół ekranu, zamazujące całą płaszczyznę pola widzenia, majaczył dołem

uczepiony gruntu, górą gigantyczny, brzuchaty, wysunięty bulwiastymi zwałami na wszystkie horyzonty, pozornie całkiem nieruchomy, grzyb eksplozji, która rozbiła na atomy i unicestwiła „Cyklopa" na potrójnym perymetrze, a w powietrzu wisiało jeszcze straszliwe, szkliste drganie rozpływającego się wybuchu, przez które słychać było monotonny głos technika:

– Dwadzieścia i sześćset, w punkcie Zero... dziewięć i osiemset w perymetrze... jeden i cztery dwadzieścia dwa w polu...

Mamy 1420 rentgenów w polu, to znaczy, że promieniowanie przebiło barierę siłową... – zrozumiał Rohan. Nie wiedział, że coś takiego jest możliwe. Ale gdy spojrzał na tarczę głównej dyspozycji mocy, zrozumiał, jakiego ładunku użył astrogator. Energią tą można było zagotować wewnątrzkontynentalne morze średniej wielkości. Cóż – Horpach wolał nie ryzykować powtórnych strzałów. Może przesadził, ale teraz przynajmniej znowu mieli tylko jednego przeciwnika.

W ekranach tymczasem rozwijało się niezwykłe widowisko: kędzierzawy i kalafiorowaty zarazem wierzch grzyba płonął wszystkimi barwami tęczy, od najsrebrzystszej zieleni aż po głębokie morelowe i karminowe szkarłaty. Pustyni – Rohan zobaczył to dopiero teraz – w ogóle nie było widać, niby gruba mgła zawlókł ją na kilkadziesiąt metrów wzbity w górę piach, który trwał tak, falując, całkiem jakby zmieniła się w prawdziwe morze. A technik wciąż powtarzał odczyty ze skali:

– Dziewiętnaście tysięcy w punkcie Zero... osiem i sześćset w perymetrze... jeden i jeden, i zero dwa w polu...

Zwycięstwo odniesione nad „Cyklopem" przyjęto w głuchym milczeniu, bo też triumf z rozbicia własnej, i to najsilniejszej jednostki nie był szczególnie godny fetowania. Ludzie zaczęli się rozchodzić, podczas kiedy grzyb wybuchu wciąż rósł w atmosferę

i nagle zapłonął u szczytu drugą gamą barw, tym razem trafiony promieniami słońca stojącego jeszcze pod horyzontem. Przebił już najwyższe warstwy lodowych cirrusów i wysoko ponad nimi stał się liliowozłoty, bursztynowy i platynowy; blaski te szły falami z ekranów na całą sterownię, która mieniła się, jakby na emaliowanych biało pulpitach ktoś porozcierał kolory ziemskich kwiatów.

Rohan zdziwił się jeszcze raz, ujrzawszy strój Horpacha. Astrogator był w płaszczu – tym śnieżystym płaszczu galowym, który ostatni raz widział na nim podczas uroczystości pożegnalnych w bazie. Musiał porwać chyba pierwszą część odzieży, jaka mu się nawinęła. Stojąc z rękami w kieszeniach, z nastroszonymi na skroniach siwymi włosami, powiódł oczami po obecnych.

– Kolego Rohan – powiedział niespodziewanie miękkim głosem – proszę do mnie.

Rohan zbliżył się i wyprostował odruchowo, a wtedy astrogator odwrócił się i ruszył ku drzwiom. Szli tak, jeden za drugim, korytarzem, a przez wentylacyjne szyby słychać było w szumie tłoczonego powietrza głuchy i jak gdyby gniewny pomruk masy ludzkiej wypełniającej niższe kondygnacje.

# ROZMOWA

Rohan wszedł do kajuty astrogatora niezaskoczony jego wezwaniem. Bywał w niej co prawda rzadko, ale po swym samotnym powrocie do bazy w kraterze został wezwany na pokład „Niezwyciężonego" i Horpach przyjął go właśnie u siebie. Takie zaprosiny nie wróżyły na ogół nic dobrego. Co prawda Rohan był wówczas zbyt wstrząśnięty katastrofą w wąwozie, aby lękać się gniewu astrogatora. Zresztą ów nie zganił go ani słowem, wypytywał tylko bardzo szczegółowo o okoliczności, jakie towarzyszyły atakowi chmury. W rozmowie brał udział doktor Sax, który wyraził przypuszczenie, że Rohan ocalał, ponieważ ogarnął go „stupor" – osłupienie deprymujące elektryczną działalność mózgu, tak że chmura wzięła go za już unieszkodliwionego, za jednego z porażonych. Co do Jarga, neurofizjolog sądził, że kierowca uratował się przez czysty przypadek, bo uciekając, znalazł się poza obrębem ataku. Terner natomiast, który prawie do końca usiłował bronić siebie i innych, strzelając z laserów, zachował się wprawdzie zgodnie z obowiązkiem, ale paradoksalnie to właśnie go zgubiło, bo jego mózg pracował normalnie i przez to ściągnął na niego uwagę chmury. Była ona oczywiście ślepa w ludzkim rozumieniu i człowiek stanowił dla niej jedynie pewien ruchliwy obiekt manifestujący swoją obecność potencjałami elektrycznymi kory mózgowej. Rozważali nawet z Horpachem i lekarzem możliwości ochrony ludzi przez wprowadzanie ich w stan „sztucznego osłupienia" dzięki aplikowaniu odpowiedniego preparatu chemicznego, ale Sax uznał, że taki lek działałby ze zbyt wielkim

opóźnieniem, kiedy zaszłaby rzeczywista potrzeba „elektrycznego kamuflażu", a znów wysyłać do akcji ludzi w stanie stuporu nie można. Ostatecznie więc całe to badanie Rohana nie przyniosło konkretnych rezultatów. Sądził, że być może Horpach pragnie jeszcze powrócić do tej sprawy. Zatrzymał się na środku kajuty ze dwa razy większej od jego własnej. Miała w ścianie bezpośrednie połączenia ze sterownią i rząd mikrofonów instalacji wewnętrznej, ale poza tym brak w niej było jakichkolwiek oznak świadczących o tym, że tutaj latami mieszkał dowódca statku. Horpach zrzucił płaszcz. Miał pod nim spodnie i siatkową koszulę. Przez jej oka wysuwały się gęste, siwe włosy jego szerokiej piersi. Usiadł trochę bokiem do stojącego, ciężkimi rękami oparł się na stoliku, na którym nie było nic oprócz oprawnej w wytartą skórę książeczki, której Rohan nie znał. Przeniósłszy wzrok z tej nieznanej mu lektury swego dowódcy na niego samego, zobaczył go jakby po raz pierwszy. Był to człowiek śmiertelnie znużony, który nie próbował nawet ukryć przed nim drżenia ręki podniesionej do czoła. Rohan pojął wtedy jak w olśnieniu, że w ogóle nie zna Horpacha, pod którym służył już czwarty rok. Nigdy nie przyszło mu do głowy zastanowić się, czemu w kajucie astrogatora nie ma niczego osobistego, żadnej z tych rzeczy drobnych, czasem zabawnych albo naiwnych, które ludzie zabierają w przestrzeń jako pamiątki z dzieciństwa czy domu. Wydało mu się w tej chwili, że zrozumiał, dlaczego Horpach nic nie miał, czemu brak było na ścianach jakichś starych fotografii ukazujących twarze bliskich, którzy zostali na Ziemi. Nie potrzebował nic takiego, bo cały był tutaj i Ziemia nie była mu domem. Ale może żałował tego teraz, pierwszy raz w życiu? Jego ciężkie barki, ramiona i kark nie zdradzały starości. Stara była tylko skóra na rękach, gruba, niechętnie układająca się w zmarszczki na kostkach palców, która bielała, gdy je prostował

i patrzał na ich lekkie drżenie, z obojętnym na pozór i zmęczonym zainteresowaniem, jakby konstatował coś, co dotąd było mu obce. Rohan nie chciał na to patrzeć. Ale dowódca, przechyliwszy lekko głowę, spojrzał mu w oczy i z jakimś wstydliwym prawie uśmieszkiem mruknął:

– Przesoliłem, co?

Rohana oszołomiły nie tyle te słowa, ile ich ton i całe zachowanie astrogatora. Nie odezwał się. Stał wciąż, a tamten, potarłszy szeroką dłonią owłosioną pierś, dodał:

– Może to i lepiej.

I po kilku sekundach, z niebywałą u niego szczerością:

– Nie wiedziałem, co robić.

Było w tym coś wstrząsającego. Rohan wiedział jak gdyby, że astrogator już od szeregu dni jest tak samo bezradny jak oni wszyscy, ale w tym momencie uświadomił sobie, że nie była to wiedza prawdziwa, bo w gruncie rzeczy wierzył, że astrogator widzi na kilka posunięć dalej niż każdy inny człowiek, ponieważ tak musi być. I oto nagle ujawniła mu się istota dowódcy jak gdyby podwójnie, bo widział na wpół obnażony tors Horpacha, to ciało tak zmęczone, o drżących rękach, którego istnienie nie docierało dotąd do jego świadomości, a zarazem usłyszał słowa potwierdzające prawdziwość tego odkrycia.

– Siadaj, chłopaku – powiedział dowódca. Rohan usiadł. Horpach wstał, podszedł do umywalki, chlusnął wodą na twarz i kark, wycierał się krótko, gwałtownie, naciągnął kurtkę, zapiął ją i usiadł naprzeciw niego. Patrząc mu w oczy swoimi bladymi, lekko załzawionymi zawsze jak od silnego wiatru oczyma, spytał od niechcenia:

– Jak tam z tym twoim... immunitetem? Badali cię?

A więc to tylko to – przemknęło przez głowę Rohana. Odchrząknął.

– Owszem, lekarze badali mnie, ale niczego nie wykryli. Prawdopodobnie Sax miał rację z tym stuporem.

– No tak. Nic więcej nie mówili?

– Do mnie nie. Ale słyszałem... zastanawiali się nad tym, dlaczego chmura atakuje człowieka tylko raz, a potem zostawia go własnemu losowi.

– To ciekawe. I co?

– Lauda uważa, że chmura odróżnia normalnych od porażonych dzięki różnicy aktywności elektrycznej mózgu. U porażonego mózg wykazuje taką aktywność jak u noworodka. A w każdym razie bardzo podobną. Zdaje się, że właśnie w takim osłupieniu, w jakie popadłem, obraz jest dosyć podobny. Sax przypuszcza, że można by sporządzić cienką metalową siateczkę, którą ukryłoby się we włosach... wysyłałaby słabe impulsy, takie właśnie jak mózg porażonego. Coś w rodzaju „czapki niewidki". Że w ten sposób można by się maskować przed chmurą. Ale to tylko przypuszczenie. Nie wiadomo, czyby się udało. Chcieliby zrobić parę doświadczeń. Nie mają jednak dostatecznej ilości tych kryształków – a i tych, które miał zebrać „Cyklop", nie dostaliśmy...

– No dobrze – westchnął astrogator. – Nie o tym chciałem z tobą mówić... To, co sobie powiemy, zostanie między nami. Tak?

– Tak... – powiedział powoli Rohan i napięcie wróciło. Astrogator nie patrzał teraz na niego, jakby trudno mu było zacząć.

– Nie powziąłem jeszcze decyzji – powiedział nagle. – Ktoś inny na moim miejscu rzucałby monetą. Wracać – nie wracać... Ale nie chcę. Wiem, jak często nie zgadzasz się ze mną...

Rohan otworzył usta, lecz tamten uciął jego słowa w zarodku lekkim ruchem ręki.

– Nie, nie... Otóż masz szansę. Daję ci ją. Ty zadecydujesz. Zrobię, co powiesz.

Popatrzał mu w oczy i zaraz skrył je pod ciężkimi powiekami.

– Jak to... ja? – wybełkotał Rohan. Wszystkiego by się spodziewał, tylko nie tego.

– Tak, właśnie ty. Oczywiście umówiliśmy się: to pozostanie między nami. Ty poweźmiesz decyzję, a ja ją przeprowadzę. Ja będę odpowiadał za nią przed bazą. Dogodne warunki, nieprawdaż?

– Pan to mówi... serio? – spytał Rohan, tylko by zyskać na czasie, bo i tak wiedział, że wszystko jest prawdą.

– Tak. Gdybym ciebie nie znał, dałbym ci czas. Ale wiem, że chodzisz i myślisz swoje... że dawno już powziąłeś decyzję... ale może bym jej z ciebie nie wyciągnął. Dlatego powiesz mi tu, zaraz. Bo to jest rozkaz. Na tę chwilę ty zostaniesz dowódcą „Niezwyciężonego”... Nie chcesz od razu? Dobrze. Masz minutę czasu.

Horpach wstał, podszedł do umywalki, potarł dłonią policzki, aż zachrzęścił pod palcami siwy zarost, i zaczął się, jakby nigdy nic, golić maszynką elektryczną. Patrzał w lustro.

Rohan widział go i nie widział równocześnie. Pierwszym jego uczuciem był gniew na Horpacha, który tak bezwzględnie z nim postąpił, dając mu prawo, a właściwie obowiązek decyzji, wiążąc go słowem, a zarazem przyjmując z góry całą odpowiedzialność. Rohan znał go na tyle, aby wiedzieć, że wszystko to zostało przemyślane i jest już teraz nie do odwrócenia. Sekundy biegły i trzeba było mówić, za chwilę, zaraz, a on nic nie wiedział. Wszystkie argumenty, które tak chętnie cisnąłby astrogatorowi w twarz, które sobie układał jak żelazne cegły w czasie nocnych medytacji, znikły. Czterech ludzi nie żyło – prawie na pewno. Gdyby nie to „prawie”, nie trzeba by niczego rozważać, nicować, po prostu odlecieliby

ze świtem. Ale teraz owo „prawie” poczęło się w nim rozrastać. Dopóki był obok Horpacha, uważał, że powinni natychmiast startować. Czuł teraz, że taki rozkaz nie przejdzie mu przez gardło. Wiedział, że byłby to nie koniec sprawy Regis, ale jej początek. Nie miało to nic wspólnego z odpowiedzialnością wobec bazy. Tych czterech ludzi zostałoby na statku, już nigdy by nie było tak jak przedtem. Załoga chciała wracać. Ale przypomniał sobie swoją nocną wędrówkę i pojął, że po jakimś czasie zaczęliby o tym myśleć, a potem mówić. Powiedzieliby sobie: „Widzicie? Zostawił czterech ludzi i wystartował”. I poza tym nie liczyłoby się nic. Każdy człowiek musiał wiedzieć, że inni nie zostawią go – w żadnych okolicznościach. Że można przegrać wszystko, ale trzeba mieć załogę na pokładzie – żywych i umarłych. Tej zasady nie było w regulaminie. Ale gdyby tak nie postępowano, nikt nie mógłby latać.

– Słucham? – powiedział Horpach. Odłożył maszynkę i usiadł naprzeciwko niego.

Rohan oblizał wargi.

– Trzeba spróbować...

– Czego?

– Odszukania ich...

Stało się. Wiedział, że astrogator mu się nie sprzeciwi. Był teraz właściwie całkiem pewny, że Horpach właśnie na to liczył: że zrobił to umyślnie. Żeby w podjętym ryzyku nie być samotnym?

– Tamtych. Rozumiem. Dobrze.

– Ale potrzebny jest plan. Jakiś sposób, rozsądny...

– Rozsądni byliśmy dotąd – powiedział Horpach. – Rezultaty znasz.

– Czy mogę coś powiedzieć?

– Słucham.

– Byłem dziś w nocy na naradzie strategów. To znaczy słyszałem... zresztą mniejsza z tym. Opracowują rozmaite warianty anihilacji chmury... ale zadanie polega przecież nie na tym, żeby ją zniszczyć, tylko żeby odszukać tych czterech. Więc jeśli podejmie się jakąś masakrę antyprotonową, to jeżeli nawet któryś z nich jeszcze żyje, z drugiego takiego piekła nie wyjdzie cały na pewno. Nikt. To niemożliwe...

– I ja tak myślę – powoli odparł astrogator.

– Pan też!? To dobrze... a więc?

Horpach milczał.

– Czy oni... czy znaleźli jakieś inne rozwiązanie?

– Oni...? Nie.

Rohan chciał jeszcze o coś pytać, ale nie miał odwagi. Słowa zamarły mu na ustach. Horpach patrzał na niego, jakby na coś czekał. Ale Rohan nie wiedział nic – czyżby dowódca przypuszczał, że on sam, na własną rękę, potrafił wymyślić coś doskonalszego od wszystkich uczonych, od cybernetyków i strategów, razem z ich elektronowymi mózgami? To było nonsensem. A jednak patrzał na niego cierpliwie. Milczeli. Krople wody kapały miarowo z kurka, niezwykle głośno w zupełnej ciszy. I z tego milczenia pomiędzy nimi narodziło się coś, co chłodem ścięło policzki Rohana. Już cała twarz, jej skóra, od karku przez szczęki, zaczęła się kurczyć, stawała się jakby ciasna, kiedy patrzał w załzawione, niewymownie teraz stare oczy Horpacha. Już nic nie widział oprócz tych oczu. Już wiedział.

Skinął powoli głową. Jakby mówił „tak". Rozumiesz? – pytał wzrok astrogatora. Rozumiem, odpowiedział spojrzeniem Rohan. Ale w miarę jak ta świadomość stawała się w nim coraz jawniejsza, czuł, że to nie może być. Że tego nikt nie ma prawa żądać od niego, nawet on sam. Milczał więc dalej. Milczał, ale teraz udając już,

że się nie domyśla niczego, że nie wie; czepiał się tej naiwnej nadziei, że skoro nic nie zostało powiedziane, tego, co przeszło z oczu w oczy, można się wyprzeć. Można skłamać, że to niedomyślność – bo rozumiał, czuł, że Horpach nigdy sam mu tego nie powie. Ale tamten widział to, widział wszystko. Siedzieli, nie poruszając się. Wzrok Horpacha zmiękł. Już nie oczekiwanie wyrażał ani naglącą natarczywość, ale tylko współczucie. Jakby mówił: „Rozumiem. Dobrze. Niech i tak będzie". Dowódca opuścił powieki. Jeszcze chwila, a to niewypowiedziane znikłoby i obaj mogliby zachować się tak, jakby nic w ogóle nie zaszło. Ale ten odwrócony wzrok przesądził. Rohan usłyszał własny głos.

– Pójdę – powiedział.

Horpach odetchnął ciężko, ale Rohan, ogarnięty paniką, którą wzbudziło w nim wypowiedziane przez samego siebie słowo, nie zauważył tego.

– Nie – powiedział Horpach. – Tak nie pójdziesz...

Rohan milczał.

– Nie mogłem ci tego powiedzieć... – podjął astrogator. – Ani nawet szukać ochotnika. Nie mam prawa. Ale już sam wiesz teraz, że nie możemy tak odlecieć. Tylko jeden samotny człowiek może tam wejść... i wyjść. Bez hełmu, maszyn, bez broni.

Rohan zaledwie go słyszał.

– Przedstawię ci teraz mój plan. Zastanowisz się nad nim. Będziesz go mógł odrzucić, bo wszystko to wciąż jeszcze pozostaje między nami dwoma. Wyobrażam sobie to tak: Aparat tlenowy z silikonu. Żadnych metali. Poślę tam dwa łaziki, bezludne, ściągną na siebie chmurę, która je zniszczy. W tym samym czasie pojedzie trzeci łazik. Z człowiekiem. To jest właśnie największe ryzyko: bo trzeba podjechać możliwie blisko, aby nie tracić czasu na marsz przez pustynię. Zapas tlenu wystarczy na osiemnaście godzin. Mamy tu

fotogramy całego wąwozu i okolicy. Uważam, że nie należy iść drogą dotychczasowych wypraw, ale dojechać możliwie blisko do północnej krawędzi płaskowyżu i stamtąd zejść pieszo po skałach na dół. Do górnej części wąwozu. Jeśli w ogóle gdzieś, to tylko tam. Tam mogli ocaleć. Teren jest ciężki, dużo jaskiń i rozpadlin. Gdybyś znalazł wszystkich albo tylko któregoś z nich...

– Właśnie. Jak ich zabrać? – spytał Rohan, czując ukłucie przekornej satysfakcji. W tym miejscu plan rozwiewał się. Jak lekko poświęcał go Horpach...

– Będziesz miał odpowiedni środek, lekko oszałamiający. Jest coś takiego. Oczywiście potrzebny będzie tylko wtedy, jeśli odnaleziony nie zechce iść dobrowolnie. Na szczęście oni mogą w tym stanie chodzić.

Na szczęście... – pomyślał Rohan. Zaciskał pięści pod stołem, uważając, aby Horpach tego nie dostrzegł. Nie bał się wcale. Jeszcze nie. Wszystko razem było nazbyt nierzeczywiste...

– W wypadku gdyby chmura... zainteresowała się tobą, musisz się nieruchomo położyć na ziemi. Myślałem o jakimś preparacie na taki wypadek, ale działałby ze zbytnim opóźnieniem. Pozostaje tylko ta osłona głowy, ten symulator prądowy, o którym mówił Sax...

– Czy coś takiego już jest...? – spytał Rohan. Horpach zrozumiał ukryty sens tego pytania. Ale zachował spokój.

– Nie. Ale można to zrobić w ciągu godziny. Siateczka ukryta we włosach. Aparacik generujący rytmy prądowe będzie wszyty w kołnierz kombinezonu. Teraz... dam ci godzinę czasu. Dałbym ci więcej, ale z każdą następną godziną szanse uratowania ich maleją. I tak są już znikome. Kiedy poweźmiesz decyzję?

– Już ją powziąłem.

– Głupiś. Czy nie słyszysz, co do ciebie mówię? Tamto było tylko, abyś pojął, że nie wolno nam jeszcze startować...

– Przecież pan wie, że ja i tak pójdę...

– Nie pójdziesz, jeżeli ci nie pozwolę. Nie zapominaj, że wciąż jeszcze ja jestem tu dowódcą. Jest przed nami problem, wobec którego nie liczą się niczyje ambicje.

– Rozumiem – powiedział Rohan. – Pan nie chce, abym się czuł zmuszony...? Dobrze. Wobec tego... ale to, co mówimy, wciąż jest jeszcze objęte tym słowem?

– Tak.

– Wobec tego chcę wiedzieć, co pan zrobiłby na moim miejscu. Zamienimy się... odwrotnie aniżeli przed chwilą...

Horpach milczał chwilę.

– A gdybym ci powiedział, że nie poszedłbym?

– To i ja nie pójdę. Ale wiem, że pan powie prawdę...

– To nie pójdziesz? Słowo? Nie, nie... Wiem, że to niepotrzebne...

Astrogator wstał. Wstał wtedy i Rohan.

– Pan mi nie odpowiedział.

Astrogator patrzał na niego. Był wyższy, cały większy i szerszy w ramionach. Jego oczy przybrały ten sam znużony wyraz co na początku rozmowy.

– Możesz iść – powiedział. Rohan wyprostował się odruchowo i skierował do drzwi. Astrogator zrobił wtedy taki ruch, jakby go chciał zatrzymać, ująć za ramię, ale Rohan tego nie zobaczył. Wyszedł, a Horpach został nieruchomy u zamykających się drzwi i stał tak długo.

# „NIEZWYCIĘŻONY”

Pierwsze dwa łaziki stoczyły się z pochylni o świcie. Podsłoneczne zakola wydm były jeszcze czarne ciemnością nocy. Pole otwarło się, dając drogę maszynom, i zamknęło, błyskając niebieskimi światłami. Na tylnym stopniu trzeciego, tuż u rufy krążownika, w kombinezonie, bez hełmu i szkieł ochronnych, tylko z małą maską aparatu tlenowego na ustach, siedział Rohan, obejmując kolana splecionymi rękami, bo tak wygodniej było mu patrzeć na skaczącą wskazówkę sekundnika.

W lewej górnej kieszeni kombinezonu miał cztery ampułki zastrzyków, w prawej – płasko sprasowane tabletki koncentratu odżywczego, a kieszenie nakolanników wypełniały drobne instrumenty: wskaźnik promieniowania, mały czujnik magnetyczny, kompas i mikrofotogrametryczna mapa terenu, nie większa od kartki pocztowej, którą trzeba było oglądać przez silną lupę. Opasany był poszóstnym zwojem najcieńszej liny plastykowej, a całą jego odzież praktycznie pozbawiono wszelkich metalowych części. Siatki drucików, skrytej we włosach, nie czuł wcale – chyba że umyślnie poruszał skórą głowy; nie czuł też obecności krążącego w niej prądu, ale mógł skontrolować działanie mikronadajnika wszytego w kołnierz, przyłożywszy do tego miejsca palec: ów twardy cylinderek tykał bowiem miarowo i można było ten puls wyczuć dotykiem.

Na wschodzie stała czerwona smuga i wiatr budził się już, podcinając piaszczyste szczyty wydm. Stanowiąca kres horyzontu niska piła krateru zdawała się z wolna topnieć w przyborze

czerwieni. Rohan podniósł głowę: miał być pozbawiony dwustronnej łączności ze statkiem, bo działający nadajnik natychmiast zdradziłby jego obecność. Ale w uchu jego tkwił nie większy od pestki aparacik odbiorczy: „Niezwyciężony" mógł – przynajmniej od czasu do czasu – posyłać mu swoje sygnały. Teraz właśnie aparacik przemówił, i było to prawie, jakby odezwał się głos wewnątrz jego głowy.

– Uwaga, Rohan. Tu Horpach... czujniki dziobowe notują wzrost aktywności magnetycznej. Prawdopodobnie łaziki są już pod chmurą... wysyłam sondę...

Rohan patrzał w przejaśniające się niebo. Nie dostrzegł samego startu rakiety, która wzbiła się nagle pionowo jak raca, ciągnąc za sobą nikłą smugę białego dymu, okurzając nim wierzchołek statku, i poszybowała z zawrotną chyżością na północo-wschód. Mijały minuty. Już pół obrzękłej tarczy słońca jakby okrakiem siedziało na obwałowaniu krateru.

– Niewielka chmura atakuje pierwszy łazik... – rozległ się głos w jego głowie. – Drugi na razie idzie bez przeszkód... pierwszy zbliża się do bramy skalnej... Uwaga! Straciliśmy w tej chwili kontrolę nad pierwszym. Optyczną także – chmura pokryła go. Drugi dochodzi do zakrętu przy siódmym zwężeniu... nie jest atakowany... zaczęło się! Straciliśmy kontrolę nad drugim. Już go pokryły... Rohan! Uwaga! Twój łazik ruszy za piętnaście sekund – odtąd będziesz działał według własnego uznania. Włączam automat startowy – pomyślności...

Głos Horpacha oddalił się nagle. Zastąpił go mechaniczny, odliczający sekundy tykot. Rohan usadowił się lepiej, zaparł nogami, przełożył ramię przez elektryczną pętlę przymocowaną do wierzchniej poręczy łazika. Lekka maszyna drgnęła nagle i płynnie ruszyła naprzód. Horpach trzymał wszystkich ludzi

wewnątrz statku. Rohan był mu za to prawie wdzięczny, bo nie zniósłby żadnych pożegnań. Tak że przytroczony na skaczącym stopniu łazika, widział tylko olbrzymią, powoli zmniejszającą się kolumnę „Niezwyciężonego”; niebieski blask, który przez chwilę zatrzepotał na zboczach wydm, powiedział mu, że maszyna przebywa właśnie granicę pola siłowego. Ale zaraz potem szybkość wzrosła i ruda chmura wyrzucana baloniastymi oponami zasłoniła mu widok; ledwo dostrzegał ponad nią prześwitujące niebo. Nie było to zbyt szczęśliwe – mógł zostać zaatakowany, ani wiedząc kiedy. Zamiast więc siedzieć, jak zaplanowano, odwrócił się, uniósł i trzymając się poręczy, stał teraz na stopniu. Mógł dzięki temu patrzeć ponad spłaszczonym grzbietem bezludnej maszyny w biegnącą naprzeciw pustynię. Łazik szedł z maksymalną szybkością, skacząc i podrywając się chwilami, tak że Rohan musiał przyciskać się z całej siły do jego powierzchni. Silnika nie było prawie słychać, tylko wiatr świszczał mu wokół głowy, ziarenka piasku raziły w oczy, a z obu stron maszyny zrywały się fontanny piasku i tworzyły nieprzeniknioną ścianę; ani wiedział, kiedy znalazł się poza koliskiem krateru. Widocznie łazik przemknął po jednym z piaszczystych przesmyków jego północnego obwałowania.

Rohan usłyszał nagle zbliżający się śpiewny sygnał; był to pracujący nadajnik telesondy wystrzelonej gdzieś na taką wysokość, że nie mógł jej dostrzec w niebie, choć wytężał wzrok. Musiała wzbić się wysoko, aby nie ściągnąć nań uwagi chmury, zarazem jednak obecność jej była niezbędna – inaczej statek nie mógłby kierować ruchami łazika. Na tylną ściankę maszyny wyprowadzono umyślnie licznik kilometrów, aby ułatwić mu orientację. Przebył ich dotąd dziewiętnaście i lada chwila oczekiwał pojawienia się pierwszych skał. Ale niska tarcza słoneczna, którą

miał dotąd z prawej strony, ledwo czerwieniejąca spoza wzbijanego kurzu, przesunęła się nieco ku tyłowi. Łazik skręcał zatem w lewo – Rohan próżno starał się ocenić, czy zasięg tego manewru zgodny jest z nakreślonym uprzednio kursem, czy też jest większy: oznaczałoby to, że w sterowni dostrzegli jakiś nieprzewidziany manewr chmury i pragną go od niej oddalić. Słońce znikło po chwili za pierwszym, połogim grzbietem skalnym. Potem znów się zjawiło. W skośnym oświetleniu krajobraz wyglądał dziko i nie był podobny do tego, który Rohan pamiętał z ostatniej swej wyprawy. Ale wtedy obserwował go z większej wysokości, bo z wieżyczki transportera. Łazikiem zaczęło nagle rzucać tak przeraźliwie, że kilka razy boleśnie uderzył piersią o pancerz. Musiał teraz wytężyć wszystkie siły, aby impet tych wściekłych podrzutów, których nie amortyzowały skutecznie nawet baloniaste opony, nie strącił go z wąskiego stopnia. Koła tańczyły na głazach, wyrzucały wysoko w powietrze żwir lecący z hałasem w dół zbocza, chwilami buksowały wściekle, Rohan miał wrażenie, że ta piekielna jazda musi być dostrzegalna w promieniu kilometrów, poważnie też zaczął się zastanawiać nad tym, czy nie wstrzymać maszyny – tuż poniżej barku miał wystającą rękojeść wyprowadzonego na zewnątrz hamulca – i nie zeskoczyć. Ale wówczas oczekiwałaby go wielokilometrowa piesza wędrówka, jej trwanie zmniejszyłoby i tak nikłe szanse rychłego dotarcia do celu. Zaciskając zęby, z rękami kurczowo wpitymi w uchwyty, które wcale nie wydawały mu się już tak pewne jak przedtem, patrzał więc tylko zmrużonymi oczami nad płaskim łbem maszyny w górę stoku. Śpiew radiosondy cichł chwilami, ale musiała wciąż unosić się nad nim, bo łazik manewrował zręcznie, wymijając spiętrzenia skalnych rumowisk, chwilami przechylał się, zwalniał i znowu rwał całą mocą pod górę.

Licznik wskazywał 27 przebytych kilometrów. Wykreślona droga liczyła ich na mapie 60, ale na pewno musiała być dłuższa, choćby przez wzgląd na nieustanne zygzaki i skręty. Teraz ani śladu już nie było piasków; słońce, ogromne, prawie niegrzejące, wisiało ciężko i jakby groźnie, tarczą dotykając wciąż skalnych pił, maszyna, targana febrycznymi rzutami, darła się zaciekle przez piargi, chwilami osuwając się razem z ich zgrzytającą ławą, opony wydawały świszczące wycie, trąc bezsilnie o kamień na coraz bardziej rosnącej pochyłości. 29 kilometrów – oprócz śpiewnego sygnału sondy nie słyszał nic. „Niezwyciężony" milczał; dlaczego? Wydawało mu się, że czarniawymi liniami obrysowany, niewyraźny obryw, który widzi popod czerwonym słońcem, jest górną krawędzią wąwozu, do którego ma zejść, ale nie tutaj, dopiero znacznie wyżej, od północy. 30kilometrów. W każdym razie nie widział ani śladu czarnej chmury. Musiała już chyba rozprawić się z obiema tamtymi maszynami. Czy po prostu porzuciła je, zadowoliwszy się odcięciem ich od statku przez zablokowanie łączności? Łazik rzucał się cały jak zrozpaczone zwierzę; chwilami dygot silnika pracującego na maksymalnych obrotach wchodził mu w gardło. Tempo wciąż spadało, ale i tak posuwał się nad podziw dobrze; może należało użyć poduszkowca? Ale to była maszyna zbyt wielka i ciężka, poza tym nie warto o tym myśleć, skoro nic się nie da teraz odmienić...

Chciał popatrzeć na zegarek. Nie mógł tego zrobić – ani na sekundę nie dało się zbliżyć ręki do oczu. Usiłował ugiętymi kolanami tłumić przeraźliwe wstrząsy, od których latały w nim wnętrzności. Maszyna uniosła się nagle przodem i na łeb na szyję runęła zarazem w bok i w dół, hamulce wrzasnęły, ale już piarg leciał ze wszystkich stron, rozbębnił się dźwiękliwie po płytach

cienkiego pancerza, łazik kurczowo skręcił, zarzucił, chwilę szedł bokiem przez rzekę osypiska, ten ruch zamarł...

Powoli maszyna wykręciła i znów popełzła uparcie w górę stoku. Teraz widział już wąwóz. Poznawał go po czarniawych, podobnych do kosówki łatach ohydnego gąszczu pokrywającego strome skały. Od brzegów wąwozu dzieliło go bodaj pół mili. 34. kilometr...

Stok, który trzeba było jeszcze przebyć, wyglądał jak jedno morze chaotycznie nagromadzonych zwalisk. Wydawało się niemożliwe, by maszyna znalazła wśród nich drogę. Przestał już wypatrywać możliwych przejść, skoro i tak nie w jego mocy było kierowanie manewrami. Starał się raczej nie spuszczać z oczu okalających czeluść skał. W każdej chwili mogła stamtąd wypłynąć czarna chmura.

– Rohan... Rohan... – usłyszał nagle. Serce uderzyło mocniej. Poznał głos Horpacha.

– Prawdopodobnie łazik nie dowiezie cię do celu. Nie możemy stąd ocenić nachylenia stoku z dostateczną dokładnością, ale wydaje się, że masz jeszcze tylko pięć do sześciu kilometrów drogi jezdnej – kiedy łazik utknie, będziesz musiał iść dalej pieszo... Powtarzam...

Horpach mówił jeszcze raz to samo. Najwyżej 42–43 kilometry... pozostanie mi około siedemnastu – w tym terenie to co najmniej cztery godziny, jeśli nie więcej – obliczył błyskawicznie Rohan. Ale może się mylą, może łazik przejdzie...

Głos ucichł i znowu słychać było tylko rytmicznie powtarzający się śpiewny głos sondy. Rohan zagryzł ustnik maski, bo ocierał mu przy gwałtownych podrzutach wewnętrzną powierzchnię warg. Słońce nie dotykało już najbliższej góry, ale i nie wznosiło się. W oczach miał większe i mniejsze głazy, skalne płyty, chwilami obejmował go ich zimny cień, maszyna szła teraz dużo wolniej; podniósłszy oczy, zobaczył nikłe, pierzaste obłoki rozpływające się

w niebie. Świeciło w nim kilka gwiazd. Nagle z łazikiem stało się coś dziwnego. Tylna jego część przysiadła, przednia poszła w górę... cały chwiał się przez mgnienie, jak koń stający dęba... sekunda, a byłby chyba runął, grzebiąc pod sobą Rohana, gdyby nie jego nagły skok. Upadł na kolana i ręce, przez grube ochronne rękawice i ochraniacze goleni poczuł bolesne uderzenie, przeszorował z dwa metry po piargu, nim się wreszcie zatrzymał. Łazik wizgnął raz jeszcze kołami i zamarł.

– Uwaga... Rohan... to jest 39. kilometr... maszyna dalej nie przejdzie – musisz iść pieszo... zorientujesz się według mapy... łazik zostanie w tym miejscu – na wypadek, gdybyś nie mógł wrócić inaczej... jesteś na skrzyżowaniu koordynaty 46 i 192...

Rohan powoli uniósł się na równe nogi. Bolały go wszystkie mięśnie. Ale tylko pierwsze kroki były trudne; rozchodził się. Chciał jak najbardziej oddalić się od zastygłego między dwoma progami skalnymi łazika. Pod wielkim obeliskiem usiadł, wyjął z kieszeni mapę i próbował ją zorientować. Nie było to łatwe. Na koniec określił swoje położenie. Od górnej krawędzi wąwozu dzielił go jakiś kilometr w linii powietrznej, ale w tym miejscu nawet i marzyć nie można było o zejściu w dół; stoki pokrywał jednolitą warstwą metalowy gąszcz. Poszedł więc w górę, przez cały czas rozważając, czy ma próbować zejścia na dno wąwozu bliżej niż w upatrzonym miejscu. Do tego celu musiałby iść co najmniej cztery godziny. Nawet gdyby udało się wrócić łazikiem, trzeba było liczyć na dalszych pięć godzin drogi powrotnej, a ile czasu musiało zająć samo zejście w wąwóz, nie mówiąc już o poszukiwaniach? Raptownie cały plan wydał mu się pozbawiony krzty zdrowego sensu. Był to po prostu tyleż daremny, co heroiczny gest, którym Horpach, poświęcając go, mógł uspokoić własne sumienie. Przez jakąś chwilę opanowała go taka wściekłość – dał się przecież

podejść jak jakiś smarkacz, bo wszystko ułożył astrogator z góry – że prawie nie widział otoczenia. Powoli ochłonął. Nie ma odwrotu, powtarzał sobie, będę próbował. Jeżeli nie uda mi się zejść, jeżeli nie znajdę nikogo do trzeciej, wracam. Było piętnaście minut po siódmej. Starał się iść krokiem długim i miarowym, ale nie za szybko, gdyż zużycie tlenu zwiększało się gwałtownie przy wysiłku. Umocował sobie na przegubie prawej ręki kompas, by nie zbaczać z obranego kierunku. Kilka razy musiał jednak obchodzić rozpadliny o pionowych brzegach. Ciążenie było na Regis znacznie mniejsze od ziemskiego, to dawało przynajmniej względną swobodę ruchów nawet w terenie tak ciężkim. Słońce się podniosło. Słuch Rohana, przywykły do stałego akompaniamentu tych wszystkich dźwięków, jakimi niby barierą ochronną otaczały go w dotychczasowych wyprawach maszyny, był jakby nagi i szczególnie wyostrzony. Od czasu do czasu słyszał tylko rytmiczny, o wiele słabszy niż przedtem śpiew sondy, za to każdy podmuch wiatru rwącego się o skalne ostrza jątrzył jego uwagę, bo zdawało mu się, że słyszy w nim słaby pobrzęk, tak dobrze znany i zapamiętany. Powoli wdrożył się w ten marsz i zyskał przez to swobodę rozmyślań, automatycznie stąpając z kamienia na kamień. Miał w kieszeni krokomierz; nie chciał spojrzeć na jego tarczkę zbyt wcześnie, postanowił sobie zrobić to dopiero po godzinie. Nie wytrzymał jednak i wyjął podobny do zegarka przyrządzik przed jej upływem. Było to bolesne rozczarowanie: nie przebył ani trzech kilometrów. Musiał zyskiwać zbyt wiele na wysokości i to opóźniało pochód. A więc nie trzy ani cztery godziny, ale co najmniej jeszcze sześć... – pomyślał. Wyjął mapę i ukląkłszy, zorientował ją po raz drugi. Górne krawędzie wąwozu widniały jakieś siedemset czy osiemset metrów na wschód, cały czas poruszał się mniej więcej równolegle do jego biegu. W jednym miejscu

czarne gąszcze stoku rozdzielała nitkowata, wijąca się przerwa: prawdopodobnie łożysko wyschłego strumienia. Usiłował dojrzeć to miejsce. Klęcząc, w podmuchach wiatru świszczących ponad głową, przeżył chwilę wahania. Jakby nie wiedząc jeszcze, co zrobi, wstał, mechanicznie schował mapę do kieszeni i zaczął iść pod prostym kątem do kierunku dotychczasowej drogi, zmierzając tym samym ku obrywom wąwozu.

Zbliżał się do milczących, poszarpanych skał, jakby w każdej chwili ziemia miała się pod nim rozstąpić. Ohydny strach kurczył mu serce. Szedł jednak, wciąż tak samo wymachując rękami, które były przeraźliwie puste. Zatrzymał się raptownie i spojrzał w doliny, ku pustyni, gdzie stał „Niezwyciężony". Nie mógł go zobaczyć, statek znajdował się poza widnokręgiem. Wiedział o tym, lecz patrzał w rudawe u horyzontu niebo z wolna wypełniające się kłębiastymi obłokami. Śpiew sygnałów sondy stał się tak słaby, że nie był pewien, czy nie jest to już tylko złudzenie. Dlaczego „Niezwyciężony" milczał?

Dlatego, że nie ma ci już nic do powiedzenia – odparł sam sobie. Podobne do groteskowych, zżartych erozją posągów wierzchnie skałki były tuż. Wąwóz otwarł się przed nim jak ogromny rów pełen ciemności, promienie słońca nie sięgały jeszcze ani połowy pokrytych czernią ścian. Gdzieniegdzie przebijały się poprzez szczotkowate gęstwiny białe, jakby wapienne iglice. Ogarnął jednym spojrzeniem całą olbrzymią przestrzeń, aż do kamienistego dna oddalonego o półtora kilometra w pionie, i taki poczuł się wystawiony na ciosy, taki bezbronny, że odruchowo przykląkł, aby przywrzeć do kamieni i stać się niby jednym z nich. Było to bezsensowne, bo nie groziło mu przecież dostrzeżenie. To, czego musiał się lękać, nie miało oczu. Leżąc na słabo nagrzanej tafli kamiennej, patrzał w dół. Mapa fotogrametryczna mówiła prawdę

najzupełniej nieużyteczną, bo ukazywała teren z lotu ptaka, w przeraźliwym pionowym skrócie. I mowy nie było o tym, aby zejść wąską łysiną pomiędzy dwiema ławicami czarnych zarośli. Nie dwadzieścia pięć, ale chyba sto co najmniej metrów liny musiałby mieć, a i tak byłyby potrzebne jakieś haki, młotek, a on nie miał nic takiego, nie był przysposobiony do wspinaczki skalnej. Początkowo ów ciasny żlebik schodził dość łagodnie, dalej był podcięty, znikał z oczu pod przewieszonym garbem ściany i ukazywał się daleko w dole, już poprzez sinawą mgiełkę powietrza. Przyszła mu do głowy idiotyczna myśl, że gdyby miał spadochron...

Uporczywie przeglądał stoki po obu stronach od miejsca, w którym leżał, wciśnięty pod wielki, grzybiasty głaz. Dopiero teraz poczuł, że z wielkiej pustki, która się pod nim otwiera, płynie łagodny ciąg nagrzanego powietrza. W samej rzeczy, rysunek przeciwległych stoków drgał delikatnie. Gęstwina była akumulatorem słonecznych promieni. Odnalazł, idąc wzrokiem na południowy zachód, szczyty iglic, których osada stanowiła bramę skalną, miejsce katastrofy. Nie poznałby ich, gdyby nie to, że w przeciwieństwie do wszystkich innych skał były całkiem czarne i lśniły jak okryte grubą polewą – wierzchnie ich warstwy musiały kipieć podczas bitwy „Cyklopa" z chmurą... Ale ani transporterów, ani nawet śladów atomowej eksplozji na dnie wąwozu nie mógł dostrzec ze swego stanowiska. Leżał tak i raptem chwyciła go rozpacz: musiał zejść tam, na dół, a nie było drogi. Zamiast ulgi, że może oto wracać i powiedzieć astrogatorowi, że zrobił wszystko możliwe, przyszła determinacja.

Wstał. Jakiś ruch w głębi wąwozu chwycony kątem oka odruchowo przygiął go na powrót do kamieni, ale wyprostował się. Jeżeli będę co chwila padał plackiem, niewiele zrobię... – pomyślał. Szedł teraz granią, szukając przejścia; co kilkaset kroków wychylał

się w pustkę i widział wciąż ten sam obraz – tam, gdzie stok był łagodny, oblepiały go czarne gąszcze, gdzie zaś był od nich wolny, spadał pionowo. Raz kamień wypadł mu spod stopy i potoczył się w dół. Pociągnął za sobą inne; mała lawinka, hurkocąc, uderzyła z impetem w kosmatą ścianę jakieś sto kroków pod nim; wypełzła stamtąd smuga błyskającego pod światło dymu, rozwinęła się w powietrzu i trwała chwilę zawieszona, jakby wypatrując, a on zmartwiał cały; po dobrej minucie rozrzedziła się i bezszelestnie wsiąkła w połyskliwy gąszcz.

Dochodziła dziewiąta, kiedy wyjrzawszy zza kolejnego głazu, dostrzegł w dole, na samym dnie doliny – rozszerzała się tu znacznie – jasną, poruszającą się plamkę. Ręką, która drżała, wydobył z kieszeni małą składaną lornetę, nakierował ją...

To był człowiek. Powiększenie było zbyt małe, aby mógł zobaczyć choćby jego twarz – ale widział doskonale miarowe ruchy nóg. Szedł powoli, utykając lekko, jakby powłócząc skaleczoną stopą. Czy miał go okrzyknąć? Nie odważył się na to. Doprawdy, próbował: głos nie przeszedł mu przez gardło. Nienawidził siebie za ten przeklęty strach. Wiedział tylko, że teraz już na pewno nie odejdzie. Zapamiętał dobrze miejsca, którędy tamten szedł – zmierzał w górę coraz szerszej doliny, ku białawym stożkom osypisk – i zaczął biec w tym samym kierunku, granią, przeskakując głazy, ziejące szczeliny, aż świszczący w ustnikach oddech zaczął go dusić, aż serce rozłomotało się gwałtownie. To szaleństwo, nie mogę tak... – pomyślał bezradnie. Zwolnił, i wtedy właśnie otworzył się przed nim zapraszająco szeroki żleb. Z obu stron ujmowały go niżej czarne zarośla. Nachylenie w dole rosło... może była tam przewieszka?

Zadecydował zegarek: było niemal pół do dziesiątej. Zaczął schodzić, najpierw twarzą do otchłani, potem odwrócił się, gdy stromizna stała się zbyt ostra, schodził już, pomagając sobie rękami,

krok za krokiem, czarny gąszcz był blisko, zdawał się parzyć nieruchomym, milczącym upałem. Waliło mu w skroniach. Zatrzymał się na skalnej listwie, która szła skosem, wbił lewy but między nią a drugą listwę i spojrzał w dół. Jakieś czterdzieści metrów niżej widział szeroką półkę, od której schodziła wyraźna, naga grzęda skalna wyniesiona ponad sterczące martwe pędzle czarnych krzaków. Ale od tej zbawczej półki dzieliło go powietrze. Popatrzał w górę, zeszedł już dobre dwieście metrów, może więcej. Odgłos pracującego serca zdawał się wstrząsać powietrzem. Zamrugał kilka razy. Powoli, ślepymi ruchami, jął rozwijać linę. Nie będziesz chyba tak szalony... – powiedziało w nim coś. Posuwając się bokiem w dół, dotarł do najbliższego krzaka. Jego ostre wyrostki były pokryte nalotem rdzy kurzącej pod dotknięciem. Dotknął go, spodziewając się nie wiadomo czego. Ale nic się nie stało. Usłyszał tylko suchy, skrzypiący szelest, pociągnął mocniej, krzak siedział pewnie, owinął go liną u nasady, jeszcze raz pociągnął... w nagłym przypływie śmiałości owinął podstawę drugiego i trzeciego krzaka, zaparł się i szarpnął ze wszech sił. Trzymały mocno, wpite w rozpękły głaz. Począł obsuwać się, zrazu mógł jeszcze przerzucić część ciężaru ciała na skałę dzięki tarciu podeszew, ale wnet zachybotał i zawisnął. Przepuszczał coraz szybciej linę popod kolanem, hamując jej ucieczkę ruchami prawego ramienia, aż, patrząc uważnie w dół, wylądował na półce. Spróbował teraz uwolnić linę, ciągnąc jeden jej koniec. Krzaki nie puszczały. Pociągnął kilka razy. Zacięła się. Usiadł wtedy okrakiem na półce i zaczął ciągnąć całym sobą, aż nagle z jadowitym świstem wyleciała przez powietrze i chlasnęła go w kark. Zatrząsł się cały. Siedział potem kilka minut, bo nogi miał zbyt miękkie, by ważyć się na dalszą wędrówkę. Zobaczył za to figurkę tego, który szedł w dole. Była już trochę większa. Wydało mu się dziwne, że taka jest

jasna: a także było coś osobliwego w kształcie głowy, a raczej nakrycia głowy tego człowieka.

Myliłby się, sądząc, że najgorsze ma już poza sobą. Prawdę mówiąc, nie pomyślał tak. Miał jednak nadzieję, jak się okazało, fałszywą. Dalsza droga była o wiele łatwiejsza technicznie, ale martwe, rdzą chrzęszczące krzaki ustąpiły lśniącym tłustą jakby czernią, o drucianych pokłębieniach, obsypanych jak drobnym owocem tymi zgrubieniami, które natychmiast poznał.

Od czasu do czasu wyrajały się z nich bzykające słabo dymki, krążyły w powietrzu, zamierał wówczas – nie na długo, inaczej nigdy nie zdołałby dotrzeć do dna wąwozu. Posuwał się jakiś czas okrakiem, jak na koniu, potem grzęda stała się szersza i mniej stroma, tak że mógł już nią schodzić, nie bez trudu, nie bez pomocy rąk, ale zaledwie zdawał sobie sprawę z kolejnych postępów owego długiego zejścia, ponieważ uwagę miał całą podzieloną, zwróconą na obie strony naraz; niekiedy musiał przechodzić tak blisko rojących się krzaków, że ich pędzliste druciki szorowały o fałdy kombinezonu. Ani razu jednak przepływające górą smużki, grające w świetle iskrami, nie zbliżyły się do niego. Kiedy stanął wreszcie na osypisku, ledwo kilkaset kroków od dna bielejącego suchymi jak kości otoczakami, dochodziła dwunasta. Był już poniżej strefy czarnych krzewów, stok, z którego zeszedł, do połowy oświetlało wysokie słońce. Mógł teraz ocenić rozmiary przebytej drogi, ale nawet nie spojrzał za siebie. Pobiegł w dół, starając się przerzucać ciężar ciała z nogi na nogę, z kamienia na kamień jak najszybciej, ale i tak ogromna masa chwiejnego osypiska, chrobocząc, jęła spełzać wraz z nim, grzechotała wciąż głośniej, raptem, już zupełnie blisko wyschniętego strumienia, piarg rozjechał się pod nim i padając, że z impetu przesunęła mu się maska tlenowa, stoczył się kilkanaście metrów. Już zrywał się, aby biec, nie bacząc

na potłuczenia, bo bał się, że ten, którego widział z góry, zniknie mu z oczu – oba stoki, a zwłaszcza przeciwległy, pełne były czarnych otworów grot – gdy coś ostrzegło go, tak że zanim jeszcze zrozumiał, na powrót runął na ostrokończyste kamienie i został tak, z rozłożonymi rękami. Padł nań lekki, rzucony z wysoka cień; w narastającym huczeniu, które przybierało monotonnie, ogarniając wszystkie rejestry, od syku aż po basowe nuty, opłynął go czarny, bezkształtny kłąb. Powinien był może zamknąć oczy, ale nie zrobił tego. Ostatnią jego myślą było, czy aby ów aparacik, wszyty w kombinezon, nie ucierpiał od gwałtownego upadku. Potem pogrążył się w bezwładzie, który sam sobie chyba nakazał. I gałkami oczu nie poruszał, a jednak widział, jak mrowiąca się chmura zawisa nad nim, jak wypuszcza w dół wijącą się leniwie odnogę, zobaczył jej koniec z bliska – wyglądał jak wylot atramentowo lśniącego wiru. Poczuł skórą czaszki, policzków, całej twarzy tysiączny ciepławy dotyk powietrza, jakby rozdrobnione na milionowe cząstki tchnienie. Coś musnęło kombinezon na piersiach, otoczył go niemal zupełny mrok. Naraz ta wyginająca się wciąż jak miniaturowa trąba powietrzna odnoga weszła na powrót w chmurę. Brzęczenie stało się ostre. Mrowiło od niego w zębach, czuł je gdzieś w środku czaszki. Osłabło. Chmura szła prawie pionowo wzwyż, stawała się czarną mgłą rozpostartą od jednego do drugiego stoku, rozpadła się na pojedyncze, kręcące się współśrodkowo kłęby, wpełzła w nieruchome futro zarośli i znikła. Długą chwilę leżał jeszcze bez ruchu, jak martwy. Przeszło mu przez głowę, że to może już. Że może nie będzie wiedział ani kim jest, ani skąd się tu wziął, ani co ma zrobić, i od tej myśli zdjął go taki strach, że raptownie usiadł. Nagle zachciało mu się śmiać. Przecież jeżeli mógł tak myśleć, znaczyło to, że ocalał. Że nic mu nie zrobiła, że oszukał ją. Usiłował opanować ten łaskocący, kretyński

śmiech wzbierający w gardle, który zaczynał, zdławiony, trząść nim całym. To tylko histeria – pomyślał, podnosząc się z kolan. Był już prawie spokojny, tak mu się przynajmniej wydało. Poprawił maskę tlenową i rozejrzał się. Człowieka, którego zobaczył z góry, nie było. Ale usłyszał jego kroki. Tamten musiał minąć już to miejsce i znikł za wysuniętą do połowy dna wąwozu przewróconą skałą. Pobiegł za nim. Odgłos kroków był coraz bliższy i dziwnie głośny. Jakby tamten stąpał w żelaznych butach. Biegł, czując igły bólu przeszywające goleń od kostki po kolano. Musiałem skręcić nogę... – pomyślał, wiosłując rozpaczliwie rękami, znowu zbyt mało miał powietrza, zaczynał się niemal dusić, kiedy go zobaczył. Tamten szedł prosto przed siebie mechanicznym, wielkim krokiem, stąpając z głazu na głaz. Bliskie ściany skalne klaskającym echem powtarzały odgłos jego stąpnięć. I nagle wszystko osunęło się w Rohanie. To był robot, nie człowiek. Jeden z arktanów. Nie myślał w ogóle o ich losie, o tym, co się z nimi stało po katastrofie; znajdowały się w środkowym transporterze, kiedy zaatakowała ich chmura. Był już od niego o kilkadziesiąt kroków. Zauważył wtedy, że lewe ramię robota zwisa bezwładnie, pogruchotane, a jego niegdyś lśniący, wypukły pancerz jest porysowany i powgniatany. Rozczarowanie było wielkie, a jednak jakoś raźniej zrobiło się po chwili Rohanowi na myśl o tym, że chociaż takiego będzie miał w dalszych poszukiwaniach towarzysza. Chciał wezwać robota okrzykiem, ale coś go od tego powstrzymało, więc przyspieszył tylko kroku, minął go i stając na jego drodze, czekał, lecz dwuipółmetrowy olbrzym jakby go wcale nie widział. Miał – Rohan dostrzegł to z bliska – strzaskaną część podobnej nieco do miskowatego ucha anteny radarowej, a w miejscu, w którym znajdował się przedtem obiektyw lewego oka, ział otwór o nierównych brzegach. Szedł jednak wcale pewnie na swych ogromnych stopach, powłócząc

tylko lewą. Rohan zawołał nań, gdy dzieląca ich przestrzeń zmalała do kilku kroków, lecz maszyna parła prosto na niego, jakby ślepa, i musiał w ostatniej chwili ustąpić jej z drogi. Podbiegł po raz drugi do robota i chciał chwycić go za metalową łapę, lecz ten wyrwał mu ją ruchem obojętnym i posuwistym i kroczył dalej. Rohan zrozumiał, że i ów arktan stał się ofiarą ataku i nie ma co na niego liczyć. Ale jakoś ciężko mu było pozostawić bezradną maszynę jej własnemu losowi, poza tym ogarnęła go także ciekawość, dokąd właściwie robot zmierza, bo szedł, wybierając możliwie równą drogę, jakby miał upatrzony cel. Po krótkim namyśle, podczas którego tamten oddalił się o kilkanaście metrów, puścił się w końcu w ślad za nim. Robot doszedł wreszcie do stóp osypiska i zaczął na nie wchodzić, nie zwracając najmniejszej uwagi na strumienie gruzu lecące mu spod szerokich stóp. Wgramolił się tak może do połowy piargowego pola, wtedy runął nagle, zjechał w dół, wciąż przebierając w powietrzu nogami, co w innych okolicznościach pobudziłoby może patrzącego do śmiechu. Potem podniósł się i zaczął znowu swoją wspinaczkę. Rohan zawrócił szybko i oddalił się, lecz długo jeszcze dochodził go rumor osypiska i powtarzające się ociężałe metalowe człapanie, które ściany skalne przekazywały sobie wielokrotnym echem. Posuwał się teraz szybko, bo i droga po płaskich głazach zaścielających łożysko potoku była względnie równa i schodziła lekko w dół. Chmury nie było ani śladu, tylko czasem nikłe drganie powietrza nad stokami świadczyło o aktywności wrącej w czarnym gąszczu. Tak doszedł do najszerszej części wąwozu przechodzącego tutaj w dolinę otoczoną skalnymi pochyłościami. Jakieś dwa kilometry dalej znajdowała się skalna brama, miejsce katastrofy. Teraz dopiero poczuł, jak bardzo będzie mu brak olfaktometrycznego czujnika, który może pomógłby w szukaniu śladów ludzkich, ale był to aparat zbyt ciężki dla

piechura. Musiał więc radzić sobie bez niego. Zatrzymał się i kolejno wodził wzrokiem po skałach. O tym, aby ktoś mógł schronić się w samym metalowym gąszczu, nie było i mowy. Pozostawały tylko groty, jaskinie i kotły skalne, których ze swego stanowiska naliczył cztery; wnętrze ich zakrywały przed jego wzrokiem wysokie progi o pionowych ścianach, zwiastujących nie lada trudy wspinaczki. Dlatego najpierw postanowił po kolei zajrzeć do grot. Już przedtem, na pokładzie, rozważał z lekarzami i psychologami, gdzie należy szukać zaginionych, to znaczy, gdzie mogliby się schować. Ale w gruncie rzeczy niewiele mu ta narada dała, bo zachowanie się porażonego amnezją było nieobliczalne. To, że zaginieni oddalili się we czterech od pozostałych ludzi Regnara, wskazywało na wyróżniającą ich od reszty aktywność; w jakiejś mierze i to, że ślady tych czterech aż do poznanego miejsca nie rozeszły się, pozwalało liczyć na odnalezienie wszystkich razem. Oczywiście, jeśli w ogóle żyli i jeżeli powyżej bramy skalnej nie porozchodzili się w różne strony. Rohan przeszukał kolejno dwie małe i cztery większe groty, których wejścia były dość łatwo dostępne i wymagały tylko kilku minut bezpiecznej wspinaczki po skośnie stojących, wielkich taflach skalnych. W ostatniej z owych grot natknął się na częściowo zatopione wodą metalowe szczątki, które zrazu wziął za szkielet drugiego arktana, ale były ogromnie stare i nie przypominały żadnego z rozwiązań konstrukcyjnych, jakie znał. W płytkiej sadzawce, widocznej dzięki temu, że trochę dziennego światła odbijało się od gładkiego, jakby wypolerowanego stropu, spoczywała przedziwna, podługowata forma, nieco podobna do krzyża pięciometrowej długości; okrywające ją z zewnątrz blachy rozpadły się dawno i utworzyły na dnie zmieszany ze szlamem, rudy od rdzy ił. Rohan nie mógł sobie pozwolić na dłuższe oględziny niezwykłego znaleziska

stanowiącego być może ruinę któregoś z owych makroautomatów wyniszczonych przez zwycięską w martwej ewolucji chmurę. Uniósł tylko w oczach jego kształt, rozluźnione zarysy jakichś wiązadeł i prętów, które służyły do latania raczej aniżeli do chodzenia; ale zegarek nakazywał coraz większy pośpiech, więc nie zwlekając, wziął się do przeszukiwania następnych jaskiń. Było ich tak wiele, widocznych niekiedy z dna doliny jako pełne czerni okna w wysokich murach skalnych, a korytarze i ganki podziemne, często zatopione wodą, prowadzące nieraz do pionowych studni i syfonów z lodowato bełkocącymi strumieniami wiodły tak kręto, że ani śmiał się zapuszczać w ich głębie. Miał zresztą tylko niewielką latarkę, która dawała stosunkowo słabe światło, bezsilne zwłaszcza w rozległych grotach o wysokim sklepieniu i wielu piętrach, bo i do takich trafił kilka razy. Wreszcie, upadając wprost ze zmęczenia, usiadłszy na ogromnym, promieniami słonecznymi ogrzanym płaskim kamieniu u wylotu przeszukanej dopiero co jaskini, zaczął żuć płytki prasowanego koncentratu, popijając suche kęsy wodą z potoczka. Parę razy wydawało mu się, że słyszy szum nadciągającej chmury, ale to chyba były tylko odgłosy syzyfowych wysiłków owego arktana dobiegające z wyższego piętra doliny. Po zjedzeniu swych skąpych zapasów poczuł się o wiele raźniej. Najdziwniejsze dla niego samego było to, że właściwie coraz mniej robił sobie z groźnego sąsiedztwa – bo czarne gąszcze pięły się wszystkimi stokami, ku którym tylko zwrócił oczy.

Zeszedł z wyniosłości przed jaskinią, gdzie się był zatrzymał, i dostrzegł wtedy coś na kształt cienkiego rdzawego pasma na suchych głazach po drugiej stronie doliny. Przybliżywszy się, poznał w owych plamach ślady krwi. Były już zupełnie suche, zmieniły też barwę i gdyby nie wyjątkowa biel skały, dorównująca

barwie wapienia, na pewno by ich nie zauważył. Próbował przez chwilę zorientować się, w którym kierunku szedł krwawiący, ale nie mógł tego ustalić. Tak więc na chybił trafił poszedł w górę doliny, rozumując, że być może był to człowiek raniony podczas walki „Cyklopa" z chmurą, który oddalał się od jej centrum. Ślady krzyżowały się, w kilku miejscach znikały, aż doprowadziły go w pobliże jaskini, którą przeszukał jako jedną z pierwszych. Tym większe było jego zaskoczenie, gdy okazało się, że obok jej wylotu otwiera się pionowa, podobna do studni, wąska rozpadlina, której przedtem nie dostrzegł. Tam właśnie wiódł krwawy ślad. Rohan ukląkł i pochylił się nad półmrocznym otworem, a chociaż był przygotowany na najgorsze, przecież nie udało mu się powstrzymać zdławionego okrzyku, bo dojrzał prosto patrzącą nań pustymi jamami oczu, z wyszczerzonymi zębami głowę Bennigsena: poznał go po złotych drucikach okularów, których szkła, przez ślepą ironię przypadku, ocalały i lśniły czysto w odblasku padającym z nachylonej nad tą skalną trumną płyty wapiennej. Geolog zawisł pomiędzy głazami, dlatego jego ciało pozostało pionowe, zaklinowane barkami w naturalnym ocembrowaniu kamiennej studni. Rohan nie chciał tak zostawić tego szczątku ludzkiego, ale gdy przezwyciężając się, próbował unieść zwłoki, poczuł poprzez gruby materiał kombinezonu, jak mu się rozluźniają w uchwycie. Przyspieszony działaniem słońca, które zaglądało w to miejsce każdego dnia, rozkład uczynił już swoje. Rohan otworzył tylko zamek błyskawiczny piersiowej kieszeni kombinezonu i wyjął z niej znak rozpoznawczy uczonego; przed odejściem, wytężywszy wszystkie siły, dźwignął jedną z pobliskich płyt skalnych i przykrył nią skalny grobowiec.

To był pierwszy odnaleziony. Już oddaliwszy się z tego miejsca, Rohan pomyślał, że należało właściwie zbadać radioaktywność

zwłok, gdyż w pewnej mierze poziom jej mógł rzucić światło na losy samego Bennigsena i innych: znaczne bowiem stężenie promieniowania świadczyłoby o tym, że zmarły przebywał blisko miejsca atomowego starcia. Ale zapomniał to zrobić, a teraz nic by go nie skłoniło do ponownego odwalania grobowego kamienia. Zarazem Rohan zorientował się, jak wielką rolę gra w jego poszukiwaniach przypadek, bo przecież pobliże owego miejsca przeszukał przedtem, jak mu się zdawało, bardzo dokładnie.

Tknięty nową myślą, pospiesznie ruszył teraz śladem krwi, szukając jego początku. Prowadził niemal prostą linią w dół doliny, jakby zmierzając do atomowego pobojowiska. Ale już kilkaset kroków dalej skręcił nagle w bok. Geolog stracił ogromną ilość krwi i tym bardziej było zdumiewające, że mógł mimo to zajść tak daleko. Głazy, których od katastrofy nie tknęła ani kropla deszczu, były obficie zbroczone. Rohan wspiął się po chwiejnie leżących wielkich bryłach i znalazł się w obszernym, nieckowatym zaklęśnięciu pod nagim żebrem skalnym. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, była nadnaturalnej wielkości podeszwa metalowej stopy robota. Spoczywał bokiem, prawie przepołowiony serią wystrzeloną najwidoczniej z Weyra. Nieco dalej, oparty o głaz, wpółsiedział, złożony niemal we dwoje, człowiek w hełmie, którego wypukłość czarna była od kopciu. Był martwy. Miotacz zwisał jeszcze z jego rozluźnionej dłoni, dotykając błyszczącą lufą gruntu. Rohan nie śmiał zrazu dotknąć siedzącego, a tylko usiłował, przyklęknąwszy, zajrzeć w jego twarz, ale była tak samo zniekształcona rozkładem jak u Bennigsena. Wtem rozpoznał szeroką i płaską torbę geologiczną przewieszoną przez zmalałe jakby barki siedzącego. Był nim sam Regnar, dowódca ekspedycji zaatakowanej w kraterze. Pomiary radioaktywności wskazywały, że arktan został strzaskany wyładowaniem Weyra: indykator

rejestrował charakterystyczną obecność izotopów ziem rzadkich. Rohan chciał znowu wziąć znak rozpoznawczy geologa, ale tym razem już się na to nie zdobył. Odpiął tylko torbę, bo wtedy nie musiał dotykać jego ciała. Ale była wypełniona samymi odłamkami minerałów. Po krótkim namyśle odłamał więc jedynie nożem monogram geologa przytwierdzony do skóry, schował go i raz jeszcze patrząc z wysokości głazu na nieruchomą scenę, usiłował pojąć, co się tu właściwie stało. Wyglądało na to, że Regnar strzelał do robota, ale czy ów zaatakował jego albo Bennigsena? Czy zresztą człowiek porażony amnezją mógłby się bronić przed jakimkolwiek atakiem? Widział, że nie rozstrzygnie zagadki, a miał jeszcze w perspektywie dalsze poszukiwania. Spojrzał znowu na zegarek: dochodziła piąta. Gdyby miał liczyć tylko na własny zapas tlenu, musiałby już wracać. Przyszło mu wówczas do głowy, że może przecież wykręcić tlenowe butelki z aparatu Regnara. Zdjął więc cały aparat z pleców trupa, stwierdził, że jedna butelka jest jeszcze pełna, i pozostawiwszy własną, pustą, zabrał się do gromadzenia kamieni wokół zwłok. Zajęło mu to niemal godzinę, ale uważał, że zmarły i tak odpłacił mu sowicie, użyczając zapasów swojego tlenu. Gdy mały kopczyk był gotowy, Rohan pomyślał, że dobrze byłoby właściwie zaopatrzyć się w broń, którą stanowił na pewno jeszcze naładowany mały Weyr. Ale znowu pomysł ów był spóźniony i musiał odejść z niczym.

Dochodziła szósta: był tak zmęczony, że ledwo powłóczył nogami. Miał jeszcze cztery tabletki preparatu podniecającego, zażył jedną i po minucie wstał, czując przypływ sił. Nie miał najsłabszego pojęcia, skąd rozpocząć dalsze poszukiwania, poszedł więc po prostu przed siebie, ku skalnej bramie. Dzieliło go od niej jeszcze koło kilometra, kiedy wskaźnik ostrzegł przed rosnącym skażeniem radioaktywnym. Było na razie dość niskie, szedł więc dalej, pilnie

rozglądając się na wszystkie strony. Ponieważ wąwóz biegł kręto, tylko niektóre powierzchnie skał nosiły ślady nadtopienia, w miarę jak kroczył dalej, owej charakterystycznej, spękanej glazury było coraz więcej, nareszcie zobaczył ogromne głazy całe w zastygłych bąblach – bo ich powierzchnia gotowała się pod ciosami termicznych udarów. Właściwie nie miał tu już co robić, a jednak szedł wciąż naprzód; wskaźnik na przegubie wydawał teraz lekki tykot, coraz szybszy, wskazówka skakała po skali jak szalona, tańcząc na podziałkach. Zobaczył wreszcie z oddali resztki skalnej bramy zwalone na zaklęsły kocioł podobny do jeziorka wody, które zastygło w niesamowity sposób podczas potężnego rozbryzgu; osada skał zmieniła się w grubą skorupę lawy, a niegdyś czarne futra metalowych zarośli były spopielonymi łachmanami; w głębi majaczyły wśród murów skalnych olbrzymie wyrwy jaśniejszego koloru. Rohan pospiesznie zawrócił.

I znów przypadek przyszedł mu z pomocą, kiedy dochodził już do następnej, za pobojowiskiem, znacznie szerszej bramy skalnej: w pobliżu miejsca, które przedtem minął, doszło go lśnienie jakiegoś metalowego przedmiotu. Był to aluminiowy reduktor aparatu tlenowego; w płytkiej szczelinie między skałą i wyschłym łożyskiem potoku ciemniały plecy w osmalonym kombinezonie. Trup był bez głowy. Straszliwa siła podmuchu przeniosła go nad stertą głazów i zmiażdżyła o skałę. Opodal leżała nieuszkodzona kabura, tkwił w niej mocno wprasowany, lśniący, jakby dopiero przed chwilą oczyszczony Weyr. Rohan przywłaszczył go sobie. Chciał zidentyfikować znalezionego, ale było to niemożliwe. Ruszył dalej w górę wąwozu, a światło na jego wschodnim stoku stawało się już czerwone i niby płonąca kurtyna unosiło się coraz wyżej, w miarę jak słońce opadało za górski grzbiet. Dochodziła za kwadrans siódma. Rohan stanął przed prawdziwym dylematem.

Jak dotąd, powiodło mu się, w tym przynajmniej sensie, że wykonał swoje zadanie, ocalał i mógł wracać do bazy. Śmierć czwartego człowieka nie ulegała już w jego przeświadczeniu wątpliwości, ale w końcu było to niezmiernie prawdopodobne jeszcze na „Niezwyciężonym". Przyszedł tutaj, aby zdobyć pewność. Czy miał zatem prawo powrotu? Rezerwa tlenu, którą zawdzięczał aparatowi Regnara, starczyła na dalszych sześć godzin. Miał jednak przed sobą całą noc, podczas której nie mógł nic zrobić, jeśli nie przez wzgląd na chmurę, to choćby dlatego, że był bliski zupełnego wyczerpania. Zażył następną tabletkę podniecającą i czekając, aż przejawi swe działanie, próbował ułożyć jakiś rozsądny, w miarę przynajmniej, plan dalszej akcji.

Czarny gąszcz wysoko nad nim, u krawędzi skalnych, zatapiała coraz czerwieńsza łuna zachodu, w której pojedyncze ostrza krzaków mieniły się i opalizowały głębokim fioletem.

Rohan wciąż jeszcze nie mógł się zdecydować. Kiedy tak siedział pod wielkim złomem, usłyszał nadciągający z dali ciężki pobrzęk chmury. Rzecz osobliwa – wcale się nie przeląkł. Jego stosunek do niej uległ w ciągu jednego dnia zadziwiającej przemianie. Wiedział – a przynajmniej zdawało mu się, że wie, na co może sobie pozwolić, niby alpinista, którego nie odstrasza śmierć czyhająca w ścianach lodowców. Co prawda, sam dobrze nie orientował się w owej zmianie, jaka w nim zaszła, bo nie zanotował w pamięci chwili, kiedy po raz pierwszy, gdy czarny gąszcz na skałach mienił się wszystkimi tonami fioletu – dostrzegł jego ponure piękno. Ale teraz, gdy już dojrzał czarne chmury – a nadciągały dwie, wyroiwszy się z przeciwległych stoków górskich – nie poruszył się wcale, nie szukał już schronienia z twarzą przywartą do głazów. W końcu pozycja, jaką zajmował, nie mogła mieć znaczenia, jeśli tylko ukryty aparacik wciąż jeszcze działał. Dotknął końcami

palców jego okrągłego jak moneta denka przez materiał kombinezonu i poczuł na opuszkach delikatne drganie. Nie chciał prowokować niebezpieczeństwa, więc tylko dogodniej się usadowił, aby nie zmieniać niepotrzebnie położenia ciała. Chmury zajmowały teraz obie strony wąwozu; przez ich czarne kłęby przechodził jakby porządkujący prąd, bo zagęszczały się na krańcach, tworząc prawie pionowe kolumny, podczas kiedy ich części wewnętrzne wybrzuszały się ku sobie i zbliżały coraz bardziej. Było to całkiem, jakby jakiś tytaniczny rzeźbiarz z niezwykłą szybkością kształtował je niewidzialnymi chwytami. Kilka krótkich wyładowań przeszyło powietrze między najbliższymi punktami obu chmur, które pozornie rwały się ku sobie, a przecież każda została po swojej stronie, łopocąc tylko centralnymi kłębami coraz gwałtowniejszym rytmem. Blask owych błyskawic był dziwnie ciemny; obie chmury rozbłysły w nim na mgnienie jako znieruchomiałe w locie miliardy czarnosrebrnych kryształków. Potem – kiedy skały powtórzyły kilka razy echo grzmotów, słabe i stłumione, jakby okrył je nagle pochłaniający dźwięki materiał, drżąc napięte do ostateczności, obie strony czarnego morza połączyły się i przeniknęły. Powietrze pod nimi ściemniało, jakby zaszło słońce, zarazem pojawiły się w nim niepojęte, gnące się linie i Rohan dopiero po dłuższej chwili zrozumiał, że to są zniekształcone groteskowo odbicia skalnego dna doliny. A tymczasem owe lustra powietrzne pod pułapem chmury falowały i rozprężały się; aż naraz ujrzał olbrzymią, sięgającą szczytem głowy mroków, postać ludzką, która patrzyła nań nieruchomo, chociaż sam obraz drgał i tańczył bezustannie, jakby wciąż gasnący i wciąż na nowo wzniecany tajemniczym rytmem. I znów upłynęły sekundy, zanim poznał w nim własne odbicie zawieszone w pustce między bocznymi zwisami chmury. Był tak zdumiony, do tego stopnia porażony niepojętym działaniem

chmury, że zapomniał o wszystkim. Błysnęła mu myśl, że być może chmura wie o nim, o mikroskopijnej obecności ostatniego żywego człowieka wśród głazów zalegających wąwóz, ale i tej myśli się nie przeląkł, nie dlatego, że była nazbyt niewiarygodna: niczego już nie miał za niemożliwe – po prostu pragnął uczestniczyć w tym coraz mroczniejszym misterium, którego znaczenia – tego był pewien – nie pojmie nigdy. Jego gigantyczne odbicie, przez które słabo przeświecały odległe stoki skał, w górnej części doliny, dokąd nie sięgał cień chmury, rozwiewało się. Zarazem z chmury wyszły niezliczone odnogi; gdy wsysała jedne, inne zajmowały ich miejsce. Zaczął z nich padać coraz gęstszy, czarny deszcz. Drobne kryształki padały i na niego, trafiały go lekko w głowę, osuwały się po kombinezonie, gromadziły w jego fałdach, czarny deszcz wciąż padał, a głos chmury, owo wszechogarniające już jakby nie dolinę tylko, ale całą atmosferę planety huczenie, podnosił się. Powstały w niej lokalne wiry, okna, przez które przetarło się niebo, czarny całun rozdarł się środkiem i dwoma wałami poszybował ociężale, jakby niechętnie, ku gąszczom, aż zapadł w ich nieruchomość i znikł. Rohan siedział dalej bez ruchu. Nie wiedział, czy wolno mu strząsnąć kryształki, którymi był osypany; pełno ich leżało na głazach, całe dotąd jak kość bielejące łożysko potoku wyglądało jak zbryzgane atramentową farbą. Ujął ostrożnie jeden z trójkątnych kryształków w palce, a wtedy ów ożył jakby, delikatnie dmuchnął mu ciepłem w dłoń i wzniósł się w powietrze, gdy Rohan odruchowo otworzył garść. Wtedy jakby na dany znak zamrowiło się całe otoczenie. Ten ruch tylko w pierwszej sekundzie był chaotyczny. Potem czarne punkty utworzyły niby warstwę przygruntowego dymu, zgęściły się, ściągnęły i poszły słupami w górę. Wyglądało to, jakby same skały dymiły jakimiś olbrzymimi pochodniami ofiarnymi bez płomienia i blasku. Ale teraz dopiero

nastąpiła rzecz niepojęta: bo gdy wzlatujący rój zawisł kulistym prawie obłokiem dokładnie nad samym środkiem doliny, na tle wolno ciemniejącego nieba, jako ogromny, puszysty balon czerni, tamte chmury na powrót wynurzyły się z gąszczy i runęły nań z oszałamiającym impetem. Rohanowi zdawało się, że słyszy przedziwny, zgrzytliwy dźwięk napowietrznego zderzenia, ale to było chyba ułudą. Już sądził, że obserwuje walkę, że tamte chmury wyrzuciły z siebie i strąciły na dno wąwozu te martwe owady, których pragnęły się pozbyć, kiedy starcie okazało się pozorem. Chmury rozeszły się i śladu nie pozostało po puszystej kuli. Wchłonęły ją w siebie. Chwila i znów tylko skalne szczyty krwawiły ostatnim blaskiem słońca, a rozległe wnętrze doliny leżało ciche i puste. Rohan wstał wówczas na miękkich nieco nogach. Wydał się sobie nagle śmieszny z tym skwapliwie zabranym umarłemu miotaczem Weyra, więcej, czuł się niepotrzebny w owej krainie doskonałej śmierci, gdzie przetrwać zwycięsko mogły tylko formy martwe, aby odprawiać tajemnicze działania, których nie miały oglądać żadne żywe oczy. Nie ze zgrozą, ale z pełnym oszołomienia podziwem uczestniczył przed chwilą w tym, co się stało. Wiedział, że żaden z uczonych nie będzie zdolny podzielić jego uczuć, lecz chciał wrócić teraz już nie tylko jako zwiastun zagłady zaginionych, ale i jako człowiek, który będzie się domagał pozostawienia planety nietkniętą. Nie wszystko i nie wszędzie jest dla nas – pomyślał, schodząc powoli w dół. Światło nieba pozwoliło mu dotrzeć szybko do pobojowiska. Tam dopiero musiał przynaglić kroku, bo promieniowanie zeszklonych skał majaczących koszmarnymi sylwetkami w gęstniejącym zmierzchu stawało się coraz silniejsze. Zaczął wreszcie biec; odgłos jego kroków powtarzały jedne mury kamienne, przekazując go innym, i w tym nieustannym echu, które wyolbrzymiało jego pośpiech, skacząc

w ostatnim przypływie sił z głazu na głaz, minął stopione nie do poznania resztki maszyn, aż dostał się na kręty stok, ale i tutaj tarczka radioindykatora jarzyła się rubinowo.

Nie wolno mu się było zatrzymać, choć dusił się, więc prawie nie zmniejszając tempa, odkręcił aż do oporu reduktor butli. Jeśli nawet tlen miał mu się skończyć u wylotu wąwozu, jeśliby oddychać przyszło powietrzem planety, było to na pewno lepsze od pozostawania dłużej tu, gdzie każdy cal skały wyrzucał z siebie zabójcze promieniowanie. Tlen bił mu w usta chłodną falą. Biegło się dobrze, bo powierzchnia zastygłego potoku lawy, którą pozostawił na drodze swej porażki cofający się „Cyklop", była gładka, miejscami prawie jak szkło. Szczęśliwie miał chwytne, terenowe podeszwy butów, nie ślizgał się więc. Teraz zapadła już taka ciemność, że tylko gdzieniegdzie prześwitujące spod powłoki szkliwa jasne kamienie prowadziły w dół. Wiedział, że ma przed sobą jeszcze co najmniej trzy kilometry takiej drogi. Niepodobna było, gnając co sił, dokonywać jakichkolwiek obliczeń, ale rzucał jednak od czasu do czasu okiem na pulsującą czerwonawo tarczę wskaźnika. Jakąś godzinę mógł jeszcze tu być, wśród pogiętych i skruszonych anihilacją skał – dawka nie przekroczy wówczas dwustu rentgenów. Niechby godzinę i kwadrans; potem jeżeli nie dotrze do brzegów pustyni, nie będzie się już co spieszyć.

W jakiejś dwudziestej minucie przyszedł kryzys. Serce czuł jako okrutną, niezmożoną obecność, która rozpychała mu i ugniatała od środka pierś, tlen palił gardło i krtań żywym ogniem, w oczach migały iskry, najgorsze zaś było to, że zaczął się potykać. Promieniowanie stało się co prawda nieco słabsze, indykator świecił w mroku ledwo jak gasnący węgielek, ale i tak wiedział, że musi biec, biec dalej, a nogi odmawiały już posłuszeństwa. Każde włókno jego ciała miało dość, wszystko w nim krzyczało,

by zatrzymać się, stanąć, a choćby i runąć na pozornie tak zimne, tak nieszkodliwe płyty spękanego szkliwa. Gdy chciał spojrzeć w górę, ku gwiazdom, potknął się i poleciał do przodu na rozstawione ręce. Łkając, chwytał oddech. Dźwignął się, wstał, kilka kroków przebiegł, zataczając się na boki, potem rytm wrócił, poniósł go. Zatracił już poczucie czasu. Jak w ogóle orientował się w tej głuchej czerni? Zapomniał o wszystkich umarłych, których odkrył, o kościanym uśmiechu Bennigsena, o Regnarze spoczywającym pod kamieniami obok strzaskanego arktana, o bezgłowym, którego nie udało mu się rozpoznać, zapomniał nawet o chmurze. Był cały skurczony od tej ciemności nabiegłej krwią jego oczu, próżno wypatrujących wielkiego gwiaździstego nieba pustyni, której piaszczysta pustka wydawała mu się zbawieniem, biegł na oślep, z powiekami zlanymi słonym potem, niesiony siłą, której nieustającą w sobie obecnością mógł się jeszcze chwilami zdumiewać. Ten bieg, ta noc zdawały się nie mieć końca.

Nie widział już właściwie nic, kiedy nagle jego stopy zaczęły brnąć coraz ciężej, zapadać się, poczuł ostatni przypływ rozpaczy, podniósł głowę i zrozumiał nagle, że jest na pustyni. Zobaczył jeszcze gwiazdy nad horyzontem, potem, już gdy nogi same poddały się pod nim, szukał wzrokiem tarczki wskaźnika, ale jej nie zobaczył: była ciemna, milczała, niewidzialną śmierć pozostawił poza plecami, w głębi zastygłego koryta lawy, to była ostatnia jego myśl, bo kiedy twarzą poczuł szorstki chłód piasku, zapadł nie w sen, ale w odrętwienie, w którym całe jego ciało pracowało jeszcze rozpaczliwie, żebra chodziły, serce się tłukło, ale przez ten mrok zupełnego wyczerpania wchodził w inny, głębszy, aż stracił przytomność.

Ocknął się nagle, nie wiedząc, gdzie jest. Poruszył rękami, poczuł w nich zimno piasku, który wyciekł z palców, usiadł i jęknął mimo

woli. Było mu duszno. Oprzytomniał. Fosforyzująca strzałka manometru wskazywała zero. W drugiej butelce było jeszcze osiemnaście atmosfer ciśnienia. Przekręcił zawór i wstał. Była pierwsza godzina nocy. Gwiazdy stały wyostrzone w czarnym niebie. Odnalazł na kompasie właściwy kierunek i poszedł prosto przed siebie. O trzeciej zażył ostatnią pastylkę. Tuż przed czwartą skończył mu się tlen. Odrzucił wtedy aparat tlenowy i poszedł, oddychając zrazu nieufnie, ale gdy zimne powietrze przedświtu wypełniło mu płuca, począł kroczyć żwawiej, starając się nie myśleć o niczym innym oprócz tego marszu przez wydmy, w których zapadał niekiedy po kolana. Był trochę jak pijany, ale nie wiedział, czy to z działania gazów atmosfery, czy po prostu ze zmęczenia. Obliczył sobie, że jeśli będzie robił cztery kilometry na godzinę, dotrze do statku o jedenastej, za dnia.

Próbował sprawdzać własne tempo na krokomierzu, ale nic z tego nie wychodziło. Olbrzymią białawą smugą rozdzielała na dwie nierówne części czaszę nieba Droga Mleczna. Przywykł już tak do nikłego światła gwiazd, że pozwalało mu omijać co większe wydmy. Brnął i brnął, aż na tle horyzontu, jako dziwnie foremną przestrzeń bez gwiazd, dostrzegł jakiś kształt kanciasty. Nie zdając sobie jeszcze sprawy z tego, co to jest, zmierzał już w tę stronę, zaczął biec, zapadając się coraz głębiej, ale nawet tego nie czuł, aż wyciągniętymi rękami, jak ślepiec, uderzył o twardy metal. To był łazik, pusty, bezludny, może jeden z tych, które wysłał rankiem poprzedniego dnia Horpach, może jakiś inny, porzucony przez grupę Regnara, nie myślał o tym, po prostu stał, dysząc, obejmując spłaszczony łeb maszyny obu rękami. Znużenie ciągnęło go ku ziemi. Upaść koło maszyny, zasnąć przy niej, aby rano, ze słońcem, ruszyć w drogę...

Powoli wciągnął się na grzbietowy pancerz, po omacku znalazł rękojeść klapy, odemknął ją. Zapłonęły światełka. Osunął się na siedzenie. Tak, teraz wiedział już, że jest oszołomiony, pewno zatruty tym gazem, bo nie mógł znaleźć włączników, nie pamiętał, gdzie są, nie wiedział nic... Aż ręka sama znalazła wyświechtaną gałkę, pchnęła ją, silnik miauknął lekko i ruszył. Odemknął wieczko żyrokompasów, już tylko tę jedną cyfrę znał na pewno, kurs powrotu, jakiś czas łazik toczył się po ciemku, Rohan zapomniał o istnieniu reflektorów...

O piątej stał jeszcze mrok. Zobaczył wtedy na wprost, daleko, pośród białych i niebieskawych gwiazd, jedną wiszącą nisko nad samym horyzontem, rubinową. Zamrugał tępo powiekami. Czerwona gwiazda...? Nie było takich... Zdawało mu się, że obok niego siedzi ktoś, pewno Jarg, chciał go spytać, co to może być za gwiazda, nagle oprzytomniał, jak uderzony. To było dziobowe światło krążownika. Jechał prosto na tę rubinową kropelkę w mrokach, wznosiła się powoli, aż stała się lśniącą mocno kulą, której odblaskiem mienił się wierzchni pancerz. Spomiędzy zegarów zamrugało czerwone oko i odezwał się brzęczyk, sygnalizując bliskość siłowego pola. Rohan wyłączył silnik. Maszyna stoczyła się po zboczu wydmy i stanęła. Nie był pewien, czy zdoła wsiąść do łazika, jeśli go raz opuści. Sięgnął więc do schowka, wydobył zeń rakietnicę, a że chodziła mu w ręku, oparł łokieć na sterze, przytrzymał garść drugą i pociągnął za cyngiel. Pomarańczowa smuga buchnęła w ciemność. Jej krótki lot rozgwieździł się nagle, trafiwszy w ścianę osłony siłowej jak w przezroczyste szkło. Strzelał raz za razem, aż iglica szczęknęła sucho. Nie było już naboi. Ale i tak go zauważono, pierwsi wszczęli pewno alarm wachtowi w sterowni, bo niemal równocześnie pod szczytem statku zabłysły dwa wielkie jupitery i liznąwszy piasek białymi językami, skrzyżowały się

na łaziku. Zarazem światłami rozjarzyła się pochylnia i niby chłodny płomień rozgorzał od świetlówek cały szyb osobowego dźwigu. Trapy w mgnieniu oka zaroiły się od biegnących, już i na wydmach w pobliżu rufy zapłonęły reflektory, tocząc się i przez to huśtając rzucanymi słupami światła, aż zajaśniały szpalerem błękitne ognie, ukazując otwarte wejście w głąb perymetru.

Rohan, któremu rakietnica wypadła z ręki, ani wiedział, kiedy zesunął się po boku maszyny i chwiejnym, przesadnie dużym krokiem, nienaturalnie wyprostowany, zaciskając pięści, by zdusić nieznośne drżenie palców, szedł prosto na dwudziestopiętrowy statek, który stał w powodzi świateł na tle blednącego nieba, tak majestatyczny w swym nieruchomym ogromie, jakby naprawdę był niezwyciężony.

*Zakopane, czerwiec 1962 – czerwiec 1963*

© Copyright by Barbara & Tomasz Lem 2008

© Copyright for this edition Agora SA 2008

REDAKCJA SERII: Dariusz Fedor, Paweł Goźliński

KOREKTA: Teresa Kruszona, Paulina Materna

PROJEKT OKŁADKI: Krystian Rosiński

OPRACOWANIE GRAFICZNE: Edward Jewdokimow, Artur Hanc

PRODUCENT WYDAWNICZY: Robert Kijak, Małgorzata Skowrońska

KOORDYNACJA PROJEKTU: Katarzyna Kubicka

Wydanie I elektroniczne

ISBN: 978-83-268-1084-8

WYDAWCA
Agora SA
ul. Czerska 8/10
00-732 Warszawa

Konwersja i edycja publikacji

publio